

Raport do kosza

Cz. Bobrowski str. 3

NOWE IMPULSY REFORMY

J. Mujżel str. 5

O co chodziło cukrownikom

P. Kapuściński str. 6

trybuna Czytelników

str. 7, 8-9

WYBÓR Z PRZYMUSU

T. Górnicka str. 11

ŻYCIE

NR 49

GOSPODARCZE

7 GRUDNIA 1980 R.

ROK XXXV

CENA 6 ZŁ

OBOWIAZĘK PARTII

IAN GŁÓWCZYK

TO Marks pisał, że rewolucje proletariackie ustawicznie same siebie krytykują, wciąż przeżywają swój własny bieg, nawracając do tego, co już na pozór zostało dokonane, by to samo rozpocząć od nowa; że z okrutną dokładnością sztytują z połowiczności, słabości i niedołęstwa swych własnych poczyniń, zdają się obalać przeciwnika po to tylko, by zacerpnąć nowych sił z ziemi i urosłszy w potęgę znów powstać przeciw nim; że wciąż się cofają, przerażone bezgranicznym ogromem własnych swych celów, póki nie wytworzy się sytuacja uniemożliwiająca wszelki odwrót i same okoliczności zwołują: Hic Rhodus, hic salta — wykaż czynem, na co cię stać. Nasza polska sytuacja polega właśnie na tym, że niemożliwy jest wszelki odwrót: zarówno od socjalizmu, jak i od socjalistycznej odnowy życia

socjalnego. Szybsze wyjście z kryzysu politycznego zależy teraz w decydującej mierze od integrującego Polaków programu partii, który pobudzi do czynu szeroki sojusz sił rozsądku i socjalistycznego postępu. Szanse zbudowania takiego programu i utworzenia takiego sojuszu otwiera VII Plenum KC PZPR.

Zetknąłem się wielokrotnie z pytaniem, stawianym w stosunku do mnie jako członka-PZPR, czy partia, która sama z tak okrutną dokładnością stwierdza słabości swych własnych poczyniń, ma prawo — moralne i polityczne — być przewodnikiem narodu?

Przed wszystkim nie chodzi tu o prawo, lecz o obowiązek. Niezależnie od popełnionych błędów, obowiązek ten wynika z faktu, że żadna inna siła polityczna w Polsce nie byłaby w stanie wyprowa-

dzić kraju z kryzysu, zapewnić pokój społeczny, suwerenność narodową i wiarygodność w stosunku do naszych sojuszników. Obowiązek ten wzięła na siebie partia z narodzinami Polski Ludowej. Wykazała historycznie, że jest go w stanie dźwigać i nie może tego obowiązków z siebie zrzucić w najtrudniejszym okresie naszej państwowości.

Umowa społeczna z przełomu sierpnia i września zawarta została zgodnie z wolą partii, w dążeniu do rozwiązywania konfliktów politycznych metodami politycznymi, przy pomocy dialogu i porozumienia. Bez partii czy poza partią umowa ta nie mogłaby zostać zawarta. Ta linia porozumienia tworzy fundament obowiązków partii wobec narodu i sprawowania przez nią przewodniczącej roli w naszym życiu społecznym.

Powtarzające się co pewien czas ostre wstrząsy spowodowały w naszym społeczeństwie zrozumiałe dążenie do zabezpieczenia się przed nimi na przyszłość przez wprowadzenie do systemu rządzenia krajem instytucjonalnych gwarancji, umożliwiających ujawnianie sprzeczności i rozwiązywanie problemów w zwykłym, demokratycznym trybie. Chodzi tu w szczególności o przywrócenie nadrzędnej roli Sejmowi i rad narodowych w stosunku do władz wykonawczych, o niezależną rolę związków zawodowych w stosunku do administracji państwowej i gospodarczej, o odbudowanie głęboko zakorzenionych w naszej tradycji form samorządności, a zwłaszcza robotniczej. Wszystko to sprowadza się do kursu na rozwój socjalistycznej demokracji, do poszerzenia bazy politycznej władzy ludowej, do stworzenia bezpartyjnym pełnych możliwości bezpośredniego uczestnictwa w życiu politycznym. Uruchomienie i wprowadzenie do praktyki dnia codziennego tych wszystkich gwarancji zależne jest przede wszystkim od przywrócenia leninowskich norm w życiu wewnątrzpartyjnym tak, aby na tej podstawie możliwe stało się umocnienie ideowej i organizującej roli partii.

Sila oddziaływania partii — nawet wówczas, kiedy szeregi jej były nieliczne — polegała na tym, że

była nośnikiem ideałów, które przyciągały do niej i do współdziałania z nią większość społeczeństwa, niezależnie od różnic światopoglądowych i rodowodów. Ideałów takich, jak: sprawiedliwość, równość w stosunkach między ludźmi niezależnie od przynależności partyjnej, pochodzenia i wykształcenia czy sprawowanych funkcji, poczucie bezpieczeństwa socjalnego, skłonność do współdziałania i pomocy wzajemnej, zwłaszcza w sytuacjach trudnych. Ideały te są w naszej świadomości narodowej głęboko zakorzenione, ze względu na polskie doświadczenia historyczne i losy narodu. Odejdzie od tych ideałów — nielicznych, ale wpływowych prominentów politycznych — rzucając na całą partię, stawiało pod znakiem zapytania wiarygodność zdecydowanej większości członków i działaczy partii, którzy żyli życiem całego społeczeństwa, a nie obok czy ponad nim. Sprawiedliwość więc i w stosunku do społeczeństwa, i w stosunku do członków partii podjęte zostały przez VII Plenum dalej idące decyzje personalne, obciążające odpowiedzialnością polityczną, i nie tylko, konkretnych ludzi, a nie całą partię. Czyni to również na przyszłość — i słusznie — działalność, zwłaszcza na wysokich szczeblach partyjnych i państwowych, ciężką służbą społeczną, ocenianą publicz-

nie według rzeczywistych zasług, a także i błędów.

Krytyka i stała kontrola jest niezbędnym warunkiem uchronienia działaczy spełniających funkcje w aparacie władzy i administracji gospodarczej przed oderwaniem się od społeczeństwa. Zależą od sprawnej funkcjonowania mandatariuszy społeczeństwa nie jest do pogodzenia z podejrzliwością, poszturchiwaniem. Wymaga zaufania i autorytetu. Słusznie bowiem w dyskusji na plenum podkreślano, że zwłaszcza obecnie potrzebna jest nam władza sprawiedliwa, ale także podejmująca mądre, odważne i szybkie decyzje, konsekwentna w działaniu.

Problem jest zresztą szerszy. I dotyczy nie tylko władz administracyjnych. Zarówno w partii, jak i w całym społeczeństwie mamy do czynienia z tendencjami konserwatywnymi, hamującymi proces odnowy i demokratycznych przemian. Chodzi tu nie tylko o dogmatyków, czy też ludzi nie będących w stanie poprzeć niepodważalnej linii porozumienia ze społeczeństwem. Mamy również do czynienia — i nie ma powodu tego ukrywać — z konserwatyzmem innego rodzaju, który by chętnie cofnął nasz kraj do stosunków społecznych niesocjalistycznych. Cho-

DOKONCZENIE NA STR. 4

Z KARTKĄ PO MIĘSO

ZOFIA DŁUGOSZ

MOŻNA się było obawiać, że po dwóch dniach obrad plenarnych, w późnych godzinach wieczornych posłowie z Sejmowej Komisji Handlu Wewnętrznego, Drobnej Wytworczności i Usług nie będą już mieli ani siły, ani głowy na wstępne zaopiniowanie rządowego projektu okresowego systemu sprzedaży mięsa i tłuszczów na kartki. Jednakże sala była pełna, a dyskusja pełna emocji.

Oto parę charakterystycznych głosów:

— Jak teraz przekonywać wyborców, że mają się obejść tak skromną ilością mięsa, skoro do niedawna mówiliśmy o spożyciu 72 kg na głowę? (poseł Czesław Siłkowski, ZSL).

— Już wcześniej docierały do nas wiadomości, jakich przydziałów możemy się spodziewać. W naszej gminie zapanowała wielka radość, bo do tej pory otrzymywaliśmy kilkakrotnie mniej — (posłanka Lidia Wołowicz — PZPR).

— Dlaczego przy każdej okazji tworzymy podziały wśród ludzi? Moim zdaniem, demokratycznie i sprawiedliwie byłoby dać każdemu po równo — (poseł Zdzisław Pilecki, ChSS).

— Znów rolnik jest dyskryminowany. Z jednej strony, chcemy, żeby jak najwięcej sprzedawał państwu, z drugiej — przeszkadzamy mu w tym. Są gospodarstwa specjalistyczne, które nie trzymają np. krów. Jak mają się one zaopatrywać w masło? — (poseł Bernard Kus, ZSL).

Zarówno ta poselska dyskusja, jak i przytaczane już w codziennej prasie, radio i telewizji liczne za-

strzeżenia pojedynczych obywateli nie pozwalają żywić złudzeń, że uda się nam skonstruować taki system kartkowy zaopatrzenia w mięso i tłuszcze, który zadowolonych wszystkich. Można tu liczyć tylko na zawarcie społecznej umowy, będącej kompromisem między potrzebami oraz nader różnymi opiniami o tym co słuszne i sprawiedliwe — a możliwościami, wynikającymi z nieubłaganych realiów.

Członkowie Sejmowej Komisji Handlu Wewnętrznego, Drobnej Wytworczności i Usług byli jednomyślni tylko w dwóch kwestiach: że konsultacja ze społeczeństwem na temat kartek powinna być autentyczna, szeroka i trwać tak długo, aż uda się ów kompromis osiągnąć, oraz — że lepiej jest wprowadzić przydziały skromne, lecz realne, tak, aby broń Boże, nie trzeba ich było korygować w dół. Nielicznym posłom rolnicy przestrzegali zaś, że spadek hodowli w przyszłym roku może być wyższy, niż się obecnie szacuje.

Co dzieli?

Nieporozumieniem jest twierdzenie, że zaproponowana do podziału na kartki ilość mięsa obala statystyczny mit o spożyciu ok. 70 kg na osobę. W pojęciu tym zawsze mieściło się zarówno mięso — i jego przetwory (wszelkie rodzaje, łącznie z drobiem) — docierające do gospodarstw domowych za pośrednictwem sklepów, jak też spożywane w stołówkach i bufetach, restauracjach, szpitalach i sanatoriach, internatach, domach

wczasowych, żłobkach i przedszkolach. Ponadto — mięso i produkty mięsne pochodzące z tzw. samozapatrzenia, którego spożycie — na podstawie zezwoleń wydawanych na ubiór gospodarzy — szacuje się ostatnio średnio na 11,5 kg na osobę oraz zawarte w konserwach warzywno-mięsnych, wyrobach garmażeryjnych, mrożonkach itp. w ilości 3,5 kg na osobę.

Trudno się jednakże dziwić nieporozumieniom wokół wielkości spożycia mięsa na statystycznego obywatela: informacje o tym, co się na nie składa, rzadko docierały do społeczeństwa, a poza tym statystyczna średnia to miara zbyt ogólna, przydatna co najwyżej do oceny ilościowego postępu lub regresu w jakiejś dziedzinie, nie dająca natomiast żadnego prawdziwego pojęcia o konkretnym spożyciu w milionach gospodarstw domowych.

Przedmiotem podziału na kartki może być tylko ta ilość mięsa i wędlin, która dociera do konsumenta przez sklepy: z puli przeznaczonej na spożycie zbiorowe trudno coś ująć, raczej należy dodać, (i zakłada się dodanie w roku przyszłym 14 tys. ton), jako że w szpitalach, domach wczasowych, czy przedszkolach bynajmniej się nie przelewa, a ich liczba, choć zbyt powoli, jednakże z roku na rok wzrasta. Przewiduje się wycofanie połowy, czyli 90 tys. ton mięsa z gastronomii otwartej, co wywołuje świadczą o dramatycznej sytuacji.

W roku obecnym z ogólnej ilości mięsa i wszelkich jego produktów sprzedawanych w sklepach przypadało średnio w kraju na osobę 47 kg. Przewiduje się, że w roku przyszłym, wskutek katastrofalnego nieurodzaju ziemniaków, którego nie możemy zrównoważyć importem zbóż i pasz, mimo że wyniesie on ok. 10 mln ton i jest wyższy niż kiedykolwiek — dostawy mięsa od hodowców będą niższe o ok. 20 proc. — czyli 400–450 tys. ton. Jest to bardzo wielki ubytek, odpowiadający 2,5-miesięcznemu zapotrzebowaniu całego kraju na 1980

DOKONCZENIE NA STR. 2



Zbiory nie pokryły nawet kosztów uprawy — twierdzą plantatorzy ziemniaków Alfreda i Edward Kowalczykowie ze wsi Stok Ruski (artykuł na str. 6).

Fot. S. ZUBCZEWSKI

W latach 1978 i 1979 krytyka polityki gospodarczej przez środowisko ekonomistów (głównie współpracujących z redakcją oświatowo-naukową) o pisemną odpowiedź na ankietę dotyczącą perspektyw lat osiemdziesiątych. Byłem zaskoczony — od kilkunastu lat nie w Polsce nie publikowałem, najczęściej przebywałem za granicą. Do odpowiedzi skłoniło mnie zapewnienie, że mogę pisać bez ogródek, i że zabieg ma blagostawieństwo największych czynników. Wiadomo mi, że na podstawie odpowiedzi na ankietę opracowano dokument zbiorczy, którego losy nie są mi znane, natomiast znany mi jest skutek: zerowy. Zdecydowałem się obecnie na opublikowanie daleko idącego skrótu mojego tekstu (tylko gdzieśkolwiek cytuję ten tekst — reszta jest streszczeniem). Właściwie nie ma powodu uzasadniać decyzji publikowania. Każdy okres powinien zostawić po sobie dokumenty, w przeciwnym bowiem razie po kilku latach zostają tylko wspomnienia — ulomne — bezpośrednich uczestników. W tym przypadku wchodzi w grę pewien dodatkowy motyw. Z natury rzeczy mniej czy więcej liczne próby — bezowocne skądinąd — przekazywania gorze uwagi krytycznych na ogół śladu nie pozostawiały. Natomiast apologetyczna działalność zbyt licznych dworskich ekonomistów zostawiała aż nazbyt liczne ślady obniżając prestiż ekonomistów. Słuszne chyba jest więc dążenie do zrównoważenia obrazu myśli ekonomicznej lat ostatnich: nie powinien on być ani czarny, ani czarno-biały, lecz pełen niuansów. Jeśli pominać oportunistów było w nim wszystko: krytyki poza cenzurą, siłą rzeczy nieliczne, próby przekazywania uwagi krytycznych (przemawianie jak dżiad do obrazu), wycofywanie się — z rzadka — z funkcji doradczych i kontynuowanie tych funkcji (czasem z uporem, czasem z oportunizmem). Były krytyki szeptem, krytyki w małym gronie, była też emigracja wewnętrzna i zewnętrzna. Taką to jest rzeczywistość...

W lecie 1979 r. zwrócono się do mnie, podobnie jak do kilkunastu jeszcze ekonomistów (głównie współpracujących z redakcją oświatowo-naukową) o pisemną odpowiedź na ankietę dotyczącą perspektyw lat osiemdziesiątych. Byłem zaskoczony — od kilkunastu lat nie w Polsce nie publikowałem, najczęściej przebywałem za granicą. Do odpowiedzi skłoniło mnie zapewnienie, że mogę pisać bez ogródek, i że zabieg ma blagostawieństwo największych czynników. Wiadomo mi, że na podstawie odpowiedzi na ankietę opracowano dokument zbiorczy, którego losy nie są mi znane, natomiast znany mi jest skutek: zerowy. Zdecydowałem się obecnie na opublikowanie daleko idącego skrótu mojego tekstu (tylko gdzieśkolwiek cytuję ten tekst — reszta jest streszczeniem). Właściwie nie ma powodu uzasadniać decyzji publikowania. Każdy okres powinien zostawić po sobie dokumenty, w przeciwnym bowiem razie po kilku latach zostają tylko wspomnienia — ulomne — bezpośrednich uczestników. W tym przypadku wchodzi w grę pewien dodatkowy motyw. Z natury rzeczy mniej czy więcej liczne próby — bezowocne skądinąd — przekazywania gorze uwagi krytycznych na ogół śladu nie pozostawiały. Natomiast apologetyczna działalność zbyt licznych dworskich ekonomistów zostawiała aż nazbyt liczne ślady obniżając prestiż ekonomistów. Słuszne chyba jest więc dążenie do zrównoważenia obrazu myśli ekonomicznej lat ostatnich: nie powinien on być ani czarny, ani czarno-biały, lecz pełen niuansów. Jeśli pominać oportunistów było w nim wszystko: krytyki poza cenzurą, siłą rzeczy nieliczne, próby przekazywania uwagi krytycznych (przemawianie jak dżiad do obrazu), wycofywanie się — z rzadka — z funkcji doradczych i kontynuowanie tych funkcji (czasem z uporem, czasem z oportunizmem). Były krytyki szeptem, krytyki w małym gronie, była też emigracja wewnętrzna i zewnętrzna. Taką to jest rzeczywistość...

Na obecny stan gospodarki i nastrojów społecznych oddziałują także przyczyny z dalszej i bliższej przeszłości. W okresie planu trzyletniego, właściwie z musu, zrezygnowaliśmy z łączenia z odbudową modernizacji. Uruchamianie i odbudowa przemysłu odbyły się szybko, a więc decyzja była doraźnie słuszną, ale poziom techniczny przemysłu pozostał niski. Nie naprawiono tego w latach następnych i dziś obok ultranowoczesnych mamy staroświeckie zakłady i maszyny. Od chwili odzyskania niepodległości dążyliśmy do maksymalizacji zatrudnienia pozarolniczego, a tym samym do likwidacji przebudowania wsi, tego największego dramatu przedwzrostu wojny. Nie zaprzestaliśmy tego, nawet gdy problem stracił rangę. Rezultat — postarzenie się wsi, brak spadkobierców itp., a z drugiej strony przerosty personalne w przemyśle. Te z kolei sprawiły, że wzrost spożycia w drugiej połowie lat sześćdziesiątych odbył się w drodze wzrostu zatrudnienia, a nie plac, co musiało zrodzić głęboką frustrację, najbardziej uciążliwy spadek z przeszłości pozostawiony pogrudniowemu kierownictwu.

Pierwsze trzy lata przelamały tę frustrację. Przyniosły umocnienie zaufania do władzy, nadziei na jutro, zadowolenia z dzisiaj, a nawet umocnienie idei socjalizmu w społeczeństwie. Tak bowiem, sądzę, należy oceniać nastroje panujące w roku 1973, wyrosłe na tle niewątpliwego powodzenia polityki gospodarczej pierwszych trzech lat. Oczywiście stan gospodarki już w 1973 r. miał słabe punkty, ale gdyby u progę roku 1974 zamiast pogoni za maksymalnym tempem krótkookresowym przestawiono się na poszukiwanie optymalnego tempa długookresowego w zakresie wzrostu dochodów i inwestycji, gdyby — mówiąc inaczej — obniżono ambicje do osiągnięcia połowy lub nawet mniej osiągnięcia w następnych latach statystycznych wzrostów dochodów i inwestycji, to wyszlibyśmy bezboleśnie z narastających napięć. Ten „lagodny” manewr w dwa lata potem przestał być możliwy. Trzeba było już tym razem konsekwentnie kuracji. Kuracja nie była dość zdecydowana, a oficjalny „manewr” został rozpoczęty z opóźnieniem w stosunku do papierowych decyzji. Rozpoczęto go w najniebezpieczniejszym sposobie: słuszną koncepcję podwyżki niektórych cen została zrealizowana za szeroko, za ostro, z niewłaściwą rekompensatą i jeszcze gorszym uzasadnieniem. Pozostała niesłychana wrażliwość społeczeństwa na ruchy cenowe, nawet najskromniejsze, i rosnąca dysproporcja między popytem a podażą.

Przegrywając sprawę cen, kierownictwo gospodarcze znalazło się w sytuacji boksera, który ma stoczyć walkę z jedną zawiązaną ręką. Ta walka była z góry skazana na niepowodzenie w warunkach lawinowo rosnącego zadłużenia, zamrożenia i zaangażowania w dalej rosnący proces inwestycyjny i mnożenie się dysproporcji w gospodarce. Tym samym znikła możliwość wymyślenia polityki gospodarczej, która nie wymagałaby cierpliwości społeczeństwa przez dłuższy czas. I dlatego głównym problemem wydaje mi się sprawa w jaki sposób można uzyskać tę cierpliwość i w jaki sposób można zapobiec kumulatywnemu procesowi dystorsji, tzn. wytwarzania nowych schorzeń przez już istniejące schorzenia.

Nasze perspektywy zależą nie tylko od uporania się z własnymi błędami, ale także i od otoczenia w sensie reszty świata. W obecnych skomplikowanych warunkach nikt nie potrafi zaprezentować skwantyfikowanej, solidnej prognozy rozwoju. Ale coś niecoś wiemy. Wiemy, że nie będzie źle w maleńkiej grupie krajów OPEC. Ale dla nas

znaczy to bardzo niewiele. Jesteśmy małym krajem, dostawcą tych krajów: jeden procent ich importu, niecałe 3 proc. naszego eksportu. Ważniejsze są, choć niezbyt ważne, pozostałe kraje słabo rozwinięte, ale tu musimy się liczyć z nieuchronnym zmniejszeniem importu trochę tylko łagodnym przez pomoc kredytową. Grubo ważniejsze są oczywiście dla nas kraje kapitalistyczne, wysoka stopa inwestycji tworzących dochody, a nie stwarzających dóbr, które można byłoby za te dochody nabyć. Przyczynia się do niej wysokość dochodów, nieliczne co prawda, grupy najbardziej zamożnych ludzi, których dochody są tak znaczne, że przy naszej strukturze produkcji w żadnym przypadku nie mogą one znaleźć pokrycia towarowego. Oddziałuje na to — i to dość poważnie — niski poziom cen mięsa i niektórych innych produktów. Przyczynia się do tego nadmierne „opłacanie wzrostu wydajności pracy” oraz ujemny dochód społeczny, np. PGR. Najgroźniejszym chyba jednak czynnikiem jest nagromadzenie się w ciągu ostatnich kilku lat pokątnych rezerw gotówkowych u ludności, jak również wymuszony przez niewspółmierną podaż towarową wysoki wzrost oszczędności krótkoterminowych.

A kraje socjalistyczne? Ich stopa wzrostu jest wyższa od stopy Zachodu, ale i ona ulega ostremu obniżeniu. Dotyczy to m. in. Związku Radzieckiego, a w moim przekonaniu nie można liczyć na poważne przyspieszenie wzrostu w tym najwęższym dla nas kraju dopóki ostry brzytnie nakłady na zagospodarowanie Syberii (efektywne, ale o bardzo długim cyklu realizacji) nie zaczęły przynosić owoców. Świat zewnętrzny nie wyciągnie nas z kłopotów, a my sami? Plan manewru przewidywał, że już w tym roku uzyskamy zrównoważone saldo, jeśli nie w handlu zagranicznym, to w bilansie obejmującym również usługi, i że rok 1980 zamknie się saldem nadwyżkowym. Dzieje się, i jak sądzę będzie się działo, inaczej. Nie tak dawno minister handlu zagranicznego w wywiadzie dla „Polityki” oświadczył, że cel zrównoważenia bilansu zostanie zrealizowany z dwu- lub trzyletnim opóźnieniem. Wobec ostatnich ruchów cen ropy i innych zjawisk myślę, że opóźnienie będzie większe, gdyż nie bardzo widzę możliwość osiągnięcia postulowanego poziomu eksportu, a redukcja importu nie jest sprawą prostą. Oczywiście, jesteśmy skazani na forsowanie eksportu, ale temu przeciwna jest wewnętrzna, inflacyjny popyt inwestycyjny i konsumpcyjny. Zresztą forsowany eksport siłą rzeczy ciąży na uzyskiwanych cenach. Redukcja importu inwestycyjnego nie może dać efektów szybkich, gdyż wiele maszyn jest już zamówionych, a na dłuższy dystans wymagałaby ona ostrej redukcji przewidzianych, a może nawet już rozpoczętych wielkich robót inwestycyjnych. Import biegowy jest już brutalnie obcięty, o zmniejszeniu importu żywności i pasz nie ma mowy, a że do znacznie lepszych zbiorów, zaś import konsumpcyjny jest po-

zyczą znikomą. Zwiększając zadłużenie, będziemy oczywiście odchyłać w górę poziom dochodu podzielnego w stosunku do dochodu wytworzonego, ale forsując eksport i ograniczając import biegowy będziemy obniżać dochód wytworzony. Nie wolno żywić złudzeń co do możliwości przyspieszenia tempa wzrostu, tak aby ten czynnik wywikał nas z istniejących trudności.

SZCZEGÓLNA okolicznością obecnego okresu jest istnienie od kilku lat trwałej i głębokiej nierównowagi rynkowej, tak poważnej, jaka nigdy nie występowała w ciągu dwudziestu paru lat. Zrodziła tę nierównowagę głównie wysoka stopa inwestycji tworzących dochody, a nie stwarzających dóbr, które można byłoby za te dochody nabyć. Przyczynia się do niej wysokość dochodów, nieliczne co prawda, grupy najbardziej zamożnych ludzi, których dochody są tak znaczne, że przy naszej strukturze produkcji w żadnym przypadku nie mogą one znaleźć pokrycia towarowego. Oddziałuje na to — i to dość poważnie — niski poziom cen mięsa i niektórych innych produktów. Przyczynia się do tego nadmierne „opłacanie wzrostu wydajności pracy” oraz ujemny dochód społeczny, np. PGR. Najgroźniejszym chyba jednak czynnikiem jest nagromadzenie się w ciągu ostatnich kilku lat pokątnych rezerw gotówkowych u ludności, jak również wymuszony przez niewspółmierną podaż towarową wysoki wzrost oszczędności krótkoterminowych.

smetkami. Oczywiście, chodzi tu o przykład najbardziej niewinny. Dużo ważniejsze są tego samego rodzaju operacje dokonywane na większą skalę. Z pogłębieniem nierównowagi zbiegły się regulacje plac zwiększające rozpiętość między zarobkami największymi a najniższymi. Choć uważam odnośnie decyzje za nie-szczęśliwe, zwłaszcza wobec zwolnienia tempa wzrostu i obniżenia prawnej stopy życiowej, ta sprawa wydaje mi się jednak mniej szkodliwa niż przywileje. Na te ostatnie ludzie reagują jeszcze ostrzej dlatego, że są one przypadkowe, że przyzwyczajenie ich tej czy innej grupie, tym czy innym ludziom (zwłaszcza, gdy jest to otoczona tajemnicą, nigdy nie daje się wyeliminować, a tym samym musi rodzić szerokie przekonanie o decydującej roli tzw. układów. Gdyby przekonanie takie miało się jeszcze rozszerzyć i utrwalić, byłoby to ciężka choroba społeczna. Sądzę, że nam to grozi. A przekonanie to stanowi usprawiedliwienie czy rozgrzeszenie moralne wszystkich nieprawidłowości, osłabienie wartości bodźcowej plac i źródło lekceważenia własnych zobowiązań i zaufania do zobowiązań innych.

Dodać trzeba, że nierównowaga inflacyjna trwa już od kilku lat i że jej skutki społeczne i psychologiczne rosną w postępie geometrycznym. Nie potrafię przewidzieć wszystkich możliwych tego konsekwencji, ale szczególnie obawiam się „przyzwyczajania do nienormalności”. Można

każ otwierania nowych placów budowy przez co najmniej rok.)

● Podwyżka cen artykułów luksusowych oraz wódki bez rekompensaty. Drobne podwyżki (niewysokie) cen artykułów konsumpcyjnych, szczególnie zaniżonych, z kompensatą w kwocie równej dla wszystkich beneficjentów. Podwyżka dodatków rodzinnych dla samotnych matek i dla rodzin wielodzietnych dawałaby tej kategorii ludności lekka nadwyżkę in plus kompensaty. Kompensaty nie udzielano by grupom najwyżej zarabiającym.

● Zmiana asortymentowej polityki importu konsumpcyjnego i sprzedaży w „Pewexie” (unikanie krótkich serii, chyba że dają one wysoki mnożnik za dolara). Cel uboczny — obniżenie kursu czarnorynkowego dolara, tak, aby zmniejszyć siłę nabywczą beneficjentów konta A i dochody łańcucha pośredników.

● Rozszerzenie i modyfikacja podatku wyrównawczego, tak, aby zwiększyć niemal dziesięciokrotnie liczbę podatników i silniej jeszcze wpływać z tego podatku. Wprowadzenie podatku od mieszkań nie zagroziłoby (liczba pokoi wyższa od liczby mieszkańców) w stosunku do mieszkań wszelkiego typu z wyłącze-

niem domów chłopskich i suburban-dardowych. Wprowadzenie na okres 3-4-letni „kryzysowego” podatku pośredniego, tak, aby obok skutków, bezpośrednich zachęcać do przesunięcia popytu na późniejszy okres (proponującą ta jest alternatywa — lepszą — prostej podwyżki cen).

● Wobec tego, że proponowane wyżej bardziej klasyczne środki nie miałyby (zwłaszcza przy uwzględnieniu podwyżki świadczeń społecznych) dostatecznego efektu, wprowadzenie na 3 do 4 lat selektywnego przymusu oszczędzania, który obok redukcji inwestycji byłby najważniejszym środkiem działania. Przymus oszczędzania obejmowałby przez rok czy dwa zatrudnionych po raz pierwszy (z uwzględnieniem sprawy stażystów), a przez 3-4 lata pracowników zmieniających miejsce pracy, awansowanych oraz (w stosunku do najwyższej zarabiającej) nadwyżkę dochodu netto na członka rodziny uzyskiwaną powyżej określonych kwot.

Sądziłem, że przy normalnym rozwoju produkcji przywrócenie równowagi mogłoby nastąpić gdzieś na przełomie roku 1981/82, oczywiście z wyjątkiem mięsa, które musiałoby pozostać problemem nie rozwiązany w tej fazie. Konieczna podwyżka cen mięsa byłaby dokonana na jej zakończenie, jeśli produkcja krajowa wzrosłaby dostatecznie, by zrównoważyć rynek po podwyżce cen. Program ten uważałem oczywiście za niepoprawny wśród wyżej zarabiających, aczkolwiek przymusowa oszczędność byłaby mniej przykra niż rozwiązanie alternatywne, tzn. dogórne administracyjne obniżanie plac. Uważałem natomiast, że przy prawidłowej akcji wyjaśniającej i konsekwentnym działaniu władz zyskalby on akceptację niżej zarabiającej większości społeczeństwa.)

● Usuwanie przywilejów indywidualnych i grupowych (talony, wysokie premie i nagrody uznaniowe, „kominy placowe” itd.).

● Redukcja inwestycji planowych poniżej realistycznie ocenionych możliwości wykonawczych i materiałowych oraz wykorzystanie tej redukcji dla poprawy zaopatrzenia rynku i uzyskania luzów w zdolnościach produkcyjnych przemysłu dóbr inwestycyjnych, odprężenia na rynku pracy. Redukcja czasowo obejmowałaby nawet budownictwo mieszkaniowe, a ponadto na okres co najmniej roku byłoby wstrzymanie rozpoczęcia budowy domów prywatnych w miastach. Część kredytów dla PGR przesunięta na rzecz chłopskiej hodowli. Sелеktywny za-

DZIAŁANIA na rzecz równowagi powinny być dominantą pierwszego etapu. W drugim — zresztą czasowo zabiegającym się z końcówką pierwszego — taką dominantą powinno się stać likwidowanie dysproporcji w aparacie produkcyjnym. Jeśli chodzi o dwie najbardziej widoczne, zwłaszcza po ostatniej zimie (1978/79) dysproporcje, a mianowicie energię i transport, to masywne wąskie gardła powinny ulec likwidacji za 3-4 lata, natomiast pozostanie nadal olbrzymia ilość dysproporcji wewnątrz zakładu, pomiędzy zakładami, wewnątrz branż i pomiędzy branżami. Zamiast prób przyspieszania wzrostu przez maszynowe nowe inwestycje, sprawa likwidacji tych dysproporcji powinna się stać dominantą drugiego etapu. Etap ten będzie wymagał nadal zaciskania pasa, ale już bez ogonów i przy

1) Pojęcie „rynek” używam w tym tekście w sensie bardzo szerokim, włączając tu także „quasi-rynek”.
2) W oryginalnym popisie miałem błąd: nie opisałem ogółu robotników wielkopremysłowych; 3) nie przewidziałem, że przyzwyczajenie nie nastąpi.
4) W logice rzeczy leżało zrównywanie z niekierującą rozporządzeniem „obiektyw”, o czym przez przeoczenie nie wspominałem.
5) Długo nie jestem już pewny, czy akceptacja nastąpiłaby, natomiast już pisząc odpowiedź na ankietę miałem nadzieję, że w końcu, czy istnieją jakieś wątpliwości, że zaakceptowanie go przez władze (jedną z moich rozmówców słusznie zwrócił uwagę, że znajdował się on w jawnej sprzeczności z podstawową linią władzy). Długo oczywiście program jest już nieaktualny, a być może już wówczas był spóźniony. Sądzę natomiast, że zasada obniżenia powinna obowiązywać nadal.



żyć z obciętą nogą, ale kalectwo pozostaje kalectwem.)

To, co powiedziałem wyżej, skłania mnie do twierdzenia, że na główną zadania priorytetowe składa się:

- przywrócenie względnej równowagi rynkowej;
- zmniejszenie, a wreszcie zniesienie przywilejów;
- zmniejszenie rozpiętości w dochodach placowych.

Temu należy podporządkować niemal wszystkie inne rozwiązania, z wyjątkiem oczywiście sprawy bilansu handlowego.

Czy jest to wykonalne i czy może być zaakceptowane przez społeczeństwo? Na to drugie pytanie odpowiedź wydaje mi się łatwiejsza. Sądzę, że jeśli konkretny zespół posunąłby się do realizacji tych środków, które byłyby ocenione przez większość pracujących jako sprawiedliwe, choć może nieprzyjemne, to wolno go uznać za powszechnie akceptowany. Oczywiście, konieczne jest także, żeby pewne kategorie o najniższych stopach życiowych uzyskały jakieś choćby niewielkie dodatkowe korzyści i konieczne jest też, żeby ci, którzy będą musieli ponieść jakieś ofiary, byli przekonani, że są one czasowe i nie nadmierne. Odpowiedź na pierwsze pytanie jest o tyle trudniejsza, że wymaga ona sprzecywnienia zespołu środków współmiernego do zadania i że zadanie to nie byłoby wykonywane przy szybkim wzroście dochodu do podziału, tzn. przy samoczynnym zmniejszaniu się nadwyżki inflacyjnej. Użyłem terminu zespół środków, gdyż we wszystkich poważnych zadaniach gospodarczych uważam „szturm” za metodę niewłaściwą i nieskuteczną, a natomiast za słuszną uważam „obłożenie” — zespół działań zmierzających do jednego celu.

W mojej odpowiedzi na ankietę opis jak i uzasadnienie proponowanych działań stanowi część szczególnie istotną i z tej racji jest on bardzo obszerny. Ale ponieważ chodzi tu głównie o działania, jeśli tak można powiedzieć, klasyczne, w tym skrócie ograniczyć się po prostu do podania ich listy.

niem domów chłopskich i suburban-dardowych. Wprowadzenie na okres 3-4-letni „kryzysowego” podatku pośredniego, tak, aby obok skutków, bezpośrednich zachęcać do przesunięcia popytu na późniejszy okres (proponującą ta jest alternatywa — lepszą — prostej podwyżki cen).

● Wobec tego, że proponowane wyżej bardziej klasyczne środki nie miałyby (zwłaszcza przy uwzględnieniu podwyżki świadczeń społecznych) dostatecznego efektu, wprowadzenie na 3 do 4 lat selektywnego przymusu oszczędzania, który obok redukcji inwestycji byłby najważniejszym środkiem działania. Przymus oszczędzania obejmowałby przez rok czy dwa zatrudnionych po raz pierwszy (z uwzględnieniem sprawy stażystów), a przez 3-4 lata pracowników zmieniających miejsce pracy, awansowanych oraz (w stosunku do najwyższej zarabiającej) nadwyżkę dochodu netto na członka rodziny uzyskiwaną powyżej określonych kwot.

Sądziłem, że przy normalnym rozwoju produkcji przywrócenie równowagi mogłoby nastąpić gdzieś na przełomie roku 1981/82, oczywiście z wyjątkiem mięsa, które musiałoby pozostać problemem nie rozwiązany w tej fazie. Konieczna podwyżka cen mięsa byłaby dokonana na jej zakończenie, jeśli produkcja krajowa wzrosłaby dostatecznie, by zrównoważyć rynek po podwyżce cen. Program ten uważałem oczywiście za niepoprawny wśród wyżej zarabiających, aczkolwiek przymusowa oszczędność byłaby mniej przykra niż rozwiązanie alternatywne, tzn. dogórne administracyjne obniżanie plac. Uważałem natomiast, że przy prawidłowej akcji wyjaśniającej i konsekwentnym działaniu władz zyskalby on akceptację niżej zarabiającej większości społeczeństwa.)

● Usuwanie przywilejów indywidualnych i grupowych (talony, wysokie premie i nagrody uznaniowe, „kominy placowe” itd.).

● Redukcja inwestycji planowych poniżej realistycznie ocenionych możliwości wykonawczych i materiałowych oraz wykorzystanie tej redukcji dla poprawy zaopatrzenia rynku i uzyskania luzów w zdolnościach produkcyjnych przemysłu dóbr inwestycyjnych, odprężenia na rynku pracy. Redukcja czasowo obejmowałaby nawet budownictwo mieszkaniowe, a ponadto na okres co najmniej roku byłoby wstrzymanie rozpoczęcia budowy domów prywatnych w miastach. Część kredytów dla PGR przesunięta na rzecz chłopskiej hodowli. Sелеktywny za-

ciaż obie te tendencje nie mają szans realizacji i realnej bazy społecznej w kraju, rodzą one zamieszanie.

Mamy również do czynienia z tendencjami ekstremistycznymi, zmierzającymi do podtrzymywania napięcia, pchającymi proces odnowy byle dalej do przodu. Te tendencje opierają się na rozumowaniu, że procesem demokratyzacji nie można u nas rozsądnie i zgodnie z interesem narodowym sterować. Skutki praktyczne tych tendencji mogą być bardzo podobne — niezależnie od tego, czy powodują się one socjalistyczną czy niesocjalistyczną motywacją. Oczywiście, nie chciałbym powiedzieć, że intencje są mało ważne. Wynika z tego wniosek, że tworzenie maksymalnie szerokiego sojuszu sił rozsądku i odpowiedzialności nie może dokonać się mechanicznie, na zasadzie przemleczania różnic zdań i poglądów, a więc tym samym bez walki politycznej. Walka polityczna tym się jednak różni od walki sił, że nie jest walką z ludźmi, lecz z poglądami, że jest ścieraniem się poglądów. Inaczej trudno wyobrazić sobie rozwój demokracji socjalistycznej, jeśli nie chcemy, aby stała się ona fasadą odpowiadającą niedawnym twierdzeniom o jednolitości moralno-politycznej społeczeństwa.

Jeszcze w obecnej fazie wyjście z kryzysu zależy przede wszystkim od rozwiązań politycznych, a w tej mierze od politycznego programu partii. Jednakże najlepszy nawet program polityczny zawiesznie w próżni, jeśli nie będzie z nim spójny dorazny program wychodzenia z załamania gospodarczego i długofalowy program społeczno-gospodarczego wyprowadzenia kraju na normalną drogę rozwoju. Niebezpieczne jest budzenie nadziei, że w krótkim czasie możemy stać się drugą Japonią. Mieliśmy już zresztą hasło drugiej Polski.

Wyjście z głębokiej obecnie nierównowagi ekonomicznej jest sprawą na najbliższe trzy-cztery lata podstawową. Gdyby stosować tradycyjne miary i oceny, można by powiedzieć, że nasza sytuacja gospodarcza jest katastrofalna. Nie jestem jednak katastrofistą, ponieważ sądzę, że konsekwentny proces demokratyzacji życia w naszym kraju może wyzwolić działania, których pozytywnych rezultatów nie da się nie należy obecnie ujmować w liczby.

Uważam, że w ciągu kilku lat można naszą gospodarkę wyprowadzić na prostą, choć wymaga to radykalnych przestawień w polityce gospodarczej, a zwłaszcza w strukturze gospodarczej, co się nie obyde bez poparcia społecznego, o które natychmiast i usilnie trzeba zabiegać. To nie może być poparcie na rok i dlatego obawiałbym się budować je na twierdzeniu o obroty poziomu życiowego i poziomu płac realnych dla wszystkich. Oceniam, że w przyszłym roku, a być może jeszcze w następnym, nie będziemy w stanie utrzymać dotychczasowego średniego poziomu życiowego. Dlatego nie ma co ukrywać, że koszty wyjścia z dna gospodarczego będą musieli ponieść wyżej zarabiający, nie tylko w sektorze społecznym, ale także w wyłączeniu rolnictwa. Jest natomiast niezbędne, aby mimo trudności nieco poprawić realny poziom życiowy ludzi o najniższych dochodach, w tym również emerytów i rencistów. I chociażby utrzymać na dotychczasowym poziomie sytuację ludzi o dochodach średnich, choć będzie to najtrudniejsze, gdyż ta grupa ludności jest najliczniejsza. Podporządkować temu trzeba doradne i odważne kroki zwiększające sprawność ekonomiki, stanowiące zaczątek reformy gospodarczej.

Jeszcze raz chciałbym powtórzyć, że mój optymizm w sprawie wyjścia z kryzysu gospodarczego nie jest oparty na rachunku. Ale opiera się na przekonaniu, że socjalistyczna odnowa życia społecznego w naszym kraju wykształci nie tylko lepsze stosunki społeczne, ale stanie się również siłą sprawczą lepszego funkcjonowania gospodarki w interesie obywateli.

JAN GŁÓWCZYK

DWA NURTY

Na kolejnym swym posiedzeniu w dniu 26 listopada br. Komisja ds. Reformy Gospodarczej dyskutowała nad dwoma dokumentami. Pierwszy z nich pt. „Założenia systemu ekonomiczno-finansowego PGR na lata 1981—1985” został znieiony przez Zespół VI ds. Rolnictwa i Gospodarki Żywnościowej. Drugi — „Główne założenia projektu Uchwały Rady Ministrów w sprawie ramowych kierunków rozszerzenia uprawnień terenowych organów administracji państwowej”, to plan ponad dwudziestoletniej pracy zespołu specjalistów. Opracowanie to zostało przedłożone przez Zespół IX ds. Administracji i Gospodarki Terenowej. Wielogodzinna dyskusja nad obu tymi dokumentami obfitowała w niezwykle ostrą wymianę zdań.

W trakcie dyskusji nad systemem PGR zgłoszono przede wszystkim zastrzeżenia, że w obecnej sytuacji społeczno-gospodarczej wysuwanie na pierwszy plan w całym procesie reform sprawy nierentowych gospodarstw państwowych może zostać odczytane jako decyzja obniżająca rangę rolnictwa nieuspołecznionego. Przedstawiciele władz państwowych wyjaśniali, że kompleksowy mechanizm ekonomiczno-finansowy w rolnictwie indywidualnym, a także w pozostałych dziedzinach sektora uspołecznionego jest wciąż jeszcze w fazie opracowywania. To, że obecnie rozważa się system ekonomiczno-finansowy PGR wynika po prostu z faktu, iż prace w tym zakresie zostały już zakończone. Akcentowano również spójność propozycji zgłoszonych w stosunku do PGR z całością mechanizmów sprzyjających wzrostowi produkcji rolnej.

Uwagi szczegółowe dotyczyły przede wszystkim systemu dotacji. Obecnie sięgają one 40—50 mld zł rocznie. Postulowano, aby w ciągu pięciu lat sięgnąć po takie instrumenty, które by doprowadziły w konsekwencji do likwidacji dotacji, a więc wyprowadziły PGR z kręgu deficytu. Wymaga to jednak śmielszych niż zarysowano w projekcie posunięć w zakresie cen, sposobów kredytowania i systemów motywacji; większej stawki na samodzielną i stopniowego odchodzenia od szczegółowego

systemu nakazowego. Chodzi o to, aby przedsiębiorstwa PGR w coraz to większym stopniu kierowały się kryterium rentowności. Można oczekiwać, że te gospodarstwa, które mają niekorzystne wyniki w hodowli będą przestawiały się na produkcję roślinną. W rezultacie nie tylko możliwe będzie przesunięcie pasz do gospodarki nie uspołecznionej, ale także poprawienie ogólnego bilansu państwowego. Jeśli tak spojrzeć na system ekonomiczno-finansowy w PGR, to jego wprowadzenie w życie mieć będzie ogromne znaczenie dla rolnictwa jako całości.

Dla usamodzielnienia się PGR — podkreślano w dyskusji — niezwykle istotne jest zlikwidowanie wojewódzkich zjednoczeń, a także kombinatów. Niezbędne jest też poważne ograniczenie obszarów gruntów podlegających poszczególnym przedsiębiorstwom. Odrębną, ale niezwykle ważną kwestią jest ustalenie pola kompetencji władz wojewódzkich w zakresie funkcjonowania PGR. Przeważał pogląd, że koordynacja regionalna powinna dotyczyć głównie spraw socjalnych i infrastruktury, a nie wnikać bezpośrednio w produkcję.

Zgłoszono także zastrzeżenia czy system ten jest czytelny dla załóg. Wobec tego postanowiono, że zostanie on przekonsultowany z pracownikami PGR. Uzgodniono, że dopiero po tej dyskusji, jak również po uzupełnieniu o uwagi członków Komisji, nowy system ekonomiczno-finansowy zostanie wprowadzony z początkiem najbliższego roku gospodarczego, a więc od 1 lipca 1981 r.

O wiele więcej kontrowersji wywołał jednak drugi dokument dotyczący uprawnień władz terenowych. Znaczna część dyskusyjantów była zdania, że rozpoczęcie reformy od regulacji uprawnień organów terenowej administracji bez równoczesnego rozszerzenia uprawnień rad narodowych, czyli organów przedstawicielskich, może być sprzeczne z oczekiwaniami społeczeństwa. Oczekuje ono bowiem wzmocnienia instytucji ludowładztwa, większej samorządności, a także skrócenia kolejki obywateli do urzędów. Proponowane

zaś rozwiązanie przyczynia się wyłącznie do skrócenia kolejki wojewodów i naczelników do urzędów centralnych.

Wysuwano także sugestie, aby w tej sytuacji Komisja nie firmowała dokumentu, lecz by sprawa ta była załatwiona przez władze centralne. W gruncie rzeczy bowiem dokument zmierza do likwidacji narosłych w ostatnich dziesięciu latach tendencji centralistycznych, nie stanowi jednak kroku naprzód w procesie usamodzielniania władz i jednostek regionalnych, nie antycypuje choćby dotychczasowych sugestii Komisji w sprawie ogólnego kierunku reform.

Krytykowano też brak w dokumencie niektórych mechanizmów umożliwiających usamodzielnienie się jednostek gospodarki regionalnej, a także sprzyjających odbudowie, czy też raczej budowaniu od podstaw przemysłu terenowego — uspołecznionego i prywatnego.

Wielu dyskusyjantów zwracało uwagę na to, że proponowane rozwiązania akcentują głównie te zmiany, które odnoszą się do szczebla wojewódzkiego, w zbyt małym stopniu natomiast dotyczą rozszerzenia uprawnień organów administracji stopnia podstawowego, miast i gmin.

Autorzy dokumentu, a także niektórzy dyskusyjanci, replikowali, że zaproponowane rozwiązania idą we właściwym kierunku, czyli ku decentralizacji. Przyznawali oni rację tym, którzy przywiązali dużą wagę do potrzeby rozszerzenia uprawnień organów przedstawicielskich. Stawiano jednak znak zapytania: czy to właśnie Komisja jest powołana do tych zmian, a nie raczej Rada Państwa i Sejm? Równocześnie jednak stwierdzano, że rozpoczęcie procesu decentralizacji od rozszerzenia kompetencji organów administracyjnych jest słuszone. Osłabienie bowiem rad narodowych wynika przede wszystkim z biurokratycznej centralistycznej tendencji organów administracyjnych. Usunięcie więc tego gorsetu, hamującego samorządność i inicjatywę, jest sprawą pilną, czas liczy się bowiem dziś w dwójnasób, a cierpliwość ludzka jest

na granicy wytrzymałości. I choć wszyscy pragniemy wielkiej reformy, to zanim dojdzie do jej skonkretyzowania, trzeba już teraz czynić małe kroki, stanowiące wstęp, zadatek zasadniczych zmian.

Po tej wymianie poglądów postanowiono, że dokument dotyczący uprawnień organów administracji terenowej powinien zostać poprawiony i uzupełniony o uwagi szczegółowe, zgłoszone w trakcie dyskusji. Komisja uznała, że po tych załączonych propozycjach zmian powinny być jak najszybciej wprowadzone do praktyki.

*

Tuż po zakończeniu obrad Komisji zebrano się grupa robocza powołana do opracowania też w sprawie reformy gospodarczej. Ustalono, że dokument ten, który ma być przedstawiony Komisji najdalej w pierwszej połowie grudnia br., będzie antycypował nie tylko plan dotychczasowej dyskusji na zebraniach plenarnych i w zespołach, ale także szereg innych opracowań (m.in. PTE, SGPIŚ, DIP itp.) dotyczących reformy gospodarczej. Niezwykle ważną sprawą jest zapewnienie spójności między polityką społeczno-gospodarczą a propozycjami w sprawie mechanizmów funkcjonowania. Uzgodniono więc, że na jednym z najbliższych posiedzeń dobrze byłoby przedyskutować nie tylko tezy, ale także ocenę stanu gospodarki. Trudność polega jednak na tym, że ta diagnoza rządowa będzie sporządzona dopiero w końcowych dniach bieżącego roku.

K.S.

P.S. Gratuluję memu koleźce z uniwersyteckiej ławy red. Danielowi Passentowi znakomitego felietonu. Przypominając o legionie jego wrogów nie dotarłem, czego autor tak bardzo się obawiał. Więcej — zgadzam się z jego tezą. Mimo że staram się aktywnie — jako ekonomista, a nie wyłącznie dziennikarz — uczestniczyć w pracach Komisji, mój wpływ na sam kształt reformy jest nikły, żeby nie powiedzieć żaden. I przy obecnym systemie prac nad reformą nie może być inny (na szczęście — zapewne pomysł Passenta). Jednakże nie rezygnuję z formalnego przypisania. Dzięki temu bowiem mogę z bliska śledzić tok dyskusji i informować o tym opinii publicznej. Tak rozumie swój dziennikarski udział w pracach Komisji. I do niczego więcej nie pretenduję.

KAROL SZWARC

głębokiego braku równowagi, zarówno na rynku artykułów konsumpcyjnych, jak i towarów zaopatrzeniowych?

Zwracano również uwagę na to, że projekt dotyczy głównie sfery przemysłu, nie uwzględniając specyfiki innych gałęzi, przede wszystkim rolnictwa, a także budownictwa. Za istotną lukę uznano brak jasnego określenia: kto, w jakim trybie, na podstawie jakich kryteriów będzie podejmował decyzje inwestycyjne zmieniające strukturę gospodarki. Brak także określenia ram organizacyjnych obiegu informacji oraz generalnej — form kontroli państwa nad gospodarką.

Niektórzy dyskusyjanci podkreślali, że pełna samodzielną przedsiębiorstw wraz z mianowaniem dyrektora przez samorząd pracowniczy może grozić „kanibalizmem gospodarczym”, wyrażającym się w tendencji do przeznaczania zasadniczej części nadwyżki do bieżącego podziału wśród załóg, przy maksymalnym ograniczaniu środków na działalność rozwojową. Wyrażano także obawę, że realizacja tego projektu może przekształcić obecną formę własności uspołecznionej w formę własności grupowej i oprzeć działanie gospodarki na bazie rynku, a nie planowania centralnego.

Na wspomnianym posiedzeniu znacznie mniej uwagi poświęcono organizacji władz centralnych gospodarki, choć projekt zawiera i w tej dziedzinie daleko idące propozycje. Ich omówieniu postanowiono poświęcić następne zebranie Zespołu I w początkach grudnia. I my więc odłożymy zreferowanie tych propozycji do relacji z tego zebrania.

S. C.

USŁUGI DLA LUDNOŚCI

Od września br. zwraca uwagę osłabienie tempa wzrostu wartości usług dla ludności. Jeszcze w okresie 8 miesięcy br. były one o kilkanaście procent wyższe niż w analogicznym okresie ub. r. We wrześniu br. ich wartość była natomiast tylko o 3,5 proc. wyższa niż we wrześniu ub. r., a w październiku br. o 4,5 proc. wyższa niż przed rokiem. W wielu województwach w październiku br. zanotowano wręcz spadek wartości usług dla ludności. Odnosi się to zwłaszcza do województw: konińskiego, leszczyńskiego, olsztyńskiego, pilskiego, przemyskiego i ślupskiego. (Sb)

CENY WARZYW

Wyniki badań cen targowiskowych za wrzesień br. wskazują, że w okresie tegorocznej jesieni mieliśmy do czynienia ze znacznie wyższym poziomem tych cen niż przed rokiem. Okazuje się, że ceny kapusty wzrosły o ok. 25 proc., cebuli o 66 proc., buraków o 52 proc., marchwi o ok. 62 proc., pomidorów o 154 proc., ogórków o 23 proc., i kalafiorów o ok. 36 proc. Ceny ziemniaków były natomiast o 45 proc. wyższe niż przed rokiem. Poglądło się przy tym zróżnicowanie regionalne cen targowiskowych. Np. ceny cebuli ważyły się od 14 do 24 zł za 1 kg, pomidorów od 26 do 40 zł za 1 kg, a ceny ogórków od 9 do 22 zł za 1 kg. Ceny ziemniaków ważyły się od 4 do 10 zł za 1 kg.

Niekorzystne ukształtowanie się warunków atmosferycznych spowodowało więc duży wzrost cen warzyw. Formalnie czynnikiem, który miał hamować ten wzrost cen, było urzędowe limitowanie cen bazarowych. W wielu przypadkach prowadzący jednak do ograniczania handlu warzywami w stoiskach na bazarach i sprzyjało windowaniu cen na targowiskach w transakcjach zawieranych bezpośrednio przez mieszkańców miast z rolnikami lub w handlu pokatnym. (Sb)

CENY OWOCÓW

We wrześniu br. ceny jabłek na targowiskach były o ok. 65 proc. wyższe niż przed rokiem, a ceny gruszek wzrosły bez mała dwukrotnie.

Niekorzystne warunki atmosferyczne sprawiły, że szczególnie wysokie ceny za jabłka płacono na terenach województw: krosieńskiego, bielskiego, tarnowskiego (w granicach 23—30 zł za 1 kg). Relatywnie niskie były natomiast ceny jabłek w województwach: ostródzkim, wrocławskim i białskim (w granicach 14 zł za 1 kg). Szczególnie wysokie ceny gruszek notowano na terenach województw: białostockiego, ciechanowskiego, krosieńskiego (ponad 30 zł za 1 kg). Na wielu terenach ceny te kształtowały się jednak poniżej 20 zł za 1 kg.

Duże terytorialne zróżnicowanie cen jabłek i gruszek wskazuje, że w br. mieliśmy do czynienia z mniejszymi — wskutek braków ilościowych — przerzutami owoców pomiędzy województwami. (Sb)

CENY PASZ

W kształtowaniu cen pasz w obrotach pomiędzy rolnikami w październiku br. zwraca uwagę wysoki wzrost cen ziemniaków (o ponad 80 proc. w porównaniu z październikiem ub. r.), przy relatywnie słabszym, lecz również wyraźnym wzroście cen żyta (w granicach 13 proc.). Ceny siana łąkowego wzrosły o 15 proc.

W świetle tych danych, z punktu widzenia możliwości rozwoju hodowli szczególnej uwagi wymaga wzrost cen ziemniaków. Ceny te na wielu terenach w październiku br. były ponad dwukrotnie wyższe niż w analogicznym okresie ub. r.

Takie ukształtowanie cen pasz potwierdza słuszność decyzji o podwyżkach cen żywa wieprzowego, wołowego i mleka, zwłaszcza w kontekście równocześnie notowanego spadku cen prosiąt na chów (o ponad 25 proc. w porównaniu z październikiem ub. r.). (Sb)

ZAPOTRZEBOWANIE NA WĘGIEL

Mimo, że dostawy węgla kamiennego na rynek będą w br. o 2,1 mln ton wyższe niż w ubiegłym roku, nadal utrzymują się braki zaopatrzenia. Jest to związane z faktem, że rolnicy na wielu terenach odbierają obecnie załogi dostawy. Szacuje się więc, że dla pełnego zaspokojenia potrzeb rynku trzeba by zwiększyć dostawy o dalsze 3—4 mln ton. Wobec zmniejszonego wydobycia jest to oczywiście niemożliwe. Już i tak zostaliśmy zmuszeni do znacznego ograniczenia eksportu węgla, co bardzo niekorzystnie odbija się na sytuacji płatniczej kraju i możliwości zaopatrzenia w artykuły importowane.

Z drugiej jednak strony, powszechnie wiadomo, że zużycie węgla na jednostkę produkcji w naszym przemyśle jest znacznie wyższe niż w innych krajach. Najbliższe miesiące powinny stać się więc okresem szczególnego zastrzeżenia reżimu oszczędności opał w wszystkich jednostkach gospodarki narodowej, a zwłaszcza w paliwochłonnych przemyśłach. Godne rozważenia wydaje się też podjęcie ogólnokrajowej akcji budowy wiat na węgiel, żeby nie lawasował się on pod wpływem warunków atmosferycznych, tracąc wartość opałową. (Sb)

ORGANIZACJA
GOSPODARKI

WŚRÓD prac Komisji do spraw Reformy Gospodarczej warto poświęcić nieco więcej uwagi propozycjom mającym określić przyszły kształt struktur organizacyjnych. Problematyka tą zajmuje się Zespół I Komisji, który przygotował wstępny projekt zmian w tym zakresie. Projekt ten wywołał żywą dyskusję i szereg kontrowersji wśród samych członków Zespołu I na posiedzeniu, które odbyło się 28 listopada br. Dyskusja ta prowadzona będzie nadal, w miarę jak inne zespoły przygotowują swe propozycje. Organizacyjne formy muszą być bowiem adekwatne do rozwiązań w dziedzinie systemu finansowo-ekonomicznego, planowania, udziału załóg w zarządzaniu itp.

Wstępny projekt wychodzi z założenia, że przedsiębiorstwo jest samodzielnym ekonomicznie podmiotem gospodarki, kierującym się zasadą maksymalizacji efektu ekonomicznego. Ta ogólna formuła nie budziła większych wątpliwości, szczególnie, że przewidziano odstępstwo od kierowania się zasadą maksymalizacji efektu ekonomicznego dla przedsiębiorstw produkcyjnych i usługowych, działających w sferze infrastruktury, a mających charakter organizacji użyteczności publicznej (gospodarka komunalna, łączność, transport, energetyka itp.). Nato-

miast dyskutowano gorąco nad tym, jak tę zasadę wprowadzić w życie, jak praktycznie ma się ona przejawiać w stosunkach między przedsiębiorstwem a administracją gospodarczą i innymi ogniwami władzy państwowej. Wątpliwości budziły również formy powiązania przedsiębiorstw z planem centralnym.

W projekcie przewidziane są dwa warianty — samodzielną dopuszczającą na zasadzie wyjątku ingerencje dyrektywne, szczególnie w okresie przejściowym oraz samodzielną, w której powiązanie z planem centralnym miałoby jedynie charakter informacyjny, a kierowanie przedsiębiorstwem dokonywałoby się wyłącznie przez instrumenty ekonomiczne, nie mające charakteru zindywidualizowanego. Bezpośrednio na przedsiębiorstwo państwowe mogłoby oddziaływać jedynie przy pomocy zamówień. Przedsiębiorstwa samodzielnie negocjowałyby płace, ceny, podział nadwyżki itp., miałyby pełną swobodę w wyborze dostawców, odbiorców, zawierania umów z bankami, wchodzenia w związki z innymi przedsiębiorstwami itp.

Podstawowymi typami mają być przedsiębiorstwa państwowe zarządzane przez samorząd pracowniczy, przedsiębiorstwa spółdzielcze, organizacji i stowarzyszeń społecznych, przedsiębiorstwa terenowo-samorzą-

dowe i prywatne. Dopuszczana jest również forma przedsiębiorstw państwowych pod bezpośrednim zarządem administracji państwowej w niektórych dziedzinach infrastruktury gospodarczej, a także — na okres przejściowy — pod komisarycznym zarządem w przypadku, gdy przedsiębiorstwo jest nieefektywne ekonomicznie.

Tworzenie się struktur organizacyjnych, zarówno w sferze produkcji, jak i konsumpcji, powinno mieć charakter dobrowolny. Należy odejść od zasady „czystości branżowej” na rzecz elastyczności struktur organizacyjnych.

W dyskusji zwracano uwagę, że model ten jest oderwany od obecnych realiów sytuacji ekonomicznej i choć docelowo interesujący, nie rozwiązuje szeregu aktualnych problemów. Ma on także szereg luk.

Gospodarka działa w warunkach ostrych deficytów, szczególnie środków pochodzących z importu, a także innych podstawowych surowców. Kto i na podstawie jakich kryteriów ma decydować o ich rozdziale?

Wobec „informacyjnego” powiązania między planem centralnym a planem przedsiębiorstw, wzrasta ogromnie rola instrumentów rynkowych. Ale czy instrumenty te mogą działać prawidłowo w warunkach

NOWE MOMENTY

IAN MUSZEL

I. Sytuacja społeczno-polityczna po wydarzeniach lipcowo-sierpniowych i jej prawdopodobna ewolucja posiadają ważne implikacje dla reformy systemu funkcjonowania naszej gospodarki. Myślę, że trzy cechy tej sytuacji są szczególnie istotne.

Pierwszą stanowił świadomość siebie przez wielkoprzemysłową klasę robotniczą ogromnej siły w oddziaływaniu na stosunki społeczne. Wyrazem tego stały się jej nowe, niezależne hasła, żądania, organizacje i przywódcy. Usilne próby odnowy dotychczasowych związków zawodowych, przede wszystkim jednak powstawanie związków nowych, zróżnicowanych w masowych wystąpieniach robotniczych, już stworzyły i zapewne będą tworzyć coraz wyraźniejszą nową siłę w strukturach instytucjonalnych i układzie sił społecznych na wszystkich szczeblach kierowania gospodarką oraz państwem.

Drugą cechą jest zapoczątkowanie rozwoju aktywności i rzeczywistej demokracji we wszystkich istniejących instytucjach społeczno-politycznych. Ma ten proces szczególne znaczenie w ogniwach kluczowych — w partii, Sejmie, radach narodowych. Mamy prawo oczekiwać, że instytucje te będą skutecznie przezwyciężać swoje tradycyjne słabości: oportunizm i erozję norm etycznych wśród jej członków, ceremonialność, oderwanie od potrzeb i opinii społeczeństwa, supremację centralizmu nad demokratyzmem. Ze w wyniku tych procesów, z reguły trudnych i bolesnych, zdołają zmniejszyć dystans pomiędzy ideami demokracji socjalistycznej a jej rzeczywistością i coraz rzetelniej wypełniać swoje konstytucyjne funkcje.

Trzecia cecha występuje w sferze ekonomicznej. Luki inflacyjne lat ostatnich i ich skumulowany wynik — tzw. nawis inflacyjny, ukształtowały i będą ukształtowały dodatkowe źródła. Składa się na nie przyspieszony wzrost siły nabywczej ludności — rezultat wynagrodzeniowych i zapowiedzianych podwyżek płac i innych dochodów nominalnych, oraz podjęte zobowiązania i działania na rzecz zamrożenia lub hamowania wzrostu cen detalicznych. A w sferze podaży — ograniczenia powodowane powszechnym nieomal nieurodzajem w rolnictwie, przerwanymi w pracy, skracaniem jej czasu i rosnącymi trudnościami na zagranicznym rynku kredytowym. Z publikowanych dokumentów i oficjalnych wypowiedzi wynika, że polityka gospodarcza będzie chciała zważyć luki przede wszystkim drogą wysiłków podaży. Z jednej strony — poprzez maksymalną aktywizację zasileń zagranicznych. Z drugiej — za pomocą przesuwania, tam gdzie jest to tylko możliwe, urządzeń i materiałów z produkcji inwestycyjnej do produkcji na potrzeby rynku detalicznego i eksportu. Wreszcie — starając się kompensować skrócony czas pracy nowymi rozwiązaniami organizacyjnymi i wzrostem wydajności pracy.

Wysiłki podażowe, nawet najbardziej energiczne i skuteczne, prawdopodobnie nie zdołają w najbliższej przyszłości zrównoważyć kombinacji czynników losowych, popytowych i cenowych, kreujących lukę inflacyjną. Między innymi — na skutek ostrych zahamowań inwestycyjnych, wymuszanych doradźni, ale równocześnie ograniczających usuwanie narosłych dysproporcji materiałowo-kapitałowych w stosunkach wewnętrznych i z zagranicą. Najbliższy okres będzie więc zapewne okresem napięć, niedoborów i niesprawnych lub mało sprawnych rynków w obu sektorach: zaopatrzeniowym oraz detalicznym. Oczywiście, zjawiska te powinny zanikać, jednakże w aktualnych realiach gospodarczych i społeczno-politycznych zrównoważenie gospodarki i powstanie sprawnych rynków nie wydaje się, by mogło być natychmiastowe.

II. Ewentualnym skutkiem powyższej sytuacji jest wzrost znaczenia poprawy efektywności gospodarowania i tym samym reformy systemowej. Maksymalny i jak najszybszy wzrost efektywności, którego ogromna rola verbalnie jest głoszona od dawna, dziś stał się sprawą absolutnie podstawową. Tylko dzięki niemu można sprostać ambitnym aspiracjom i celom społeczeństwa. Widocznego dla wszystkich braku postępu, a ostatnio — pogarszania się efektywności, społeczeństwo, w pierwszym rzędzie — klasa robotnicza, dalej tolerować nie chce i nie będzie. Poprawa efektywności staje się więc warunkiem równowagi społecznej, rozwoju demokracji, klimatu zaufania i partnerstwa w stosunkach między władzą a ludnością.

Społeczna efektywność gospodarowania jest tematem obrzytym. Tym razem chciałbym ograniczyć się za ledwie do odnotowania trzech jego aspektów. Po pierwsze — złożoność zjawiska i pojęcia. Zawiera ono korzystne kształtowanie się nakładochłonności jako elementu niezbędne go, bynajmniej jednak do tego się nie ogranicza. Po drugie — iż nie małe są rezerwy efektywności w naszej obecnej gospodarce, zarówno w rezerwy pozytywne, jak i negatywne, krótkookresowe, a tym bardziej wieloletnie. Po trzecie —

iz zależy efektywność od poddania procesów decyzyjnych twardym praktycznym zasadom racjonalnego gospodarowania wzbogaconym innowacyjnością. W upowszechnianiu i umacnianiu tych zasad rolę kluczową odgrywa przedsiębiorstwo. Jest to bowiem jak dotąd jedyny historycznie wykształcony podmiot gospodarczy, w którym racjonalność ekonomiczna połączona z innowacyjnością może stać się regułą postępowania. Natomiast kierujące gospodarką centralne i lokalne organy administracji państwowej i przedstawicielskie są i nie mogą nie być organami politycznymi. Racjonalność ekonomiczna i innowacyjność, wymagane przez nie kryteria i procedury, zostają tu zmaiorzowane przez kryterium zachowania władzy, działanie sił nacisku, postępowanie negocjacyjne, a także — czynnik administracyjny i biurokratyczny. Po leża na tym siła i ograniczoność tych instytucji. Można sprawowane przez nie funkcje gospodarcze demokratyzować i usprawniać, i jest to niesłychanie ważne, ale ilużaby byłoby przekonanie, że naturę tych organów można zmienić.

Podstawowe znaczenie i pilność poprawy efektywności jest więc równoznaczna ze znaczeniem i pilnością głębokiej reformy systemowej. Tradycyjny system nakazowo-rozdzielczy, którego pewien szczególny wariant ukształtował się w latach 70-tych, nie ma w sobie siły i resztek, które mogłyby odrzucić niekorzystne, więcej nawet — groźne społeczne trendy w efektywności naszej gospodarki. W drugiej połowie lat siedemdziesiątych mieliśmy do czynienia nie tylko z zanikiem postępu (poprawy) efektywności, ale wedle wszelkiego prawdopodobieństwa — z obniżaniem się jej poziomu absolutnego. Rok obecny pozostaje w powyższym trendzie, z tym, że uroczystość społeczno-polityczny jego siłę umocnił. Konieczność wyprowadzenia gospodarki i społeczeństwa z systemu nakazowo-rozdzielczego, czego nie udało się zrobić ani w II połowie lat pięćdziesiątych, ani w I połowie lat sześćdziesiątych, stała się więc oczywista.

Poprzez efektywność sprzyja reformie tendencji ku równowadze i jest to sprężyna zasadnicza. Występują również oddziaływania reformy na równowagę dodatkową, aktualnie bardzo ważne. Po pierwsze, wiąże strumienie płac z możliwościami gospodarki i wynikami ekonomicznymi poszczególnych przedsiębiorstw, reforma tworzy narzędzie kontroli nad stroną popytową. Po wtóre, zmierza do aktywizacji cen i innych norm wyceny zasobów jako naturalnego czynnika równowagi rynkowej i proporcjonalności. Po trzecie, tworząc przesłanki pomyślności gospodarczej i rozwiązywania napięć społecznych, poprawia naszą pojęcie na zagranicznym rynku kredytowym.

Niezrównoważenie gospodarki, nawet głębokie, nie stanowi zatem argumentu usprawiedliwiającego zaniechanie bądź odrzucanie reformy. Przeciwnie, dziś poważna polityka równowagi nie istnieje bez reformy.

III. Obecna sytuacja stwarza szanse i przesłanki poważnej reformy systemowej. W minionym ćwierćwieczu ich niekorzystne kształtowanie się decydowało o tym, że konieczny jest niepowodzeniem kolejne próby wyprowadzenia gospodarki z systemu tradycyjnego, nakazowo-rozdzielczego, narzuconego na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych.

Wśród przesłanek politycznych sprawą zasadniczą jest zaufanie pomiędzy władzami a ludnością. Zależy ono od poprawy efektywności i zrównoważenia gospodarki, czyli — od reformy. Ale z drugiej strony — zaufanie jest niezbędne, ażeby reformę ru.ć, a tym bardziej ją przeprowadzić. Tylko bowiem w atmosferze zaufania, żyćliwości, chęci zrozumienia racji strony drugiej, można liczyć na rozsądną kontrolę nad strumieniami dochodów nominalnych i popytu pieniężnego. Bez zaufania nie może wreszcie powstać racjonalna, a dla reformy kluczowa, polityka cen, stopniowo usuwająca dysproporcje i przekształcająca inflację niecywilizowaną w cywilizowaną, rynki zdevastowane — w rynki coraz to sprawniejsze. W tym decydującym sprężeniu gospodarki z polityką, którego kierunek trzeba zmienić ze społecznie negatywnego w pozytywny, pierwszy ruch musi obecnie należeć do polityki.

W głębszej i szybkiej odnowie stosunków politycznych, w szczególności — w postępowych przeobrażeniach partii, Sejmu, administracji państwowej, a także związków zawodowych oraz ich stosunków wzajemnych, zawarty jest, dziś klucz do reformy gospodarczej. Proces ten został zapoczątkowany i osiągnięcia są niewątpliwie. Ażeby brak zaufania usunąć, potrzebna jest kontynuacja tego procesu i tej konkretny, znany opinii program na okres najbliższy. Reforma, zwłaszcza głęboka, wymaga stanowczego zaangażowania się w nią ludzi kierujących partią i państwem. Jest to, innowacja na wskroś społeczna, która narusza za-

równo rutynę, jak i pozycje wpływowych grup i instytucji. Ich opór jest rzeczą naturalną i co do tego nie powinno być złudzeń. Dowodzą tego doświadczenia nasze i cudze. Niechęć i opory względem reformy wypływają z obawy przed nowym, częściowo niepewnym, przede wszystkim jednak — z zagrożenia interesów środowisk uprzywilejowanych. I dlatego reforma nie może pomyśleć przebiegać, jeżeli poparcie dla niej ze strony naczelnych ośrodków władzy jest, jak bywało dotychczas, niezdeterminowane, taktyczne.

Zrealizowanie zadania tak złożonego, jakim jest głęboka reforma, zależy od ogromnej ilości decyzji centralnych, różnorodnych i rozłożonych w czasie, ale równocześnie wewnętrznie spójnych. Składają się na to decyzje systemowe, określające nowe zasady funkcjonowania gospodarki, regulacyjne, związane ze stosowaniem narzędzi kierowania centralnego i oczywiście — alokacyjne, za pomocą których następuje podział zasobów w dyspozycji centralnej i kształtowanie proporcji strategicznych. Społeczna poprawność tych decyzji, ich zgodność z potrzebami efektywności i samej reformy, nie może opierać się tylko na subiektywnych poglądach i postawach decydentów oraz kompetencji ich sztabów, aczkolwiek są to atrybuty elementarne. Po to, ażeby nie uległy erozji, a także niebezpieczeństwo — co dobrze wiemy — jest realne, niezbędne są odpowiednie mechanizmy polityczne. Mają one chronić przed podejmowaniem przez władzę decyzji nieodpowiedzialnych, wypaczających treść reformy i rujnujących warunki jej realizacji. Takie zabezpieczenie może tworzyć jedynie demokratyzacja stosunków społeczno-politycznych, jej dojrzałość i niepodważalność.

IV. Spór między zwolennikami działy partycypacyjnej (samorządowej) i menadżerskiej (technokratycznej) modelu funkcjonowania naszej gospodarki rozstrzygnęły załogi robotnicze. Upomnieli się one stanowczo i masowo o niezależność związków zawodowych jako rzeczywistych interesów i silnego partnera w stosunkach z dyrekcjami przedsiębiorstw i władzami państwowymi. Nowe i przebudowane związki stają się potężnym i dynamicznym elementem partycypacji. Przeobrażają one zasadniczo tradycyjne stosunki pracy i zarządzania. Rozwój tych stosunków w kierunku demokracji przemysłowej uznać trzeba za przesłankę i dziś przede wszystkim chodzi o to, aby on odbywał się harmonijnie, z pożytkiem dla efektywności społecznej.

„Związkowa rewolucja” zawiera dźwignię postępu, która trudno przecenić, ale również poważne zagrożenia: ostrego podziału na zarządzających i zarządzanych; słabej, zubożonej stymulacji efektywnościowej; kreowania nadmiernej siły nabywczej i luk inflacyjnych; niedoocenia potrzeb rozwojowych w podziale dochodu i zasobów. Torowane drogi tendencjom postępowym, z drugiej zaś strony — neutralizowanie zagrożeń, wymagają śmiałych i szybkich rozwiązań w ekonomicznych i społecznych zasadach funkcjonowania przedsiębiorstw i organów państwa. Nowy charakter i rola związków czynią reformę systemową nie tylko realną, ale i konieczną. Należy też postuluować, aby reforma zapewniła rozwój czynnika demokratycznego we wszystkich głównych ogniwach procesów decyzyjnych. Jego wpływ na gospodarkę powinien stawać się wielostronny. Ma on następować nie tylko z punktu widzenia bieżących warunków pracy załóg, ale również długookresowych potrzeb społeczeństwa i wymagań efektywności, w tym — zrównoważonego funkcjonowania gospodarki. Instytucjonalnym tego wyrazem jest zasadnicze wzmocnienie się gospodarczych funkcji samorządu robotniczego, rad narodowych i oczywiście — Sejmu.

Samorząd robotniczy stawać się powinien drugą obok związków zawodowych, podstawową formą społeczno-gospodarczej aktywności załóg. Wymaga to przełomu, ponieważ obecne instytucje samorządu od lat przeżywają kryzys. Zasadnicze zmiany są konieczne w organizacji i uprawnieniach samorządu. Nieodparcie nasuwa się więc wniosek o potrzebie odbudowy rad robotniczych jako głównej lub jednej formy samorządu na szczeblu zakładowym, przedsiębiorstwa, organizacji gospodarczej. Argumentem jest tu żywa ciągła tradycja, ale przede wszystkim fakt, iż właśnie rady jako organ załogi w sposób najbardziej naturalny, suwerenny i wyspecjalizowany wydają się być najlepiej przystosowane do udziału w zarządzaniu.

Do uprawnienia stowowiących samorządu trzeba włączyć wszystkie decyzje i inicjatywy przedsiębiorstw, które: a) są istotne dla funkcjonowania i rozwoju zakładu pracy, b) mogą być kompetentnie podejmowane przez samorząd. Dotyczyłyby więc one takich dziedzin, jak:

- ekonomiczne cele i zadania przedsiębiorstw i przedsiębiorstw,
- warunki pracy, włączając w to zmiany zatrudnienia, płac i świadczeń pozapłacowych, a także — organizację i regulamin pracy,
- przedsięwzięcia rozwojowe oraz najważniejsze przedsięwzięcia w zakresie powiązań z odbiorcami i dostawcami krajowymi i zagranicznymi.

W tych dziedzinach uprawnienia samorządu musiałyby obejmować zarówno decyzje, jak i inicjatywy (kontropropozycje) względem dyrekcji (dopóki te istnieją) jednostek nadrzędnych. Nieograniczony powinien być zakres funkcji samorządu

inicjatywnych, opiniodawczych i kontrolnych. Poszerzać należy jego uprawnienia odnośnie kadr kierowniczych i przyznawanych kierownikom wynagrodzeń uznaniowych. Należałoby przyjąć, że w pewnej, niedługiej perspektywie członków dyrekcji przedsiębiorstw będzie powoływał i odwoływał samorząd, i że przed samorządem będą oni odpowiedzialni w pierwszym rzędzie. Decyzje personalne samorządu wymagałyby wtedy akceptacji nadzorującego organu państwowego, ale nie odwrotnie.

Rozwiązania te prowadziłyby do integrowania załóg robotniczych i personelu kierowniczego wokół efektywności przedsiębiorstw. Służyłyby zaspokojeniu pozamaterialnych aspiracji ludzi pracy. Podstawową procedurą wyrażającą nowe stosunki stałaby się autonomiczny plan przedsiębiorstwa z szerokim blokiem decyzji samorządu. Łączyłyby on w sobie zadania podziałowe, konsumpcyjne i efektywnościowe, produkcyjne. Można by go nazwać swego rodzaju „umową społeczną”. W tej umowie kadra kierownicza występowałaby jednak coraz konsekwentniej w roli sztabu i wykonawczego aparatu samorządu.

Stawanie się przedsiębiorstw jednostkami samorządowymi musi być procesem, zależy bowiem od samodzielności organizacji gospodarczych.

Wzmocnienie i racjonalizacja gospodarczych funkcji Sejmu zawycają bywają uzasadnione tym, że niektóre decyzje centralne, w imię ich poprawności i poparcia społecznego, powinny być podejmowane przez organy przedstawicielskie.

Ponadto, że poważna sejmowa kontrola i ocena kierowania gospodarką przez rząd jest niezbędna, aby to kierowanie było odpowiedzialne i skuteczne. Działając argumentację tę trzeba poszerzyć. Tak jak samorząd w przedsiębiorstwie, Sejm w skali makroekonomicznej stanowi logiczne dopełnienie wpływu na gospodarkę, wywieranego przez potężne i niezależne związki zawodowe. Po to, ażeby wpływ ten był twórczy, aby nie prowadził do nadmiernej preferowania materialnej konsumpcji bieżącej i nie tworzył spirali inflacyjnej, konieczna jest siła równoważąca. Siła, która posiadałaby wysoki autorytet społeczny, o innym zakresie odpowiedzialności i punkcie widzenia. Nie chodzi tu o konflikt mocy, a o wywołanie władzy do kontroli społecznej w myśl reguły *divida et impera*. Rozwiązanie równoważące wymaga mechanizmu demokratycznego kierowania gospodarką, w którym ze zderzenia różnych stanowisk powinny wypływać decyzje mądre, aprobowane przez większość, ale też w maksymalnym stopniu usiłujące uwzględnić dżederaty grup pozostałych.

Ma więc Sejm podejmować decyzje gospodarcze, do których jest powołany, i w zakresie których może być kompetentny. Sądzę, iż należało do nich decyzje określające stopień realizacji poszczególnych celów społecznych i podział na te cele zasobów w dyspozycji administracji centralnej; ważne decyzje systemowe; decyzje o dotowaniu przedsiębiorstw deficytowych. Tradycyjne obarczanie Sejmu formalnym zatwierdzeniem maszynistycznym o charakterze technicznym i wykonawczym, które zwykłe zawiera plan, zwłaszcza plan roczny, tworzy pozory uprawnienia decyzyjnych. W razie stwierdzenia niemożności wykonania niektórych decyzji sejmowych, rząd powinien występować z wnioskiem o ich korektę.

Warunków wzmocnienia gospodarczych funkcji Sejmu jest wiele. Potrzebne jest dokładne określenie decyzyjnych uprawnień Sejmu i ich procedury. Sejm powinien dysponować aparatem profesjonalnym, przede wszystkim kontrolnym, czemu odpowiada przeprowadzony ostatnio powrót do funkcjonowania NIK jako organu sejmowego. Nieograniczona dla posłów i organów sejmowych musi być dostępność do informacji gospodarczych. Kluczowym warunkiem pozostają jednak postawy posłów, sposób, w jaki oni traktują swoje uprawnienia, i odpowiedzialność.

V. Odejście od systemu nakazowo-rozdzielczego wymaga w kierowaniu przedsiębiorstwami przez państwo przezwyciężenia dominacji dyktaw przydziałowych i limitów (przydziałów) środków, czyli tzw. dyktaw tradycyjnych. Jest to warunek podstawowy i dotyczy on zarówno wcześniejszych, jak i późniejszych, rozwinętych faz reformy. Czy jest on jednak realny wobec nieomal powszechnego występowania niedoborów i niesprawnych rynków? Myślę, że argument o nierówności jest pozorny. Obiektywnym skutkiem skali dzisiejszych niedoborów nie jest bowiem brak szans dla reformy, lecz jest jej scenariusz etapowy.

Chodzi przede wszystkim o przezwyciężenie mitów, jakie nagromadziły się wokół efektywności i walorów dyktaw. Okazuje się, że w dziedzinach, w których rozlega się aktywność szczebla centralnego jest najbardziej nieporadna: w inwestycjach, działalności badawczo-rozwojowej i współpracy gospodarczej z krajami RWPG, dyktawy tradycyjne wobec przedsiębiorstw nie są bynajmniej ani konieczne, ani korzystne, i to również w początkowym etapie reformy.

Wysuwany jest przekonywujący postulat, by tzw. inwestycje strategiczne (strukturalne) w sektorze produkcyjnym, czyli przedsiębiorstwach imienne ustalane w planie central-

nym, były realizowane za pomocą umów pomiędzy państwem a przedsiębiorstwami. W razie sprzeczności z mikrochwilami, co tu jest sytuacją dosyć typową, umowa musi się łączyć z dotacją budżetową. Poza rezygnacją z antyefektywnościowej dyktawy, walorem powyższej formy jest sprawdzanie opłacalności mikrochwilami oraz budżetowe ograniczenie angażowania zasobów ogólnospołecznych. Tym bardziej nie wymaga ją tradycyjnych dyktaw inwestycyjne pozostałe. Kierowanie centralne z powodzeniem może tu oprzeć się na oprocentowaniu, środkach informacyjnych i zasadzie akceptowania ważnych przedsięwzięć przez organ państwowy. Uzupełniając, w etapie początkowym konieczne mogą stać się branżowe limity kredytowe, dyktawne dla banków, ale nie dla przedsiębiorstw.

Nie ma żadnych powodów, aby strategiczne przedsięwzięcia naukowo-techniczne również nie miały być skutecznie realizowane na podstawie kontraktów społecznych (między-szczębiowych), wspomaganych możliwością dotacji budżetowych. Natomiast w regulowaniu obrotów z krajami RWPG wystarczającą mogą być finansowe zachęty (preferencje) dla przedsiębiorstw, skłaniające do wykrzystania możliwości określonych w umowach między państwowymi. W przypadku eksportu mogłyby być rozwijane, w razie potrzeby, forma umów organu państwowego z przedsiębiorstwami oraz licencje eksportowe. Te ostatnie stanowią wprawdzie dyktawę, ale należą do klasy akceptacji, a nie dyktaw tradycyjnych.

W przezwyciężaniu dyktaw tradycyjnych obiektywną barierą są masowe niedobory podaży. Tworzą one niebezpieczną sytuację, w której I etap reformy może nie osiągnąć „masy krytycznej”. Czyli — zakresu łamiącego mechanizm odradzenia systemu nakazowo-rozdzielczego. Upanowanie się z tym problemem wymaga pakietu rozwiązań kompleksowych.

Podstawowym składnikiem pakietu jest cały zespół pozytywnych sprężyn pomiędzy reformą i równowagą, o czym mówiłem w rozdziale II. Sprężenia te są wielorakie. Przede wszystkim opierają się na poprawie efektywności, ale również stanowią wynik bezpośredniego wpływu reformy na strumienie płacowe, funkcje cen i pozycje kredytowe na rynkach zagranicznych. Wraz z poważnym zapoczątkowaniem reformy wszystkie te czynniki zaczęły działać. W określaniu zakresu dyktaw tradycyjnych należy więc wychodzić z niedoborów, jakie ukształtują się po częściowym reformowaniu systemu, a nie jakie istnieją przed reformą.

Wśród uwarunkowań dyktaw tradycyjnych należy uwzględnić: a) antyefektywnościowe następstwa tych narzędzi i ich ograniczoność w osiąganiu ogólnospołecznych celów alokacji, b) stopień i czas przewidywanego poprawy rynków. Toteż rezygnacja z dyktaw tradycyjnych i przekazanie alokacji wężom poziomym, mimo iż na razie są one dalekie od doskonałości, nieraz staje się „złem najmniejszym”.

Tam gdzie alokacja poprzez jeszcze niedoskonałe, ale poprawiające się rynki jest niedopuszczalna, należałoby wykorzystać w następnym kolejności obowiązkowe monopsony, czyli monopole zakupu i zaopatrzenia. Taka organizacja ma dostateczną siłę, aby zmusić producentów do dostarczania asortymentów najpotrzebniejszych odbiorcom. Może ona otrzymywać wytyczne centralne, które — zależnie od sytuacji — przyjmują formę preferencji zaopatrzeniowych mniej czy bardziej uściślonych w przekroju podmiotowym lub terytorialnym. W zaopatrzeniu ludności treścią wytycznych mogą być listy tzw. towarów standardowych, których wystarczającą podaż zapewnić muszą organizacje handlowe. Ważną zaletą tej regulacji jest decydująca rola poziomych stosunków umownych oraz zbieżność dyktaw zadaniowych wobec przedsiębiorstw i jednocześnie produkcyjnych.

Rozwiązania powyższe pozwalają radykalnie ograniczyć centralne rozdziały i związane z tym dyktawy zadaniowe. Nawet przy znacznych niedoborach nie powinny one obejmować więcej niż 20–30 podstawowych surowców i materiałów produkcji krajowej i importowanych z krajów RWPG, silnie deficytowych i o wielorakim zastosowaniu. Uzupełnieniem tego musiałaby być regulacja środków płatniczych na import wolnoodzewizowy, również związana z danymi dyktawnymi dotyczącymi przychodów z eksportu do strefy nierublowej.

Nawet ograniczone do takiego zakresu dyktawy tradycyjne mogą podważać efektywnościowe siły, a zatem sens reformy. Ażeby oddziaływanie to złagodzić, co jest niesłychanie ważne, należy przestrzegać szeregu zasad kierunkowych. Są nimi:

- racjonalizacja pojemności dyktaw i z kolei mierników, za pomocą których jest ona formułowana; chodzi o to, by przydziały (limity) i zadania obejmowały rzeczywiście deficytowe grupy produktowe i nie więcej; aby — w wyniku nadmiernej agregacji — nie uszytniały dostawców na obszarach, które tego nie wymagają i nie tworzyły iluzji centralnego kierowania alokacją,
- nadawanie dyktawom wydłużonego horyzontu czasowego przez wyprowadzenie ich, wszędzie gdzie jest to tylko możliwe, z ustaleń planu 5-letniego; trzeba dopuścić kory-

gowanie dyktaw wieloletnich, ale tylko w razie rzeczywistej konieczności i chroniąc interesy przedsiębiorstwa,

- zapewnienie dyktawom poprzez odpowiednie motywowanie kadr kierowniczych formy tzw. warunków brzegowych, czyli dyscypliny realizacyjnej i nietworzenia konkurencyjnych celów,

- elastyczność i efektywność dostosowań poza obrębem dyktaw, czemu w pierwszym rzędzie mogą służyć kursy i ceny komercyjne zasobów, reglamentowanych; ceny komercyjne mogłyby też posłużyć jako parametr zobiektywizowanej procedury ochrony interesów przedsiębiorstw w razie zmiany dyktaw wieloletnich.

Ograniczanie dyktaw tradycyjnych wymaga zabezpieczeń instytucjonalnych i prawnych. W dziedzinie instytucjonalnej powadziłaby do tego przebudowa roli ministerstwa galizacyjnych oraz zmiany w strukturze podmiotowej organizacji gospodarczych. W dziedzinie prawnej — ustawowa zasada, że przedsiębiorstwo jest jednostką samodzielną, i że ograniczenie tej samodzielności jest dopuszczalne tylko na mocy przepisów prawa. Odpowiednich urządzeń prawnych wymaga też skuteczna procedura zabezpieczająca respektowanie tych zasad.

VI. W ekonomiczno-finansowych zasadach funkcjonowania przedsiębiorstw składnikiem wiadoć jest, jak wiadomo, sposób tworzenia funduszu wynagrodzeń. Istnieje zgodność co do tego, że sposób ten ma, z jednej strony, zapewnić silny związek pomiędzy wynagrodzeniami a efektywnością przedsiębiorstwa, z drugiej — uwzględnić kryteria społeczne, czyli wychodzić naprzeciw aktualnemu pojmowaniu sprawiedliwości społecznej. Oba istniejące obecnie całkowicie zarysy reformy zakładają słusznie, że samorządowemu przedsiębiorstwu należy odpowiednia tworzenie funduszu na zasadzie swobodnego dysponowania przez załogę dochodem przedsiębiorstwa. Rozumie się przezeń różnicę między przychodami pieniężnymi a wszelkimi rozchodami pieniężnymi, z wyłączeniem wydatków na wynagrodzenia i na przysrost majątku. Tak więc całość funduszy: wynagrodzeniowych, socjalnych i rozwojowych zależy w tym rozwiązaniu od wyników finansowych przedsiębiorstwa. Na proporcję podziału państwa ma wpływać pośrednio, np. opodatkowanie progresywne dochodów, jeżeli wzrost średniej płacy przekracza ogólnie ustaloną wielkość progową.

Obecnie i w początkowym etapie reformy rozwiązanie powyższe zapewne jest i będzie nieralne. Wątpliwe jest tu bowiem obarczenie załogi pełną placową odpowiedzialnością za wyniki ekonomiczne przedsiębiorstwa. Takiej odpowiedzialności, której nie równoważy uprawnienia, prawdopodobnie nie mogłyby zaakceptować załogi i ich związki zawodowe.

Konieczne więc staje się rozwiązanie przejściowe. W literaturze i dyskusjach uważa się za zasadne na dwóch koncepcjach takich rozwiązań. Pierwszą stanowi zmodyfikowane podejście WOG-skie, tzn. wiązanie funduszu wynagrodzeń z produkcją (netto) lub dochodem przedsiębiorstwa przy użyciu różnicowanych norm elastyczności bądź udziału. Drugą — regulowanie średniej płacy, zakładając, że: wzrost jej dzieli się na niezależny od wyników ekonomicznych przedsiębiorstwa i zależny; względem obu tych wzrostów stosowane są normy ogólne lub ogólnie (obiektywnie) różnicowane; wzrost zależny jest jednorazowy lub wygasający, czyli nie podlega w całości przenoszeniu na okresy następne.

Opowiadam się od dłuższego czasu za koncepcją drugą. Przede wszystkim dlatego, że koncepcja pierwsza obciąża uznaniowo-przetargową procedurą wyznaczania normatywnych. Na efektywność oddziałuje to w zakładanym modelu przedsiębiorstwa tak samo niszcząco, jak każda zindywidualizowana dyktawa krótkookresowa. Obawiam się, że jeżeli — wbrew naturze tej koncepcji — ujednolicona zostaje wysokość normatywna, lub wydłużony jego horyzont na okresy wieloletnie, nie dające się tolerować ruchy funduszy wynagrodzeń wymuszają manipulację finansową. Dla efektywności skutek jest ten sam co poprzednio. Koncepcja druga ma również swoją „piętę achillesową”. Jest nią, jak wiadomo, niebezpieczeństwo skłonności do nieracjonalnego zatrudnienia. Niestety, w warunkach nacechowanych głębokimi dysproporcjami pod każdym względem poprawa regulacja funduszu wynagrodzeń jest nieosiągalna. Skłonność do nieracjonalnego zatrudnienia można jednak neutralizować dość skutecznie za pomocą zależnego wzrostu płac, systemu ocen kadr kierowniczych i rozwijania infrastruktury społecznej sprzyjającej przesuwaniu siły roboczej. Obstaje więc przy koncepcji drugiej.

Regulacja średniej płacy ma jeszcze tę zaletę, że pozwala na spójne wbudowanie do systemu indeksacji wzrostu płac. Przy nieuniknionym i raczej stosunkowo znacznym wzroście ogólnego poziomu cen jest to rzecz istotna. Jak podkreślałem niejednokrotnie, idzie tu o indeksację planową. To znaczy — oparta na zapobieganych przez społeczeństwo wskaźnikach wzrostu płac i kosztów utrzymania w narodowym planie społeczno-gospodarczym.



Ceny ziemniaków trzeba ustalić wcześniej — mówią rolnicy w gminie Mordy. Na zdjęciu: Z. Borkowski, A. Bojarek (prezes GS), M. Budrewicz (naczelnik gminy), J. Sobanski (wiceprezes GS), T. Gorzkowski, T. Trębicki, E. Soszyński.

A WANTURA O ZIEMIANKACH

MARCIN MAKOWIECKI

NIEURODAJ ziemniaków, który wstrząsnął rynkiem żywnościowym podcina także inne dziedziny gospodarki. Np. przemysł spożywczy wyprodukował 15 zamiast 220 tys. ton mączki ziemniaczanej, bez której nie można wytwarzać kilkunastu ważnych artykułów przemysłowych. Rolnicy stracili część podstawowej paszy oraz znaczną część dochodów, które mieliby ze sprzedaży żywności i samych ziemniaków. Sytuację dodatkowo utrudnia nerwowa atmosfera, huśtawka cen na wolnym rynku i w sklepie i różne inne, często gorące decyzje podnoszące napięcie wokół „sprawy ziemniaków”.

Skutki tego zamieszania odczuwają nie tylko konsumenci, którzy płacą na bazarach po 11 zł za kilogram, ale także rolnicy. Nie wszyscy skorzystali z wysokich cen, ale wszystkich dotknął nieurodzaj. Najbardziej zaś tych, którzy nastawili swoje gospodarstwa na ten kierunek produkcji.

Premie dla leniwych

Edward Kowalczyk ze wsi Stok Ruski w gminie Mordy, przetrząsnął pięć hektarów (z 17-hektarowego gospodarstwa) pod uprawę ziemniaków. Podpisali umowę ze spółdzielnią ogrodniczą w Siedlcach na dostawę ziemniaków wczesnych — zawsze poszukiwanych i przez to na ogół bardziej dochodowych. Wcześniej już wiadomo było, że zbiory nie będą duże, ale nie nie zapowiadało takiego bałaganu na rynku. Toteż gdy do Kowalczyków przyjechał przedstawiciel spółdzielni, bez większych dyskusji („Kontrakt jest kontraktem”) 18 ton ziemniaków poszło po obowiązuje wtedy cenie 3,20 zł za kg.

Już wówczas — nawet w sierpniu — jeździli po siedleckich wsiach przedstawiciele różnych fabryk i kupowali ziemniaki płacąc więcej niż w sklepie (wtedy po 5 zł za kg). Kowalczykowie z tej koniunktury nie chcieli korzystać. Ze spółdzielnią mają wieloletnią umowę. I tak nie mogli dostarczyć tyle na ile opiewał kontrakt, a przy tym liczyli, że w razie czego spółdzielnia pomoże im w cięższych chwilach albo przy staraniach o przydział maszyn lub innych środków produkcji. Ta obywatelska postawa kosztowała ich kilkanaście tysięcy zł oraz utratę przyznanych później, dodatkowych przydziałów paszy i węgla.

Tym, którzy sprzedawali ziemniaki później skupi społeczeństwo oferował już znacznie wyższe, ustalone centralnie ceny. — Nie, nie mamy pretensji do spółdzielni, ale uważamy, że powinna ona upomnieć się o interesy swoich członków — mówi p. Kowalczyk. — Nigdy tak nie było, aby ziemniaki wczesne kosztowały mniej niż późne. Tym bardziej, że zbiera się ich zawsze mniej — nie są jeszcze wyrośnięte. Dokładnie obliczyliśmy, że cena, którą uzyskaliśmy, nie pokryła nawet kosztów robocizny, usług, nawozów itp. Gdybyśmy zbrali tyle co zawsze, to o własne zarobiliśmy, ale w tym roku tak nie było. Są chyba ludzie, którzy potrafia obliczyć to wszystko i ustalić ceny korzystne dla producentów.

Zdaniem rolników ustalony poziom cen ziemniaków powinien sprzyjać stabilizacji produkcji, umocnić zaufanie do państwa, a nie — jak w tym roku — pogłębiać dezorganizację rynku i faworyzować mniej sumiennych, opóźniających się ze sprzedażą dostawców. Aby postulat ten zrozumieć, przypomnieć musimy jak od początku kampanii próbowano przy pomocy cen wpływać na skup ziemniaków. Ceny te ustalane są centralnie przez PKC oraz CZSR „Samopomoc Chłopska”.

Ceny na wczesne ziemniaki jadalne (cały czas jest mowa o ziemniakach jadalnych) początkowo wyszły (5 zł/kg do 24 lipca) stopniowo zmniejszono w miarę wzrostu podaży, aż do poziomu 2,80 zł/kg w dniu 11 września. Potem, od 13 września wprowadzona została nowa cena — już na ziemniaki późne. Np. w woj. siedleckim było to 2,40 zł. Potem znów podniesiono ją do 2,80 zł (stosując dodatek za tzw. terminową dostawę), aż wreszcie po kilkunastu dniach ustalono cenę na 4 zł/kg oraz

możliwość zakupu 20 kg paszy treściwej i 30 kg węgla za każdy kwintal dostarczonych ziemniaków (można też było brać za to ekwiwalent pieniężny). Wszyscy ci, którzy po 13.IX. sprzedali ziemniaki po cenie niższej niż 4 zł/kg otrzymują wyrównanie. Na tym zmiany cen jednak się nie zakończyły. Od 15 listopada wprowadzono nowy dodatek, za który kopcowania i obecna cena wynosi 6 zł/kg plus w dalszym ciągu prawo do zakupu paszy i węgla.

Na tych zmianach zyskali więc wszyscy ci, którzy nie ulegli namowom i czekali ze sprzedażą. Jeśli można nawet zrozumieć intencje tych zmian cen, to niestety nie zauważyć ich negatywnych skutków.

W gminie Mordy

Naczelnik gminy Mordy, Mikołaj Budrewicz od początku wiedział, że nie będzie łatwo zgromadzić tyle ziemniaków jak co roku. Dlatego uruchomił cały swój aparat — służbę rolną, pracowników GS — aby skłonić rolników do jak najszybszej sprzedaży jak największej ilości ziemniaków. — Wiedzieliśmy jakie to ważne, więc „klamkowaliśmy” u nich i daliśmy rezultaty — prawie 2,5 tys. ton kupiła GS i spółdzielnia ogrodnicza. Sporo, chociaż mniej niż planowaliśmy (3,5 tys. ton).

Cały czas nie ułatwiała tego skupu działalność ekip z różnych zakładów pracy przyjeżdżających na podwózka rolników i oferujących odcinki wyższych cen — teraz 8 zł/kg — także inne zachęty. Do jednej z sąsiednich gmin przedstawiciele zakładów „Cora” przywieźli atrakcyjną odcinek, inni pomagali zaopatrzyć w cement lub materiały budowlane. Jakoś nikt nie przywoził jednak tego co czyni marzy niejednego rolnika — kopaczki do ziemniaków.

Teraz rolnicy, którzy dali się namówić ludziom naczelnika czują się głupio wystawieni do wiatru. Spotykam kilku z nich w urzędzie gminnym.

Tadeusz Gorzkowski (Radzików): — Sprzedaliśmy 24 tony, część w sierpniu po 4 zł i część 12 września, po 2,80 zł. Cena spadła, gdy przez 12 dni czekaliśmy na zamówiony transport. Teraz mi mówią, że nie należy mi się żadne wyrównanie. Płacę za swoją nadgorliwość. Obliczam, że straciłem na tym 71 tys. zł.

Edward Soszyński (Ostoja), prowadził 23-hektarowe gospodarstwo specjalizujące się w hodowli bydła. W tym roku sprzedał 55 ton ziemniaków (20 ton po 3 zł/kg przed 12.IX, a resztę po 4 zł). — Rolnikom zarzuca się nieraz, że kombinują, a jak postępuje ze z nami. Każdy chce przecisnąć tylko sprawiedliwej zapłaty za swoją pracę. Oszukacie nas można tylko raz.

Zygmunt Borkowski (Radzików): — W sierpniu sprzedałem 30 ton po 4 zł/kg. Nawet nie tyle chodzi mi o dopłatę — do poziomu obecnej ceny — ile o prawo do nabycia paszy i węgla. W tym roku sprzedałem 12 ton żywności woluminowej, 3,5 tony wlepszono i 1,6 tony baraniego. Nie rozumiem po co takie różnicowanie cen, skoro wszyscy tu pracują w podobnych warunkach i co mogą to chcą sprzedać, bo po to produkują. Teraz niektórzy, jak widzą że zmiany cen, czekają na jeszcze wyższe. Oto skutki. Ktoś powinien rolników przeprosić, że to co się stało.

Nie szczędzą żadnych mocnych słów na wyrażenie swoich pretensji. Naczelnik i inni przedstawiciele władz gminnych podziwiają ich opinie. Jest w gminie — znanej z produkcji dobrych ziemniaków — grupa około 600 rolników (ponad jedna trzecia ogółu) sprzedających dużo, nawet specjalizujących się w tej produkcji. Gmina stale z nimi współpracuje i stara się, aby odbywała się to na zasadach wzajemności. Czy będą oni chcieli teraz współpracować z gminą, chociaż wiedzą, że to nie naczelnik ustalił ceny ziemniaków i spowodował ten bałagan? Chętnie, aby współpraca była ustalana, aby rolnik wiedział, na co może liczyć i aby traktowany był jak partner w tej grze. Rolnictwo nie lubi niespodzianek.

Ziemniaczane zagłębie

Dla całego woj. siedleckiego jest to sprawa wielkiej wagi. Należy ono do grupy największych producentów ziemniaków w kraju (2375 tys. ton średnio w latach 1975—79, 1500 tys. ton w roku bieżącym; udział w krajowej produkcji ziemniaków wynosi 5,2 proc., pod tę uprawę przeznaczają się 26 proc. gruntów ornych). Tegoroczny nieurodzaj spowodował zmniejszenie skupu, ze 126 tys. ton średnio w latach 1975—79, do 50 tys. ton w obecnym roku. Władze wojewódzkie obliczają jednak, że dodatkowo około 45 tys. ton wywędrowało innymi niż oficjalny skup, drogami.

Szacują one również, że sezonowe różnice ustalonych centralnie cen skupu spowodowały obniżenie (albo jak kto woli zróżnicowanie) dochodów rolników aż o 62,6 mln zł za skupione ziemniaki późne i 14 mln zł za ziemniaki wczesne. Według opinii rolników i miejscowych władz owe zmiany cen nie tylko okazały się krzywdzące dla części producentów, ale także dezorganizowały skup.

Wicewojewoda Marek Zeleń i prezes Woj. Spółdzielni Ogrodniczej Marian Rosiński mają, na podstawie długiej praktyki, wyrobione poglądy na to co lepiej, od takich nerwowych decyzji służyć poprawie sytuacji w produkcji i na rynku ziemniaczanym. Ceny powinny się ustalać wcześniej i nie zmieniać ich w czasie kampanii. Od tego, aby dostarczyć wiarygodnych danych do decyzji są liczne wyspecjalizowane służby. Powinno się także brać pod uwagę opinie terenowych organów władzy oraz spółdzielni ogrodniczych i aparatów skupu. Ceny powinny być oczywiście zależne od urodzaju — niższe przy dobrych zbiorach — gwarantować muszą jednak minimum opłacalności produkcji. Gdy producenci to wiedzą, wcześniej planują, ile przeznaczają na sprzedaż, ile na przechowanie i na paszę.

W tym roku pewien wpływ na decyzję miał poziom cen wolnorynkowych. Ale powstała spirala: im wyższe były ceny oficjalne tym wyższą stawką „przebijali” niezależni kupcy. Dokąd można z tym zejść? Mało, że metody te zacinają oddziaływać na skup innych produktów np. cebuli i jabłek, ale także zrodziły niekorzystne zachowanie relacji cen rolnych. Dziś metr ziemniaków kosztuje o 50 proc. więcej niż metr zboża. A są to produkty o nieporównywalnie zróżnicowanej wartości (na korzyść zboża).

Są poza tym, oprócz cen, inne drogi racjonalizowania produkcji i zagospodarowania ziemniaków. Władze woj. siedleckiego — poza podnoszeniem poziomu produkcji, lepszej organizacji kontraktacji i skupu — widzą je przede wszystkim w podjęciu i zrealizowaniu niezbędnych inwestycji. Potrzebna jest na tym terenie przetwórcza, która mogłaby przerabiać występujące przy normalnym urodzaju nadwyżki. Projekt budowy przetwórcy w okolicach Łochowa nie został dotąd wprowadzony do planów inwestycyjnych. Obecnie wozą się stąd ziemniaki do Poznania i Płki.

Drugim problemem jest rozbudowa sieci przechowywania ziemniaków jadalnych. Racjonalne względy (przede wszystkim zachowanie dobrej jakości surowca) nakazywałyby, aby budować je tu właśnie, w bazie produkcyjnej, a nie w wielkich miastach. Dodatkowa korzyść z tego, to ograniczenie przewozów w okresie jesiennej szczytu.

Spraw związanych z produkcją ziemniaków jest wiele. W woj. siedleckim jest to dziś temat dnia w rozmowach i na zebraniach wiejskich. Wiele osób twierdzi, że zastosowana „polityka cen” przyniosła ze skutku nie tylko materialne, ale także podważała zaufanie rolników. Instytucje wojewódzkie chciałyby je odzyskać. Odwołują się więc do władz centralnych, przedstawiając argumenty producentów żądających wyrównania różnic cen za sprzedane w skupie ziemniaki. Na razie bez skutku.

O CO CHODZIŁO CUKROWNIKOM

PAWEŁ KAPUŚCIŃSKI

GDYBYM był reporterem, byłbym niepocieszony. Wiadomość o zakończeniu tzw. strajku okupacyjnego cukrowników w Pruszkach Gdańskim dotarła do mnie, w cukrowni w Chelmży, gdzie po drodze zatrzymałem się na krótki rekonesans. Na szczęście mniej interesuje mnie, co kto powiedział i jak się zachowywał, bardziej co było istotą sporu i jakie były przyczyny akcji protestacyjnej. Właśnie — akcji, a nie strajku.

W lecie, kiedy wybuchły pierwsze klasyczne strajki, długo pisano o „przerwach w pracy”. Teraz z kolei, akcję protestacyjną pracowników przemysłu cukrowniczego zrzeszonych w NSZZ „Solidarność” nazwano strajkiem, choć w tym czasie żadna z cukrowni nie przerwała ani na moment pracy, proklamowana zaś gotowość strajkować praktycznie przejawiała się dekoracją zakładów flagami narodowymi, wystawieniem straży robotniczych i... większym porządkiem i dyscypliną — jakoś nie wypadać upić się w robocie czy szwendać bez celu, gdy się nosi na ramieniu biało-czerwoną opaskę, a na ręce patrzy nie tylko majster, ale i koleś. Sama zaś akcja sprawiała się do tego, że kilkunastuosobowa grupa związkowców zainstalowała się 8 listopada w budynku Miejskiego Domu Kultury — vis a vis cukrowni w Pruszkach Gd. i nie opuszczała go aż do chwili podpisania „Porozumienia” z komisją resortową MPISIS, tzn. do 26 listopada.

Oczywiście, daleki jestem od bagatelizowania całej sprawy, a zwłaszcza traktowania jako coś normalnego konieczności użycia przez związkowców takich form nacisku na władze resortowe. Myślę, że można się było dogadać szybciej, a na pewno w innej konwencji i okolicznościach — w ramach zwyczajnych, roboczych spotkań obu stron, może cyklu konsultacji. Nienormalne metody znajdowania kompromisu w normalnych, między pracodawcą i pracownikami, różnicach zdań w kwestiach płacowych grożą bowiem zastrzeżeniem się konfliktu — aż do strajku właściwego. Był nawet taki moment, kiedy gotowość strajkować w cukrowniach była bliska przekształceniu się w serię strajków ostrzegawczych, którym notabene energicznie zapobiegli związkowcy zgromadzeni w Pruszkach Gd. Było to wtedy, gdy 21 listopada w Sejmie wicepremier Aleksander Kępcz informował posłów o przebiegającej od kilkunastu dni w Pruszkach grupie około 50 młodych ludzi, nie związanych bezpośrednio z produkcją, którzy żądają wyższych zarobków dla pracowników cukrowni, ponadto co przewidziano w programie rządowym, a także żądają przerwania pracy w niektórych cukrowniach dotychczasowych, czego zażądali nie użycy. W odpowiedzi pchnięto do Warszawy teleks wyślijący, że w akcji protestacyjnej bierze udział 74 delegatów reprezentujących 65 cukrowni, których średni staż pracy w cukrownictwie — mimo rzeczywistej młodości wieku, jak mogłem się naocznie przekonać — wynosi 14 lat, że nie żądają podjęcia akcji strajkowej, aczkolwiek nie mogą dać swarancji, że po wystąpieniu sejmowym Obywatela żądają nie podejmują strajku wbrew naszemu stanowisku. Na szczęście do tego nie doszło...

Rozmowy

Można jednak zrozumieć zamieszanie czynników rządowych. W końcu miał już miejsce jeden strajk cukrowników — w Chelmży właśnie. Trwał od 18 do 25 września: „...w najkorzystniejszym dla zakładu okresie — jak mi powiedział dyrektor ds. ekonomicznych cukrowni Witold Brzezicki — jeszcze przed rozpoczęciem kampanii, a już po zakończeniu remontów; co było jeszcze do zrobienia, ludzie skończyli potem, pracując po godzinach bez żadnej dodatkowej zapłaty.

Wrześniowy strajk w Chelmży zakończył się podpisaniem porozumienia z komisją resortową pod kierownictwem wiceministra Jarosza. Jego najważniejszą częścią były sprawy płacowe. Cukrownicy z Chelmży dostali — tytułem rekompensaty wzrostu kosztów utrzymania — podwyżkę o 2,10 zł na godzinę. Tak, jak sobie życzyli, wszyscy dostali po równo, od robotnika do dyrektora tej samej kwotę — 420 zł miesięcznie (średnio pracuje się w tym przemyśle po 200 godzin miesięcznie). Wydać by się mogło, że wielkość tej podwyżki i sposób jej rozdziału ma, automatycznie niejako, charakter modelowy dla załatwienia spraw płacowych w całym przemyśle cukrowniczym. Stało się jednak inaczej. Blisko dwa miesiące trwał spór za nim kierownictwo resortu uznało słuszność wysunętej przez związkowców zasady „wszystkim po równo” i zaakceptowało analogiczną wysokość podwyżki. (Ścisłe mówiąc, sama podwyżka w powstałych cukrowniach jest wyższa — 3,50 zł na godzinę, ponieważ jednak Chelmża, na

zasadzie wyjątku, uprzednio już korzystała z wyższych stawek płacowych, więc i po tej regulacji wywołanej akcją w Pruszkach stawki godzinowe w innych cukrowniach nadal są niższe średnio o 60 gr. na godzinę.)

Do Pruszcza dobiełem w parę godzin po podpisaniu porozumienia. Delegaci rozjeżdżali się do domów, także komisja resortowa pod przewodnictwem wiceministra Stanisława Szczepańskiego udała się już do Warszawy. Było to jej trzecie, nareszcie zakończone kompromisem, spotkanie z przedstawicielami NSZZ „Solidarność” cukrowników. Pierwszy raz reprezentanci kierownictwa resortu przemysłu spożywczego i skupu oraz resortu pracy, płac i spraw socjalnych prowadzili rozmowę w Pruszkach 8 listopada. Zakończyły się flakiem. Parafowano tylko dwa pierwsze punkty porozumienia — dotyczący akceptacji NSZZ „Solidarność” jako równoprawnego reprezentanta pracowników przemysłu cukrowniczego i o nieutrudnianiu działalności nowych związków. Rozmowy zaczęły się na punkcie 3 — piątym. W niedzielę 9 listopada komisja wyjechała do Warszawy. Także następne spotkanie 14—15 listopada nie przybliżyło rozwiązania tej najważniejszej kwestii spornej.

O co związkowcom chodziło?

Trudno byłoby na to pytanie odpowiedzieć, przedstawiając listę wszystkich żądań i wniosków, także tych, które wysuwano w trakcie negocjacji ze względu — jak mi powiedzieli — „taktycznych” np. „wywoławca” kwotę podwyżki o 1500 zł miesięcznie, uzasadnianą koniecznością zrównania płac w tym przemyśle ze średnią krajową. W różnych fazach rozmów wysuwano rozmaite propozycje.

Można natomiast dokładnie określić, jakie posunięcia resortu od początku spotykały się ze zdecydowanym sprzeciwem związkowców i w konsekwencji doprowadziły do akcji protestacyjnej w Pruszkach. Chodziło przede wszystkim o sposób załatwiania podwyżek — postawienie pracodawców wobec faktu dokonanej (jeśli nie liczyć zgody ZG ZZ Pracowników Przemysłu Spożywczego — „starych” związków — których stanowisko okazało się mało reprezentatywne dla opinii załóg cukrowni) i przyjętej zasady ich podziału: więcej zarabiający dostali więcej, mniej zarabiający — mniej.

Protokół nr 18

W istocie rzeczy sama wielkość podwyżek nie była osią konfliktu, a to że ich ogólna kwota będzie na podstawie podpisanego 26.XI. „Porozumienia” wyższa od pierwotnych ustalonych jest m. in. konsekwencją tego, że trzeba było „równać w górę”. Trudno sobie bowiem wyobrazić, żeby można było w listopadzie zapłacić grupie lepiej zarabiających pracowników mniej niż dostali w październiku, po to, żeby podnieść porybory tych z chudszych portfeli, z którymi wprowadzona od 1 października podwyżka chętnie się po macoszemu.

W ogóle wydaje się, że w czasie listopadowej fali protestacyjnej często chodziło nie tyle o pieniądze, co o sposób i zasady ich rozdziału.

Historię podwyżki dla pracowników przemysłu przedstawia mi — kierowniczka działu służb pracowników cukrowni w Szczecinie, Barbara Deszyńska i referentka działu inwestycyjnego w zarządzie cukrowni bydgoskich, Maria Włodarska. Pierwsza — młoda blondynka o powściągliwej urodziej sekretarki, pełnia w czasie akcji protestacyjnej w Pruszkach rolę jednego z ekspertów komitetu strajkowego. Po kilku minutach rozmowy rozumiałem już, jak ta absolutnie technikum ekonomicznego mogła być partnerem — i to trudnym — w negocjacjach z ministrem i dyrektorem.

Pierwszą wersję zasad podwyżek — mówi Barbara Deszyńska — otrzymaliśmy w połowie września — o tu mam teleks z przedsiębiorstwa Cukrownie Szczecińskie, datowany 16.IX. Była w miarę rozsądna. Dla pracowników fizycznych przewidywano wyższe podwyżki w grupach niższych uposażonych — że średnio 300 zł miesięcznie to za mało i dlatego lepiej zarabiający mają dostać więcej. Potem, na początku października dostaliśmy II wersję projektu. Umysłowi mieli dostać równo po 420 zł, a fizyczni tak jak to potem ustalono w „Protokole nr 18”. Aż wreszcie w połowie października otrzymaliśmy do realizacji „Protokół nr 18” do układu zbiorowego podpisanego przez ministra i ZGZZ Pracowników Przemysłu Spożywczego. Jak na ironię, akurat to co najbardziej krytykowaliśmy w obydwu przedstawionych projektach, znalazło się w tym dokumencie.

— A nam po prostu 1 października wręczono nowe angaży — mówi Włodarska.

„Protokół nr 18” całkowicie też zignorował tę zasadę „równościowego” rozdziału rekompensaty wzrostu kosztów utrzymania, za którą opo-

wiedziała się załoga cukrowni w Chelmży.

Robotnicy zaszerzegowani do pierwszej grupy ze stawką 10,20 zł na godzinę, otrzymali na podstawie tego „Protokołu” — podwyżkę o 2,10 zł na godzinę, czyli średnio 420 zł miesięcznie, natomiast w najwyższej IX grupie ze stawką 19 zł na godzinę, podwyżka wynosiła 3,50 zł na godzinę, średnio 700 zł miesięcznie. Pracownicy umysłowi otrzymali od 300 zł miesięcznie do 500 zł — tym więcej im kto więcej już zarabiał.

Rozwiązanie nie było chyba gruntośnie przemyślane. Nic zatem dziwnego, że postulat związkowców: wyrównać wszystko do 700 zł miesięcznie, musiał być w końcu przez komisję resortową przyjęty. Przykładem — robotnikom I grupy stawka została podwyższona o 1,40 zł na godzinę, kolejnym grupom proporcjonalnie coraz mniej, a pracownicy z IX grupa pozostaną na stawkach ustalonych w „Protokole 18”. Także niższe zaszerzegowanym pracowników umysłowym „Porozumienie” z Pruszcza przyniosło wyrównanie do 700 zł, a lepiej zarabiający zostali przy uprzedniej podwyżce 500-złotowej.

Porozumienie

„Porozumienie” zawarte 26 listopada w Pruszkach Gd. składa się ogólnie z 24 postulatów i uzgodnień. Nie będę ich tu szczegółowo referował. Wspomnę tylko, że np. urealnienie wartości tzw. dodatku branżowego — tj. pieniężnego ekwiwalentu deputata wysiłków, węgla i cukru — z 440 zł do 612 zł, nastąpi w okresie od 1 stycznia 1981 do 30 czerwca w formie „dodatku przejęciowego” w kwocie 172 zł, a od 1 lipca nastąpi podwyższenie zasadniczej wysokości dodatku branżowego do tychże samych 612 zł. Wprawdzie na jedno wychodzi, ale jakimś wyższym racjom formalnym musiało stać się zadanie.

Inne postulaty płacowe mają być jeszcze podjęciem negocjacji w trakcie opracowywania nowego układu zbiorowego cukrowników, który ma wejść w życie we wrześniu, przed przyszłą kampanią. Do tego czasu odłożono m. in. załatwienie sprawy umiędzielnienia plac dla pracowników starych i sezonowych (gorzej traktowanych od I.X.) — ich zróżnicowanie wprowadziło ów osławiony „Protokół nr 18”. (— Gdyby kampania trwała dłużej doszłoby do dużego antagonizmu między tymi dwoma grupami załogi — taki jednorodny komentarz usłyszałem od dyrekcji cukrowni Chelmża, która sobie wywalczyła jednolitą tabelę i w Pruszkach.)

Wśród 24 punktów „Porozumienia” obejmujących bardzo szeroki zakres spraw (powoływanie na stanowiska kierownicze fachowców, których kandydatury będą akceptowane przez załogi, choroby zawodowe, budownictwo mieszkalne i socjalne, przydział cukru dla emerytów, komputer, „Odra 1305” dla branżowego ośrodka informatycznego we Wrocławiu itd.) znalazł się też problem, na który warto zwrócić szczególną uwagę. Chodzi o stan techniczny tej bardzo zaniedbanej branży przemysłowej sprężarki. Mój pierwszy rozmówca w Pruszkach — delegat cukrowni lubelskich — zaraz na wstępie wręczył mi ulotkę, z której wytyczył, że o ile w 1950 r. tonę cukru uzyskiwano z 6,7 t. buraków, to obecnie z 9,5 tony, że zdolności przerobowe cukrowni wzrosły przez ten okres tylko o 45 proc., co powoduje wydłużenie kampanii i ogromne straty cukru. Prowadząc mnie do sekretariatu komitetu strajkowego, z przejęciem opowiadał o „destrukcji surowca” przez przemysł, który musi pozyskiwać część buraków z plantacji jeszcze niedojrzałych, a więc dających słabsze plony, część zaś surowca tak długo oczekuje na przerób że wydajność cukru jest parokrotnie niższa niż gdyby go przerobiono w terminie optymalnym. W sekretariacie natomiast polecił mi przeczytać pieczętowane przechowywane w teczkach z najważniejszymi dokumentami raport Stowarzyszenia Techników Cukrowników na temat sytuacji tego przemysłu. Oddzielny punkt „Porozumienia” postanawia, że ów raport poszerzony o analizę ekonomiczną będzie podstawą wspólnie opracowanego przez resort „Solidarność” i NOT programu rozwoju przemysłu cukrowniczego w latach osiemdziesiątych. W Pruszkach odniosłem wrażenie, że wszystkim tam bardzo na tym zależy. Ot, patrioci branży...

DZIEWIĘĆ DNI CZĘSTOCHOWY

SŁAWOMIR LIPiński

trybuna Czytelników

JÓZEF OBERSKI

CENY W BUDOWNICTWIE

CENY w budownictwie — z punktu widzenia efektywnego działania — powinny pełnić poza innymi dwa podstawowe zadania:

● być instrumentem rachunku ekonomicznego przy podejmowaniu decyzji w skali mikro- i makroekonomicznej;

● zapewnić rentowność wykonawcy robót budowlanych.

Tego rodzaju zadania mogą pełnić jedynie ceny ustalone w relacji do społecznych kosztów produkcji. W przypadku cen budownictwa, które kształtowane są według zasady kosztowej, powinny one odpowiadać ekonomicznie uzasadnionym kosztom produkcji zwiększonym o założony zysk. Obowiązujące obecnie ceny w budownictwie, niestety, nie pełnią tych podstawowych zadań, ponieważ są to ceny umowne, kształtowane w sposób dowolny, służące głównie do rozliczeń między wykonawcą a inwestorem. W obecnej postaci ceny tworzone za pomocą tak zwanych mnożników przeliczeniowych, uwzględniających elastyczność cen czynników produkcji, nie mogą służyć za podstawę do opracowania prawidłowego rachunku ekonomicznego. (Po prostu nie można takiego rachunku opracować ze względu na brak jednostkowych cen poszczególnych robót i elementów budowlanych).

Niezaprzecalnie od tego nastąpiła również decentralizacja cenotwórstwa wewnątrz resortu budownictwa i pmb. I tak na szczeblu centrali resortu pozostawiono tylko funkcję o charakterze strategicznym, natomiast funkcję o charakterze operacyjnym (prace merytoryczne) przekazano do podległych jednostek.

Instytut Organizacji, Zarządzania i Ekonomiki Przemysłu Budowlanego zobowiązano do podjęcia wiodącej roli w zakresie metodyki cenotwórstwa i wypracowania w tej dziedzinie postępowych rozwiązań, zaś Instytut Mechanizacji Budownictwa do opracowywania i interpretacji cen/ka pracy maszyn i sprzętu budowlanego.

Okazało się, że zdecentralizowana organizacja, szczególnie wewnątrz resortu budownictwa i pmb, nie jest w stanie podjąć temu zadaniu, ponieważ ceny w budownictwie powinny być rozwiązywane kompleksowo w dostosowaniu do obecnie obowiązujących warunków. Związka kiedy przystąpiono do weryfikacji cen i norm w budownictwie zgodnie z postanowieniami uchwały nr 4/78 RM.

Stworzona w „Bistypie” komórka w zakresie cenotwórstwa nie mogła w dostatecznej mierze pełnić nałożonych na nią zadań. Z kompetencji i zakresu działania „Bistypu” wyłączono szereg podstawowych zagadnień, jak: narzuty podstawowe; narzuty wyrównawcze i dodatki; cen/ka pracy sprzętu; katalogi cen elementów do budownictwa ogólnego; katalogi cen obiektów budynków mieszkalnych i hal przemysłowych; zagadnienia związane z zastosowaniem ETO dla celów cenotwórstwa.

Decentralizacja cenotwórstwa spowodowała również i to, że z pola widzenia zniknęło szereg tematów, między innymi dotyczących — takich zagadnień, jak: — prowadzenie stałych prac weryfikacyjnych w zakresie norm robocizny, materiałów i pracy sprzętu dla celów kształtowania przyszłych cen; — poszukiwanie nowej koncepcji kształtowania podstaw wyceny oraz wzajemnych uwarunkowań cen jednostkowych i zagregowanych; — metoda ustalania (mechanizm) zmian cen ze względu na stosowanie cen zmiennych (elastycznych); — ustalenie bazy kosztowej do opracowania prawidłowych cen w budownictwie mieszkaniowym; — opracowanie jednolitej nomenklatury robót budowlanych, która miałaby zastosowanie do opracowania cen, co oczywiście ułatwia zastosowanie ETO dla celów cenotwórstwa; — sposób prowadzenia kontroli stosowania cen;

— prognozy cen w budownictwie. Główną wadą decentralizacji cenotwórstwa jest to, że w zakresie kształtowania cen w budownictwie nie ma głównego dysponenta, jakim był do roku 1973 Departament Norm i Cen. W obecnej zdecentralizowanej organizacji zakres ustalonych kompetencji z upływem lat uległ znacznej zmianie. Wynikało to zarówno ze zbyt ograniczonej działalności „Bistypu”, jak i z tego, że departament podejmował szereg decyzji o charakterze operacyjnym (merytorycznym), wchodzących w zakres kompetencji innych jednostek, a szczególnie „Bistypu”.

Ze względu na brak uregulowania zakresu kompetencji chodzi o to, czy rolę tę ma pełnić nadal Ministerstwo Budownictwa i PMB, czy też Państwowa Komisja Cen. Obecny stan organizacyjny w zakresie cenotwórstwa w budownictwie wymaga uporządkowania. Dotyczy to: 1. Podziału kompetencji na szczeblach władz centralnych między Ministerstwem Budownictwa i PMB a Państwową Komisją Cen. Wynika to z tego, że obok uchwały nr 185/73 Rady Ministrów w zakresie organizacji międzyresortowej obowiązują obecnie również uchwały nr 4/78 RM wprowadzające pewne zmiany w zakresie kompetencji ustalania cen w budownictwie. I tak ust. 4 § 4 tej uchwały postanawia, że przewodniczącym Państwowej Komisji Cen obejmującej nadzór (którego przedtem nie miał) nad ustalaniem cen w budownictwie, Wydaje się, że jest to słuszne, gdyż PKC powinna obejmować całość problematyki cen w kraju. Przy tym kompetencje PKC powinny być tu analogiczne jak przy ustalaniu cen wyrobów przemysłowych, to znaczy projekt cen opracowywać resorty produkcyjne, a PKC prowadzić

KOMUNIKAT odczytany po dziewięciu dobach spędzonych przez 200 członków komisji koordynacyjnej w klubie „Ikar” brzmiał krótko: „Solidarność” po wysłuchaniu informacji ministra Kępy „oświadcza, że z dniem 19 listopada 1980 r. o godzinie szóstej trzydziestej kończy swoje posiedzenie protestacyjne oraz odwołuje stan pogotowia strajkowego. Częstochowa, dn. 19.XI. 1980 r.”.

W przypadku, gdyby do zakończonego tym komunikatem rozmów nie doszło, właśnie tego dnia, w środę, w różnych zakładach Częstochowy odbyły się godzinny strajk ostrzegawczy.

O osiągnięciu porozumienia w Częstochowie doniosły komunikaty PAP. Komunikaty nie informowały, czego to porozumienie dotyczyło. W sobotę mieszkańcy regionu w telewizyjnej retransmisji poselskiej godziny pytań usłyszeli za to informacje ministra Kępy, który powiedział, że Komisja Rządowa nie stwierdziła ani jednego faktu złamania czy naruszenia prawa przez władze częstochowskie, że nie ma podstaw do opinii, iż wprowadzili one na terenie województwa stan wyjątkowy wobec „Solidarności”, że wojewoda i wice-wojewodowie nadal pełnią swe funkcje. W poniedziałek w zakładowych komitetach, w komitecie regionalnym rozdzieliły się telefony, ludzie przychodzili z pytaniami: jak to? We wtorek na posiedzeniu komisji koordynacyjnej ustalono więc, że jej delegacja uda się do Warszawy, żeby wyjaśnić sprawę w Sejmie.

Sprawa wzbudziła równo dwa tygodnie wcześniej, 10 listopada przed południem wojewoda częstochowski Mirosław Wierzbicki prowadził naradę z dyrektorami przedsiębiorstw, zakładów, instytucji. Decyzje z tej narady dyrektorzy zaczęli wprowadzać w życie zaraz po południu. Po południu też w Warszawie ogłoszono zostało orzeczenie Sądu Najwyższego rejestrującego statut „Solidarności” bez zmian. Zanim jednak ta wiadomość dotarła do Częstochowy, dyrektorzy odbyli naradę z aktywami swoich zakładów. Potem wezwali szefów zakładowych komórek „Solidarności”. Antoni Tajer, przewodniczący komitetu w Hucie im. Bieruta powiedziała, że idąc do dyrektora wiedział już mniej więcej co się święci: — Ale kiedy usłyszałem to wszystko, to byłem zaskoczony. Myślałem, że jestem na odprawie wojennej. Dotąd czuliśmy się jak współgospodarze zakładu, a wtedy poczułem się, jakbym naprawdę działał przeciwko państwu i socjalizmowi.

Gwoli sprawiedliwości należy zaznaczyć, że dyrektor huty od początku traktował „Solidarność” po partnersku i nadal cieszy się autorytetem: — Przekazał nam to w sposób zgodzony. Sam był przynajmniej dyspozycyjny jakże otrzymał.

Owe dyspozycje, zdaniem członków częstochowskiej „Solidarności” oznaczały wprowadzenie stanu wyjątkowego na terenie województwa. Na dowód, że tak było w istocie, przytacza „Solidarność” świadectwa trojakoego rodzaju. Pierwszym świadectwem są więc wypowiedzi dyrektorów, protokoły z odbytych w zakładach narad i wewnętrzne zarządzenia. Drugim — działania dyrektorów. Wreszcie trzecim — wypowiedzi samego wojewody, nagrana w trakcie KSR w Zakładach Materiałów Ogniotrwałych we wtorek, 11 listopada, której fragmenty cytujemy niżej.

Wojewoda mówił wtedy: „Stwierdziłem, że w zakładach pracy dzieją się rzeczy niedobre. Następuje obniżenie autorytetu władzy... obniżenie wydajności, dochodzi do eskalacji żądań placowych...”

Niektórzy dyrektorzy, według oświadczeń członków „Solidarności” zabronili składania do władz zakładowych i miejskich dalszych postulatów.

Wojewoda: „Na podstawie oceny sytuacji jakiej dokonaliśmy w województwie... wydałem odpowiednie polecenia na tej podstawie... Moje dyspozycje szły w następujących kierunkach. Wzmocnienie ochrony mienia, a więc postawienie w stan gotowości straży przemysłowej, przeciwpożarowej, żałóg, a więc odpowiednich służb i odpowiednich kierowników i następnie ograniczenie wejścia na zakład bez wyraźnej delegacji... bądź delegacji w formie legitymacji. A przedstawiciele regionalnego komitetu mogą wejść na legitymację komitetu... Nie wiadomo było, jakie stanowisko zajmie rząd (prawdopodobnie chodziło o Sąd Najwyższy) a myśmy się zdecydowali jako władza, że w przypadku strajku podejmujemy wszystkie niezbędne środki celem przeciwdziałania się eskalacji strajku. Wydałem polecenie, aby objąć kontrolą poligrafię i niedopuszczanie do drukowania w drukarniach państwowych antypaństwowych hasel i instrukcji dotyczących w porządek prawny socjalistycznego państwa.”

Niektórzy dyrektorzy zabronili jakichkolwiek przystępowań do strajku. Zabronili korzystania przez „So-

lidarność” z radiotelefonów, z powiadaczy, telefonów, zabrali z komitetów maszyny do pisania, nakazali zdjąć (i zdejmowano) wszelkie hasła i komunikaty wywieszone przez „Solidarność”. Napisałem — niektórzy dyrektorzy, ale w komitecie regionalnym zapewniali mnie, że takie działania podjęto w większości spośród prawie 160 zrzeszonych w komitecie zakładów.

Wojewoda: „Po trzecie wydałem dyspozycje dyscyplinowania pracy określając, że nie płacimy za czas nieprzepracowany... Następnie określiłem obowiązki dyrektora na zakładzie, jak również wydałem polecenie dyrektorom określania obowiązków do mistrza włączania. Określiłem, że dyrektor jest przedstawicielem państwa na zakładzie i ma wykonywać wszystkie swoje zadania wynikające z obowiązujących norm prawnych, a więc prawa ogólnego, kodeksu pracy i porozumienia gdańskiego...”

Niektórzy dyrektorzy określili się jako pełnomocnicy rządu. Dyrektor wydziału kultury UW miał — według relacji jednej z uczestniczek — na naradzie z podległymi mu kierownikami jednostek powiedzieć, że jeśli któryś z nich nie czuje się na siłach wykonywać tych dyspozycji, niech przyzna, to będzie urlopowany. Dyrektorzy oświadczyli też, że jeśli pracownicy nie będą się podporządkowywali zaleceniom, to będą zwalniani z pracy. A za czas strajku nie otrzymają pieniędzy.

Wojewoda: — „Przy tym powiedziałem, że jeśli komunikaty prasowe będą informować o zastraszaniu sytuacji bądź łagodzeniu sytuacji, to dyrektorzy stosownie do tego będą podejmowali działania... Oczywiście te wytyczne miały funkcjonować w sposób zdecydowany i ostry w czasie strajku, bo myśmy strajku nie popierali i nie będziemy popierać...”

Niektórzy dyrektorzy mieli oświadczyć, że w przypadku strajku dojdzie do konfrontacji sił, że strajk będzie tłumione. W Hucie im. Bieruta dyrektor po zapoznaniu komitetu „Solidarności” z wytycznymi wojewody włączył radio i wszyscy czekali na komunikat z Sądu Najwyższego. — *Nastroje mieliśmy minnowe* — wspomina Antoni Tajer. — *Mówiliśmy, że Polska zawsze była krajem tolerancji, że w zasadzie nie było u nas nigdy wojny domowej, a teraz... Zaraz jednak w eterze pojawiła się informacja, że rejestracja dokonano.*

Wojewoda: „Ponieważ Sąd zdecydował legalizację i strajku nie będzie, sytuacja łagodziła się wytyczne, ale w dalszym ciągu obowiązują ochrona mienia. My nie możemy dopuścić, aby na naszych zakładach drukowano antypaństwowe ulotki i obowiązuje dyscyplinowanie pracy”.

We wtorek rano członkowie Komisji Koordynacyjnej regionalnego komitetu zebrał się na normalne, wcześniej zaplanowane posiedzenie w klubie MPK „Ikar”. Miano dokonać wyboru władz komitetu. Głównym tematem rozmów przed posiedzeniem były jednak wydarzenia dnia wczorajszego. Ledwie więc zerbranie otwarto, delegaci jeden przez drugiego zaczęli mówić o sytuacji w swoich zakładach. Wkrótce podjęto uchwałę, żeby wojewoda przybył tutaj jeszcze tego samego dnia i wytłumaczył się z wczorajszej narady. Ządano, aby zorganizował taką samą naradę, tyle że już z udziałem „Solidarności” i odwołał na niej swoje zalecenia.

Kiedy członkini prezydium komitetu przekazała telefonicznie te żądania dyrektorowi gabinetu wojewody, ten oświadczył, że wojewoda może się przyjąć trzyosobową delegacją „Solidarności” u siebie. Członkini prezydium odparła, że ich jest tutaj 200 osób, każda z nich czeka na informację, czy więc do wojewody mają jechać wszyscy? Widocznie zabrzmiło to jak groźba, bo dzień później na KSR w ZMO wojewoda mówił: „... Zażądano, abym ja przybył do MPK i wytłumaczył się z wytycznymi dyrektorom poleceń, bo jeśli ja nie przybędę, to za chwilę podjadą samochody MPK i będzie okupowany Urząd Wojewódzki. Ja oczywiście mam swój plan dnia, miałem spotkanie z handlowcami, a teraz tutaj. A poza tym uważam, jest jakiś, musi być jakiś autorytet władzy i skończył się już ten okres żądań, okres, kiedy władzy narzucano i robiono z tą władzą, co się chciało niekiedy. Władza musi być władzą, w każdym państwie i obojętne, czy to władza sprawuje ją, czy ktokolwiek inny, to jest to w końcu funkcja wojewody i ja nie mogę być zastępowany takimi żadaniami. Ja bym na to spotkanie mógł pojechać, gdyby dzień wcześniej ktoś ze mną rozmawiał, zaproponował, uzgodnił, a nie w momencie, kiedy ja mam nagany cały dzień aż do godziny 17. Wobec tego zaproponowałem przedstawicielowi „Solidarności”... że gotów jestem spotkać się dzisiaj o godzinie 12 lub 17 (u siebie). Nie zostało to przyjęte.”

Tego dnia wojewoda rzeczywiście spotkał się z handlowcami. Ponieważ delegacja „Solidarności” na dwunastą nie przybyła, udał się na KSR do ZMC. W trakcie KSR jeden z członków „Solidarności” przypomniał wojewodzie, że tam, w „Ikarze” na wojewodę czekała. Kiedy zaś wojewoda oświadczył, że umówiony był tutaj i tutaj zostanie, członkowie KSR należący do „Solidarności” (po nad połowa obecnych) manifestacyjnie opuścili salę.

W „Ikarze” uchwalono, że na wojewodę zebrani czekać będą tylko do dziewiętnastej zero zero. Ponieważ ten się nie zjawił, wysłano telex do Rady Ministrów z opisem sytuacji i prośbą o przyjazd komisji rządowej. Postanowiono, że zebrani nie opuszczają klubu dotąd, aż taka komisja nie przybędzie.

We wtorek, w Spółdzielni Inwalidów „Anka”, w odpowiedzi na gorliwe stosowanie się prezesa spółdzielni do zaleceń wojewody, grupa młodych kobiet weszła do gabinetu prezesa z autentyczną taceką. — *Wsiadaj pan, bo inaczej posadzimy* — powiedziały. Prezes wtedy wyszedł z gabinetu. Wojewoda mówił więc: „Kto mi zaręczy, jakby postąpiono w stosunku do mnie, gdybym pojechał na to spotkanie z dwustu ludźmi. Nie o to zresztą chodzi, tylko o to, że władza musi być władzą”.

Następnego dnia, w środę, dyrektor gabinetu wojewody zawiadomił zebranych, że wojewoda dzisiaj może już na spotkanie z nimi przybyć. Dyrektor gabinetu przyjechał do „Ikaru” oświadczone mu, że dzisiaj jest już niestety na to spotkanie o jeden dzień za późno i wojewoda nie jest już zebrany potrzebny, bo czekają oni na komisję rządową.

Dwa dni później, w piątek, do oczekujących w „Ikarze” przybył i sekretarz KW PZPR Józef Grygield. Przybył w charakterze przewodniczącego WRN. Przewodniczący powiedział, że wojewoda nie mógł wprowadzić stanu wyjątkowego, ponieważ takiego stanu nasze prawo dawstwo nie przewiduje. Zasiadający w komisji prawnik „Solidarności” Wacław Piech odparł, że choć istotnie wojewoda w swojej wypowiedzi (cytowanej wyżej) takiego sformułowania nie użył, to swoją instrukcją zawiesił działanie szeregu przepisów prawnych. Bo skoro zakazał zgłaszania postulatów, to naruszył prawo obywateli do skarg i zażaleń. Mówiąc, że będzie przeciwnikiem strajkowi, naruszył prawo do strajku. Skoro postanowił kontrolować poligrafię, to zawiesił prawo związku do posiadania własnych niezależnych wydawnictw. To samo z postanowieniem o nieudostępnianiu komitetom radiotelefonów i telefonów. Naruszeniem prawa jest też groźba nie pracownikom zwolnieniami z pracy, decyzja, że za strajk placowane będzie oraz stwierdzenie, że dyrektorzy są przedstawicielami państwa. W sumie komisja koordynacyjna zarzucała wojewodzie naruszenie prawa, bądź choć zawieszenia prawa w siedmiu punktach.

Wtedy przewodniczący zauważył, że w wypowiedzi wojewody nie ma aż tak ostrych akcentów. Jeśli więc były w zakładach przypadki szykanowania komitetów, to winni są nadgorliwi dyrektorzy, którzy opacznie pojęli otrzymane wytyczne.

O wojewodzie Wacław Piech powiedział: — *Uchodził zawsze za człowieka spokojnego i rozważnego.* Jeden z członków prezydium komitetu zapytany o stosunek wojewody do „Solidarności” przed 10 listopada powiedział, że nie zauważył u niego wcześniej oznak niechęci. — *Ale spotkaliśmy się tylko trzy razy i niczego ważnego nie żądaliśmy.* „Solidarność” w Częstochowskim, gdzie w sierpniu nie było strajków, powstała bowiem dość późno, dopiero w końcu września. W wypowiedzi w ZMO wojewoda, mówiąc o regionalnym komitecie, kilkakrotnie podkreślał, że odtąd, czyli po decyzji Sądu Najwyższego, „przystępujemy do pracy jako partnerzy. Będzie inna jakość pracy”. Mówił: „Chcę, aby do współzręczności wciągnąć „Solidarność”, choć dawał: „...ale nie możemy pertraktować z pozycji siły”.

Członkowie „Solidarności” twierdzą zaś, że to przemówienie wojewoda wygłaszał do robotników dzień po naradzie i dlatego było ono sformułowane w porównaniu z tym, co na naradzie usłyszeli dyrektorzy.

Na spotkaniu z przewodniczącym WRN mówiono też o polityce władz wojewódzkich w ogóle. Przytaczano przykłady na ich nieudolność, na niegospodarność itp. Mówiono na przykład, że sytuacja szpitalnictwa w województwie jest tragiczna, ale zamiast szpitala budowanego olbrzymie, drogie gmachy dla KW PZPR i KW MO. Wyjaśnienia przewodniczącego nie usatysfakcjonowały zebranych. Nawet ich opinię o władzach pogorszyły.

W sobotę rano podjęto uchwałę, że jeśli komisja rządowa nie zjawi się, to w środę w różnych zakładach Częstochowy odbędzie się godzinny strajk. Podjęto też uchwałę, że „Solidarność” domaga się usunięcia wojewody, trzech wicewojewodów, prezydenta miasta oraz zdjęcia z funkcji przewodniczącego WRN oraz przewodniczącego MRN.

W rozmowie z Wacławem Piechem zgłaszałem wątpliwość, czy aby w odpowiedzi na działania wojewody, „Solidarność” sama nie chwyciła się metod wykraczających poza jej uprawnienia statutowe. Ostatecznie z zdziwieniem z funkcji przewodniczącego rady narodowej powinna decydować sama rada. Związki mogą też, a nawet powinny opiniować prace urzędników, przekładać ich zwierzchnikom wynikające z tych ocen sugestie, ale uciekanie się do wywierania presji, aby zapadły określone decyzje, może być w oczach władzy działaniem także nie fair. — Wojewoda naruszył nasze interesy, musieliśmy się więc bronić. Ale oczywiście nie chcemy działać niezgodnie ze statutem i w końcu przecież zawarliśmy kompromis.

Po południu do „Ikaru” zadowolili wojewodzie resortu Administracji, Gospodarki Terenowej i Ochrony Środowiska Jan Jabłoński, zapraszając delegację komitetu na rozmowy do Warszawy. Po burzliwej dyskusji propozycję tej odwołano. Powiedzieli, że komitet czeka w Częstochowie.

W niedziele, o ośmiemnej przybył więc wojewodzie Jan Jabłoński. „Solidarność” przedstawiła mu swój punkt widzenia. Gość zdobył sympatię zebranych.

W poniedziałek rano wojewodzie zjawił się ponownie. Odczytał zgłoszoną przez wojewodę rezynację z zajmowanego stanowiska oraz oświadczył, że sprawy pozostałych urzędników zostaną zbadane. Zebranych to jednak nie zadowoliło.

We wtorek rano przybyła więc komisja rządowa z ministrem Józefem Kępą na czele. Rozpoczęły się obrady z udziałem obwinianych władz wojewódzkich. Z tym udziałem było trochę kłopotu, bo „Solidarność” powiedziała, że nie żyje sobie siedzieć przy stole obrad razem z wojewodą. Wojewoda wstał, chciał wyjść, ale minister zatrzymał go i w końcu na udział wojewody zgodzono się. Przebieg obrad transmitowany był na plac przed „Ikarzem”, gdzie zgromadziły się tłumy mieszkańców miasta. Wszyscy byli podnieceni. Jedną panią w napisanym potem liście do komitetu wyznała, że czasem targali na niepokój. „Ludzie, którym udowodniono tyle przestępstw — pisała — mogli być zdecydowani na wszystko...”.

Przestępstw jednak władzom nie udowodniono. Stawiano zarzuty natury ogólnej. Wicewojewodzie do spraw rolnictwa, że na siłę zakładał rolnicze spółdzielnie, że na polach i w chlewniach jest marnotrawstwo. Wicewojewodzie do spraw zdrowia, że ludzie w szpitalu umierają na korytarzach, że oddział onkologiczny mieścił się w szpitalu miejskim, w związku z czym promieniowanie jest tam grubo ponad miarę. Wicewojewodzie do spraw budownictwa, że nie ma mieszkań. Prezydentowi, że posługiwał się tytułem magistrata, choć go nie ma.

Potem wyjaśnienia składali wyżej wymienieni. Przedstawiciele władzy mówili więc, że nie wszystko od nich zależy, że brak środków, że owszem, popełniali różne błędy, ale któż ich nie popełnia. Niektóre wyjaśnienia robiły wrażenie. Nawet ta pani, która wyrażała takie obawy, przyznała, że kiedy mówił wojewoda, zrobiło się jej go żal, ale teraz już zrobiło się jej chwili słabości. W chwilę po udzieleniu wyjaśnień zasiadł prezydent miasta.

Stanowisko Komisji Rządowej było podobne jak przewodniczącego WRN. Nie ma podstaw do opinii, że wojewoda wprowadził aż stan wyjątkowy. Jan Styra, członek prezydium Regionalnego Komitetu powiedział: — Określenie stan wyjątkowy i my używaliśmy w cudzysłowie. Z wypowiedzi członków komisji wynikało jednak, że przynajmniej, iż wojewoda zalecił niczym nie uzasadniony zaostrzony kurs wobec „Solidarności”, naruszający ducha porozumienia gdańskiego.

W końcowej fazie pertraktacji rozmowy z komisją rządową prowadzili już w ciszy tylko delegacja zebranych. O szóstej trzydziestej minister Kępa odczytał oświadczenie: „Informuję, że po pierwsze, wojewoda częstochowski... złoży na piśmie wniosek do prezesa Rady Ministrów o zwolnienie z zajmowanego stanowiska. Po drugie, przewodniczący WRN... złoży rezynację z pełnionej funkcji przewodniczącego WRN na najbliższej sesji MRN. Przewodniczący MRN w Częstochowie... złoży rezynację z pełnionej funkcji przewodniczącego MRN na najbliższej sesji MRN w Częstochowie. Po czwarte, w związku z zarzutami sformułowanymi wobec wicewojewodów... oraz prezydenta... rozstrzygnięcia zostaną podjęte w terminie do dnia 15 grudnia 1980 r.”

Zaraz potem „Solidarność” ogłosiła, że kończy posiedzenie protestacyjne i odwołuje gotowość strajkową.

W związku z niecisłami, zdaniem „Solidarności”, informacją ministra Kępy w Sejmie, w czwartek 27 listopada, delegacja komitetu została przyjęta przez członków prezydium sejmowej Komisji Administracji oraz wicemarszałka Sejmu Halinę Skibińską. Delegacja wyjaśniła powody swojej wizyty. Prezydium komisji sejmowej uzyskało zapewnienie ministra Kępy, że wszystkie ustalenia zawarte w Częstochowie są i będą realizowane. Treści komunikatu ukazał się też w prasie. Ustalono, że do Częstochowy przyjdzie jeszcze wojewodzie Jan Jabłoński dla zbadania pozostałych spraw. Z wyników wizyty w Sejmie „Solidarność” jest zadowolona.

Wcześniej już, zgodnie z porozumieniem, przewodniczący WRN oraz przewodniczący MRN na sesjach tych rad złożyli rezynację z pełnionej funkcji.

SAMORZĄD POZA PRZEDSIĘBIORSTWEM?

JÓZEF GAJDA

BEZPOŚREDNIM impulsem do napisania tych uwag stała się opublikowana w numerze 43 „Z.G.” rozmowa Aleksandra Jędrzejczaka z prof. Jerzym Pietruchą, dotycząca przywrócenia i rozszerzenia roli samorządu pracowniczego, oraz artykuł Wiesława Nowaka pt. „Co może, a czego nie może samorząd” („Z.G.” nr 41).

Zanim jednak przejdę do dalszych uwag, przypomnę dwa fragmenty moich rozważań na ten temat napisanych przed przeszło 20 laty, które to rozważania będą mi dalej potrzebne. Otóż pisałem wtedy: „W przeprowadzanej obecnie decentralizacji i demokratyzacji zarządzania naszą gospodarką narodową ważnym zadaniem jest odróżnienie w ramach gospodarki socjalistycznej właścicieli środków produkcji od użytkowników tych środków zainteresowanych materialnie w ich pełnym wykorzystaniu... Połączenie w rękach państwowej administracji gospodarczej roli właściciela środków produkcji i zarządzania tymi przedsiębiorstwami w imieniu załogi wraz ze zwiększeniem uprawnień gospodarczych przedsiębiorstw uważałem za przejmowanie przez załogi przedsiębiorstw — reprezentowane przez rady robotnicze — funkcji przedsiębiorców w gospodarce socjalistycznej. Całe społeczeństwo reprezentowane przez organa państwa ludowego pozostaje właścicielem środków produkcji wszystkich przedsiębiorstw społecznych” („Mysli Gospodarcze” 1957, nr 2).

Chciał wypowiadać przeze mnie przed laty teza o przejmowaniu przez samorządy robotnicze wszystkich funkcji przedsiębiorców okazała się zbyt uproszczona i została podważona (por. np. B. Gliński, „Teoria i praktyka zarządzania przedsiębiorstwami przemysłowymi”, PWE 1964), to jednak nadal sądzę, że można mówić o przejmowaniu przez załogi niektórych funkcji przedsiębiorców i potrzeba rozróżnienia roli właściciela i użytkowników środków społecznych w gospodarce socjalistycznej. W tym celu należałoby rozróżnić rolę właściciela i użytkowników środków społecznych w gospodarce socjalistycznej. W tym celu należałoby rozróżnić rolę właściciela i użytkowników środków społecznych w gospodarce socjalistycznej.

Doświadczenie i teoria wskazują również, że do rozważań nad strukturą organizacyjną aparatu i funkcjami zarządzania gospodarką socjalistyczną obok podziału roli między właściciela i użytkowników środków produkcji należy także rozważanie dodatkowej roli i roli niezbędnego fachowego aparatu zarządzania (menadżerów) reprezentującego zarówno właściciela (społeczeństwo i państwo), jak też użytkowników (załogi zakładów pracy). A rozwiązanie tego ostatniego problemu wcale nie jest proste, lecz wysoce dyskusyjne. Wskazuje na to wyraźnie wspomniany na wstępie ciekawy artykuł W. Nowaka, podkreślający szczególną rolę fachowego aparatu kierowniczego w zarządzaniu.

Zgadzać się z niektórymi tezami tego artykułu, pragnę jednak zauważyć, że autor nie odróżnia w nim dość wyraźnie właścicieli od użytkowników społecznych środków produkcji. Pisząc bowiem, iż „ogół właścicieli powierza kierowanie produkcją tym spośród siebie, którzy są kompetentni” pomija fakt, że dyrektor przedsiębiorstwa musi działać w imieniu obu różnych grup właścicieli, tj. załogi przedsiębiorstwa i ogółu właścicieli (tj. społeczeństwa, a w tym także i załogi tegoż przedsiębiorstwa). Pełnienie więc swej roli przez fachową kadrę kierowniczą w sposób służący moż-

liwie najlepiej obydwu wspomnianym grupom właścicieli wymaga uprzednio właściwego uzgodnienia i rozgraniczenia tych interesów przez określenie odpowiedniego stopnia samodzielności gospodarczej przedsiębiorstwa i powiązania korzyści załogi z efektami jego działalności. Fakty te nie są bez znaczenia dla kwalifikacji wymaganych od fachowej kadry kierowniczej przedsiębiorstwa, która nie tylko kieruje produkcją, ale także kształtuje stosunki produkcji jako stosunki społeczne, tak obecnie u nas napięte.

A jedną z przyczyn tego napięcia było — zgodnie z dość powszechną opinią — nadmierne ograniczenie samodzielności przedsiębiorstw i związany z nim faktyczny zanik roli samorządów robotniczych oraz poważne ograniczenie inicjatywy innowacyjnej pracowników. Stąd też główny problem pogłębienia działania samorządów robotniczych w zakładach pracy wiąże się ze zmianą systemu zarządzania gospodarką, a w jego ramach ze wzrostem samodzielności przedsiębiorstw oraz z rozwojem form współdziałania samorządów pracowniczych z dyrekcjami przedsiębiorstw. W tej zaś ostatniej sprawie na uwagę zasługują przedstawione w wywiadzie prof. J. Pietruchy rozważania na podstawie projektów katowickiego Centrum Badań Społeczno-Zawodowych.

Wśród nich na uwagę zasługuje propozycja zakładowych umów zbiorowych zawieranych między dyrekcją a samorządem pracowniczym. W koncepcji tej umowy zastrzeżenia nasuwa usytuowanie dyrektora przedsiębiorstwa jako strony (kontrahenta) w tej umowie, a więc osoby stojącej niejako całkowicie poza załogą. Propozycja ta wymaga, jak sądzę, konfrontacji z inną, też dyskusyjną, lecz bardziej racjonalną, koncepcją umowy zaproponowaną ostatnio przez prof. Z. Fedorowicza, a mianowicie umowy między państwem a samorządem załogi przedsiębiorstwa („Zycie Gospodarcze” nr 44).

Rozróżnianie pojęć właścicieli i użytkowników społecznych środków produkcji wymaga także szerszego niż dotąd spojrzenia na rolę samorządów robotniczych czy też dokładniej mówiąc, na rolę i zasięg udziału pracowników w zarządzaniu gospodarką socjalistyczną. Chodzi mianowicie o to, że rozważanie nad udziałem pracowników w zarządzaniu ogranicza się niemal wyłącznie do szczebla przedsiębiorstwa. Tak postępuje większość autorów piszących na te tematy, tak też zakres samorządu pracowniczego wpatrują obaj wspomniani na wstępie autorzy.

Nie negując faktu, iż szczególna rola samorządu pracowniczego przypada na zakłady pracy, niezbędne jest jednak także rozszerzenie tej roli na wyższe szczeble zarządzania gospodarką socjalistyczną. Na tej drodze zresztą nasza praktyka społeczno-gospodarcza poczyniła już w ostatnich latach pewne nieznaczne postępy. Polegają one na tym, że stosownie do wytycznych Biura Politycznego KC PZPR i CRZZ z roku 1978 w zjednoczeniach i jednostkach równorzędnych co najmniej raz do roku mają być zwoływane przez zarząd główny związku zawodowego w porozumieniu z dyrektorem zjednoczenia konferencje przedstawicieli samorządów robotniczych z przedsiębiorstw zgrupowanych w danym zjednoczeniu. Rola tych konferencji ma polegać na opiniowaniu planów wieloletniego rozwoju społeczno-gospodarczego branży i planów rocznych, w tym zwłaszcza wspólnych dla branży przedsięwzięć produkcyjnych, usługowych i społecznych.

Druga próba rozszerzenia zakresu roli samorządów robotniczych objęła powołanie, na podstawie wspomnianych już wytycznych, przy Komitetach Wojewódzkich PZPR

zespołów do spraw samorządów robotniczych. W skład tych zespołów weszli przedstawiciele samorządów robotniczych z większych zakładów pracy danego regionu, a ich przewodniczącymi są sekretarze KW PZPR. Zadaniem tych zespołów ma być inspiracja nowych treści i form działalności zakładowych samorządów robotniczych a także wymiana doświadczeń i koordynacja niektórych zamierzeń. Krótki czas istnienia wspomnianych dwu form wyjątkowo samorządów robotniczych p.o.a. przedsiębiorstwa i to jeszcze w okresie wyraźnego osłabienia aktywności zakładowych samorządów robotniczych daje nikłe podstawy do oceny działania tych form i wyciągnięcia uogólniających wniosków w tym względzie. Zastępują one jednak na uwagę i zbadanie, a to celem ewentualnego ich kontynuowania czy rozwijania.

Postawić wreszcie trzeba pytania, czy i jak udział pracowników w zarządzaniu gospodarką przenosić na najwyższe szczeble tego zarządzania, czyli do centralnych organów państwowych. Inaczej mówiąc, chodzi o to, czy i jak na tych szczeblach do roli polityków i działaczy społecznych, do roli fachowców i ekspertów dodawać rolę i opinię bezpośrednich producentów.

Szukając odpowiedzi na te pytania warto tu przytoczyć rozwój poglądów na ten temat naszego wybitnego ekonomisty i działacza politycznego Oskara Langego. Poglądy te przypominano nam ostatnio przez przedruk jego artykułu pt. „Jak sobie wyobrażam polski model gospodarki” oraz wyjątków z jego książki podanych w przypisie do tegoż artykułu („Zycie Gospodarcze” nr 40). We wspomnianym artykule opublikowanym w roku 1956 Lange pisał: „Logiczną konsekwencją oparcia zarządzania gospodarką narodową na samorządzie robotniczym

w zakładach pracy, na samorządzie spółdzielczym i innych formach samorządu chłopskiego, które dopiero się zrodzą, będzie powołanie w Sejmie drugiej izby reprezentującej samorządy poszczególnych galezi gospodarki socjalistycznej”. Od tej propozycji Lange później odstąpił pisząc w roku 1960, iż jego zdaniem „Sejm Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej opierałby inną drogę parlamentarnej kontroli gospodarki socjalistycznej za pomocą pokażnej liczby stałych komisji. Droga ta okazała się skuteczną i musi stanowić podstawę rozwoju socjalistycznej demokracji w naszym kraju”.

Biłrac pod uwagę, że w skład naszego Sejmu wchodzi w praktyce przedstawiciele wszystkich środowisk społecznych i zawodowych, w tym także wielu pracowników gospodarki społecznej, a więc bezpośrednich producentów, trzeba się zgodzić z opinią Langego, iż nie ma potrzeby powoływania drugiej izby sejmowej dla spraw gospodarczych, a funkcje jej mogą wypełnić odpowiednie komisje sejmowe.

Równocześnie jednak w oparciu o znane doświadczenia i ostatnie dyskusje należy oczekiwać, że wypełnienie tych funkcji przez poszczególne komisje sejmowe i cały Sejm będzie wymagać szerszego niż dotąd uwzględnienia w ich działalności spraw związanych z planowaniem i zarządzaniem gospodarką narodową, zwłaszcza zaś w fazie powstawania planów gospodarczych, a nie dopiero po ich opracowaniu. Nie można także wykluczyć potrzeby pewnych instytucjonalnych form łączności komisji sejmowych ze związkami zawodowymi i przedstawicielami samorządów pracowniczych dla uzyskania przez Sejm dodatkowych i bezpośrednich informacji o stanie i potrzebach różnych działów gospodarki i różnych grup zawodowych.

GŁOS GOSPODYNI DOMOWEJ

ALEKSANDRA BRODECKA

SOBOTA, 8 listopada, gotuję obiad. W radio — dziennik popołudniowy. Jak zwykle w ostatnich miesiącach — omawiana jest sytuacja gospodarki kraju, trudności w zaopatrzeniu. Kto je od czuwa najbardziej jak nie my, gospodynie domowe! Po dzienniku rozmowa z pracownikami przemysłu spożywczego. Narzekania na zmniejszenie w ubiegłym roku 10 milionów ton ziemniaków (w przechowywaniu zimowym), że był kolosalny urodzaj w ubiegłym roku, 50 milionów ton (choć prasa pisała, że 42 miliony), ale to drobniak, 8 milionów ton mniej czy więcej — dziennikarze radia, telewizji czy prasy niech w końcu to sobie wyjaśnią, nie kompromitując się w naszych oczach. Z kolei trwa w radio dyskusja na temat: jakie to inwestycje trzeba podjąć, by nie marnować wytwarzanych produktów rolnych, których albo ciągle brakuje lub też mamy kolejny „rok kleski urodzaju”. Czyli trzeba znowu czekać na zbudowanie przechowalni owoców i jarzyn, czy nowe linie technologiczne przetwórstwa, bo przemysł niedożywiony. Ciekawi mnie to, kto da dalsze pożyczki na te inwestycje — zadłużenie państwa jest dziś już dobrze znane każdej gospodyni domowej.

Sluchając i czytając w prasie wyznurzenia dziennikarzy i uczonych, działaczy gospodarczych i politycznych, przedkładających dziesiątki i setki wniosków i propozycji, jak poprawić obecną krytyczną sytuację rynkową, dochodzę do wniosku, że przyjdzie nam długo, niejedną noc poczekać, aż sytuacja się poprawi. Zanim z dziesiątkami koncepcji i wniosków coś się zmaterializuje, minie długi czas. A może głos „szarej gospodni domowej” wniesie coś nowego, konkretnego, praktycznego — coś co rzeczywiście bez żadnych inwestycji trochę pomoże poprawić obecną i przyszłą sytuację rynkową?

Znana jest powszechnie skrajność i gospodarność kobiet niektórych krajów, takich jak: Holandii, Danii, Belgii, obydwóch państw niemieckich czy państw skandynawskich. Orientujemy się, że w krajach tych jest wysoka stopa życiowa. Podziwiamy tam czystość i porządek. Czasami potrafimy z lekką ironizacją napotykać załaski w oknach mieszkań z wyhaftowanymi słogami w rodzaju: „Morgensunde hat Gold im Munde” (sama to widziałam na własne oczy). Ale chyba i trochę zardziśniny (ironizując) efektów tej czystości i gospodarności. Na pewno gospodynie wymienionych krajów mają na rynku szeroki asortyment produktów rynkowych — myślę tu przede wszystkim o rynku żywno-

scowym. Nie biegają z jednego sklepu do drugiego, by coś „zdobyć”, jak my. Ich dobrobyt ukształtowały — obok dobrej, wydajnej pracy własnej — odmienne warunki historyczne. Czasami był to wyzysk kolonialny, czasami znowu zyski wojenne. Mnie jednak interesuje przede wszystkim skrajność i zapobiegliwość gospodyń domowych we wspomnianych krajach. Zakres przygotowywanych zapasów na zimę, ich asortyment, niezależenie się od sytuacji rynku w trudnych okresach mrozów i zawiści. Zanim na rynku pojawiły się masowo konserwy i mrożonki, zanim powstał szczególny dobrobyt tych krajów w ostatnich dwudziestu latach. Biorąc pod uwagę naszą obecną sytuację żywnościową, istniejące trudności w zaopatrzeniu, jednocześnie występujące periodycznie na przemian lata „kleski urodzaju” (kolejno kapusta, pomidory, ziemniaki, jabłka — w tym roku sliwki), proponuję szerokie upowszechnienie w środkach masowego przekazu, konieczność masowego przygotowywania zapasów zimowo-wiosennych przez gospodynie domowe, nawet kosztem ograniczenia występów — choćby w 5 proc. — naszych ulubionych piosenek!

Jest to nieodzowna konieczność dziś i w najbliższych kilku latach, zanim sprawy rolne i przetwórstwa spożywczego nie zostaną rozwiązane przy pomocy zwiększonych inwestycji. My gospodynie domowe, a jest nas miliony, mogłybyśmy zapobiec ogromnemu marnotrawstwu produktów rolnych, szczególnie w latach „kleski urodzaju”. Tym, które mają zapas przeciw mrozom, w ubiegłym roku we własnej piwnicy, łatwiej jest go przynieść niż stać w kolejce na zimnie. Ale ile gospodyń rzeczywiście zabezpiecza się na zimę? Widzimy to praktycznie dziś, gdy sąsiadki biegają od sklepu do sklepu po kilka kilogramów ziemniaków, których w tej chwili brak. Ale dlaczego? Przecież powinny być w piwnicy. Akcja ziemniaczano-cebulowo-owocewa była organizowana przez wszystkie zakłady pracy.

W ubiegłym roku grójcecy sadownicy wyrwali sobie włosy z głowy, co robić z jabłkami, które nadmierne obrodziły! Na punktach skupu radzono im, by karmili jabłkami świnię czy krowy (których przeważnie w ogóle nie hodują). Z tych jabłek powinny być u każdej gospodyni dziesiątki czy setki słoików znakomitego soku, nie mniej wartościowego od „Coca-coli”. Tym bardziej, że ten sok nie wymaga cukru, którego brak odczuwamy szczególnie teraz! Soki w słoikach mogą stać rok i więcej. Podobnie wygląda

konieczność prężnego przemysłu przetwórczego. Ale to przecież przyszłość. Moje propozycje są na dziś. Wiele gospodyń domowych robi to od lat, o czym mowa powyżej. Z tym żyje się o wiele łatwiej, mniej odczuwa się trudności w zaopatrzeniu w omawiane produkty. Chodzi po prostu o szerokie upowszechnienie tej problematyki. O szerokie upowszechnienie sposobów, jak sobie ulżyć w trudnych czasach. Nie wszystkie młode gospodynie znają w praktyce te proste sposoby. Większość uważa, że wekowanie jest zbyt pracochłonne, nie mają na to czasu. A stracone godziny w kolejkach, czasami bez efektów — co jest korzystniejsze, proszę pociążyć!

Na zakończenie trudno nie poruszyć ważnej i przykrej sprawy. Już ponad 30 proc. gospodarstw rolnych „poczyło się” hodowli. W ramach specjalizacji produkcji. Jest to dowód postępowości, specjalizacja daje na pewno wiele i państwu, i rolnikom. Tylko — czy przedkładając propozycje domowym gospodyniom, jak wywrócić z obecnych kłopotów zaopatrzenia w żywność, zwiększając nasz wysiłek — nie mam jednocześnie prawa zaapelować do rolników (też gospodyń domowych), aby specjalizując się w produkcji kapusty czy jabłek nie likwidowały choćby tych kilkunastu kur, aby mieć własne jajko dla dziecka czy mięso na rosół? Rozumiem, że krowa i świnka przeskakują w specjalistycznej produkcji jablek czy jarzyn. Ale jeśli kurka biega po podwórzu, czy rzeczywiście przeskakują?

I jeszcze jedna — może drobna, ale przykra sprawa. Jako kobieta kocham kwiaty. Miałam, jeśli przy okazji je otrzymuję. Ale w dobie tak przykrych trudności z warzywami znakomite zaopatrzenie w kwiaty wygląda na przysłówie „kwiatek do kożucha”. Sprawa nie byłaby warta, by ją poruszać, ale jest tajemnicą poliszynela, że wielu producentów kwiatów dostało licencję właśnie na produkcję warzyw (szklarnie). Ze rachunek ekonomiczny jest dla producenta kwiatów (zamiast warzyw) oczywisty — mamy pod dostatkiem kwiatów. To bardzo dobrze, ale niestety — jarzyny są bardziej nieodczuwalne. Widocznie komisje cenowe są innego zdania. A jak obywatel chce, niech płaci. I chętni się znajdują. Prawda? Sprawa ta wiąże się jednak w określonym stopniu z polityką fiskalną. Ceny cenami, a dochody dochodami. Na całym świecie istnieje polityka podatkowa. U nas też powinna być regulatorem dochodów wynikających z określonej rentowności wyrobu.

Przepraszam, zaczynałem wkraczać w kompetencje ministra finansów. Wyrwało się na koniec gospodyni domowej.

CENTRALA ZBYTU SPRZĘTU I MATERIAŁÓW TECHNOLOGICZNYCH „TECHMAZBYT”

ul. Nowogrodzka 50. 00-693 Warszawa

oferuje do natychmiastowej sprzedaży

oraz przyjmuje zamówienia na

ROBOTY PRZEMYSŁOWE typ RIMP-401

na rok 1981 oraz lata 1982—83.

Robot jest automatycznym manipulatorem zmiennoprogramowym, przeznaczonym do zastępowania obsługi ludzkiej w czynnościach:

● przenoszenia, podawania i zdejmowania.

Jego właściwości manipulacyjne umożliwiają zastosowanie do obsługi:

- pras do wycinania, gięcia i tłoczenia
 - pras formujących wyroby z tworzyw sztucznych
 - obrabiarek skrawających
 - linii, gniazd technologicznych i pojedynczych stanowisk
 - maszyn do odlewania ciśnieniowego i wtryskowego
 - urządzeń do hartowania indukcyjnego
 - młotów kuziennych
 - urządzeń transportu międzyoperacyjnego
 - środowisk agresywnych, o podwyższonej temperaturze i wibracji.
- Roboty radykalnie poprawiają warunki pracy eliminując zagrożenie wypadkowe i choroby zawodowe. Roboty rewelacyjnie usprawniają proces produkcyjny zapewniając:
- powtarzalność wykonywanych czynności
 - rytmiczną, wydajną pracę o stałej jakości
 - łatwą i szybką zmianę programu produkcyjnego.

SKRÓCONA CHARAKTERYSTYKA TECHNICZNA ROBOTA RIMP-401

1. Liczba stopni swobody
2. Udział przy max wysuwie ramienia:
 - a) przy stosowaniu jednego ramienia
 - b) przy stosowaniu dwóch ramion
3. Max zasięg pracy
4. Zasilanie

a) pneumatyczne — ciśnienie robocze	0,5 MPa ± 10%
b) elektryczne — napięcie, częstotliwość	220 V ± 10% 50 Hz
5. Robot można instalować bezpośrednio na strople lub posadzce. Zakup robotów można finansować z funduszu postępu technicznego. Producent zapewnia stałą obsługę serwisową.

Zamówienia przyjmuje i informację udziela C.Z.S. i M.T. „TECHMAZBYT”, Warszawa ul. Nowogrodzka 50 tel. bezp. 214387, centrala 289411 wew. 403, 423, 529, telex 816128 K-30

CUDZE KŁOPOTY

JACEK BOŁDOK



Fot. S. ZUBCZEWSKI

RADA robotnicza w Polskich Zakładach Optycznych, działająca od 1948 roku, przestała istnieć minionej zimy, dokładnie 16 stycznia. Faktycznie straciła znaczenie dużo wcześniej, choć ustalenie czasu jest już dzisiaj niemożliwe. Czy czułość tej fasady nadto zaczęła kontrastować z realiami, czy też czyjaś arogancja uznała, że nie warto już sobie zaprzęgać głowy choćby stwarzaniem pozorów, dość na tym, iż ostatni gwóźdź do samorządowej trumny wbito w styczniu. Były kwiaty. Jak to na pogrzebie.

W poprzednim numerze „Życia Gospodarczego” wydrukowaliśmy dyskusję pt. „Zawierzyć załogom”. Kilkanieście osób rozmaitych profesji zastanawiało się w niej, w jaki sposób postulat społecznego zarządzania gospodarką przełożyć na fakty. I dlaczego jest to konieczne oraz pilne. Jeśli w ogóle można mówić o jakiejś konkluzji wobec istotnych różnic zdań dyskutantów, to zawiera się ona właśnie w tytule: trzeba zawieść instynktowi załóg i upowszechnić najlepsze doświadczenia. Tylko czego chcą dzisiaj i co mogą załogi?

W PZO zaczynamy od rady robotniczej, bo to jest hasło wywoławcze, które kojarzy się jeszcze z lepszymi czasami, potracą ciagle żywe — o dziwo — struny wielkich nadziei sprzed lat i wielkich rozczarowań; niekiedy byłym działaczom każe widzieć ostatnie dziesięciolecie nie tylko jako molocho pożerającego wszystko, co zdrowe, ale zmusza także do pozytywnych, choć nie zawsze przyjemnych refleksji nad własną rolą na tej scenie.

Prawdę jednak powiedziawszy wszelkie zaklęcia straciły obecnie swoją magiczną moc. Trzeba czasu nim na dźwięk słowa „samorząd” w nieobecnym wzroku moich rozmówców pojawi się błysk zrozumienia. Odnoszę wrażenie, że jestem intruzem, który odrywa ich od innych

spraw, naprawdę i jedynie dzisiaj ważnych.

O PZO chciałoby się powiedzieć, że jest to firma szacowna. Niestety, rzeczywistość pozwala jedynie na stwierdzenie, że jest to firma dość stara, bo założona w roku 1921.

W ostatnich latach wzrósł poziom produkcji, gdzieś tak o jeden procent, co mieści się w granicach błędów statystycznych (a jeszcze lepiej — w granicach drobnej manipulacji cenowej bądź asortymentowej), towarzyński niebotyczny wzrost kosztów produkcji, wszystkie relacje ekonomiczne stanęły na głowie. Przy dyrekcyjnym stole ktoś powie: osiągnęliśmy dno, a dyrektor nie zaprzeczy.

Od paru lat podstawa działania, plan, jest zbiorem pobocznych życzeń. Administracja rozrosła się na podobieństwo tkanki rakowej — jeden kierownik przypada na trzech-czterech ludzi.

Fatalna organizacja sprawia, że działy mechaniczne nie nadążają z przygotowaniem produkcji dla montażu, najpierw są przestoje, potem nadganie w godzinach nadliczbowych; skutek uboczny, też irytujący załogę — dysproporcje w płacach.

W ostatnich miesiącach nastąpiły zmiany na stanowiskach dyrektora naczelnego, dyrektora do spraw ekonomicznych, do spraw technicznych, głównego specjalisty do spraw pracowniczych. Jak słysze, nie były to zmiany wymuszone przez załogę, lecz przesunięcia nieuchronne bez względu na rozmiar fali odnowy.

Dodajmy, że karuzela nonsensu organizacyjnego kręci się w najlepsze nadal. Krajowy deficyt surowców nie zmienia faktu, że gdy trzeba 100 kg lakieru, zamawia się tonę, bo takie jest minimum handlowe. W PZO surowce stanowią ledwie osiem procent wartości produkcji, bo są to zakłady precyzyjne. Wobec więc znikomości zapotrzebowania podobnie

działa się i z innymi materiałami. Zamówienia na surowce składa się rok przed powstaniem planu asortymentowego, co gwarantuje późniejszą nadwyżkę jednych, niedobory innych. Można by długo wyliczać...

Taka w wielkim skrócie jest sytuacja zakładów i ona powoduje, że nowa dyrekcja skłonna jest za luksus uważać każde działanie, które nie jest gaszeniem ognia. Wreszcie jednak rozmawiamy o samorządzie.

Dyrektor Prętowski, który w latach 1967—68 był przewodniczącym Rady Robotniczej, Sekretarz Komitetu Zakładowego Zenon Zapala, Andrzej Pokrzywa, ostatni przewodniczący rady robotniczej, i Jerzy Rzepkowski, sekretarz techniczny dyrekcji do obsługi KSR. Szczęśliwie mówiąc, rozmowa nie bardzo się klei. Bo tak:

Rady robotnicze były dawno temu i pozostała o nich pamięć dobra, lecz

muło konkretna. Ocalało w niej, że dyrektor przedsiębiorstwa nie miał odległości podjęciu decyzji bez uzgodnienia z przewodniczącym rady. Ze rady posiadały swoje komisje

specjalistyczne i potrafiły rozliczać dyrekcję. Ze dyrektorem zjednoczenia musiał się dobrze napocić wobec rady, aby uzasadnić wskaźniki planu. Jeszcze to, że rady, przynajmniej w początkowym okresie istnienia, faktycznie reprezentowały załogę.

Nowszy wrażliwość na samorząd, czyli KSR, ciągle istnieje, ale rozumiem, że w domu powieszono nieuzasadnione jest mówić o sznurze.

W PZO w ciągu ostatnich dwóch lat KSR zebrał się cztery razy. W planie przedstawianym KSR nie bilansowały się ani materiały, ani pracochłonność. Mówiono na to — nadganie postępowem technicznym. Dyskusja była „ustawiana”, a uchwały KSR pisały przed obradami. Sposób przygotowania materiałów na KSR był nie do strawienia przez robotników, których dokonywano dla dekoracji.

Całą tę niedbalą inscenizowaną farzę kończyła konkluzja: plany są trudne, towarzysze, ale mobilizujące...

Z takimi obciążeniami trudno jest kreślić perspektywę. W toku rozmowy wyłania się więc dość ogólnikowe stanowisko, że trzeba powrócić do rad robotniczych. Nie mnożyć nowych rozwiązań, gdy są już drogi, które należy uznać za sprawdzone. Trzeba sięgnąć do odpowiednich ustaw sprzed lat, zaktualizować je stosownie do potrzeb czasu i konsekwentnie wprowadzić w życie.

Przyszłość samorządu w przedsiębiorstwie nieostro jawi się także członkom prezydium zakładowej „Solidarności”, która faktycznie reprezentuje w tej chwili opinię załogi. Najbardziej wyrobione zdanie na ten temat zdaje się mieć Bogumił Gołębiowski:

— *Przed wszystkim należy rozdzielić kompetencje związku zawodowego i samorządu pracowniczego; dopiero na tle tego rozdziału dyskusyjnie przyszedłby kształt instytucji samorządowej.*

Według Gołębiowskiego byłaby to rada nie tyle robotnicza, co pracownicza, reprezentująca nie organizację działającą na terenie zakładów, lecz proporcjonalnie poszczególne wydziały.

Istotna wydaje się opinia, że sprawa samorządu pracowników nie można sprowadzić do szczytów przedsiębiorstwa. Reprezentacje poszczególnych samorządów muszą łączyć się w większe całości, a wierzchołek

tej piramidy winien mieć swoją reprezentację w Sejmie.

Ten zarzys projektu rodzi wiele pytań i wątpliwości. Trzeba się chyba zgodzić, że jako suma myśli teoretycznej nie jest to bardzo dużo. Czy braki te rekompensuje praktyka?

Odnoszę wrażenie, że za wcześnie jeszcze o tym mówić. Dziś „wszystko płynie”, a wzajemna nieufność sprzyja opaczemu tłumaczeniu intencji, nie pomaga w kreowaniu układów, na których można by budować.

Dyrektor Prętowski twierdzi, że wszystkie ważniejsze decyzje konsultowane są z „Solidarnością”, nie ma między dyrekcją a związkiem rozbieżności. Dowodem, że PZO ani dnia nie strajkowały, wprost przeciwnie — załoga przyszła do pracy w wolną sobotę, gdy trzeba było nadganiać plan. Jednocześnie o „Solidarności” mówi się „oni” tonem, w którym pobrzmiewa coś więcej niż rezerwa...

Dziwne by było, gdyby dyrekcja pokochała związek, który po to między innymi powstał, żeby jej patrzeć na ręce i ręce te kępować. Jak niejednokrotnie już zauważono w publicznych dyskusjach, trzeba czasu, nim świadomość pożytków jakie płyną z istnienia takich więzów, dla samej kadry kierowniczej także, stanie się powszechna. Nie o ogólne dywagacje jednak idzie: „Solidarność” w PZO ma zastrzeżenia do trybu tych konsultacji. Żądają opinii, często w skomplikowanych sprawach, nie zostawiając czasu do namysłu, decyzje realizowane są ośpieszale, szczerze intencji pod znakiem zapytania stawiać chęć utajnienia tego, co się w zakładach dzieje — dyrektor wydał rozporządzenie, iż tylko on ma monopol na kontakty z prasą, bez jego zgody nie wolno.

Dobrze, że jakiegokolwiek robocze kontakty na linii dyrekcja — „Solidarność” istnieje, ale nie tędy przebiega droga do budowy samorządu w zakładzie.

Wkrótce przyjdzie konsultować plan przyszłego roku. Zatwierdzał go będzie „stary” KSR, w którego skład wchodzi 24 przedstawicieli związków zawodowych. Zakłada się, że „mandaty” związkowe rozdzielone zostaną między przedstawicieli związków branżowego i „Solidarności” proporcjonalnie do ilości członków. Pomijając już fakt, że między obydwojma związkami istnieje w tej chwili za-

sadnicza rozbieżność na temat liczebności własnych szeregów, i dyrekcja, i związki rozwiązane tak uważają za tymczasowe. Udoskonalony więc nieco KSR w dotychczasowej w gruncie rzeczy formie też nie jest rozwiązaniem, na którym można by budować na przyszłość.

Skoro praktyka dnia dzisiejszego jest tak niedoskonała, dlaczego nie tworzy się spontanicznie instytucji, które w opinii rozmaitych zakładów gremiów lepiej odpowiadałyby potrzebom autorytarnego samorządu, którego wizja, choć nieco jeszcze mglista, jakos tam przecież się rysuje?

Dyrektor Prętowski uważa, że wstępnym warunkiem takich działań jest ustawa o statusie przedsiębiorstwa i uchwała Sejmu o radach robotniczych. Ze strony dyrekcji wcześniejsze poczynania konstytuujące samorząd równałyby się odcinaniu władzy samemu sobie.

Realnie patrzeć jest to rozumowanie logiczne, bo Sejm daleko, światła opinia publiczna to mało konkretna pomoc, gdy przychodzi do rozliczania ze wskaźników, zjednoczenie zaś i resort są blisko i na co dzień.

Na to samo pytanie o przyczynę inercyjnego biegu spraw samorządowych ludzie z kierownictwa zakładowej „Solidarności” odpowiadają, że to nawał problemów bieżących na dalszy plan spycha rozwiązania modelowe. Te problemy bieżące to nie tylko tworzenie struktur organizacyjnych związków, lecz przede wszystkim konieczność codziennych, dramatycznych wyborów. Przykładowo: konstruktywny współudział w zarządzaniu to m. in. pomoc w redukcji nadmiernie rozbudowanego w zakładach aparatu administracyjnego. Ale jednocześnie związek jest przeciwny od tego, żeby dbać, by warunki pracy jego członków nie ulegały subiektywnemu choćby pogorszeniu. Jak z tego wybrnąć? Szczerze mówiąc, wydaje mi się, że próby rozwiązywania tego rodzaju problemów, przypominające gośdzenie ognia z wodą, są z góry skazane na niepowodzenie, jeśli ograniczyć się do szczytów przedsiębiorstwa.

Kłopot, nasz wspólny już, i cały dramatyzm sytuacji polega na tym, że palących pytań jest więcej niż odpowiedzi, zdominowana zaś przez rutynę i doradność praktyka jest drogowskazem bardzo niedoskonałym.

BRANŻA JAK LEN SUROWA

EWA ADAMKIEWICZ

STANISŁAWA Kruk, członek KC, kłaczka z Zakładów Przemysłu Liniarskiego w Żyrardowie w czasie dyskusji na VI Plenum zapewniała: „...w dyskusjach załoga podkreśla, że pozostaje w dotychczasowych formach organizacyjnych związków zawodowych. Żąda od nich jednak wypełnienia w sposób właściwy roli obrońców interesów pracowniczych”.

Kiedy w pierwszej połowie listopada odwiedziłam zakład, NSZZ „Solidarność” liczył już 2000 członków na 4300 zatrudnionych w fabryce. — Mamy dużo do zrobienia, nie wiadomo od czego zacząć. Podwyżka płac jest już właściwie załatwiona; chcemy jednak wyjaśnić, dlaczego nie objęto nią pracowników umysłowych. Dzisiaj mamy rozstrzygnięcie sprawy przydziału mieszkań — dysponujemy tylko dwoma na 47 osób oczekujących z pełnym układem mieszkaniowym w skandalicznych warunkach. To sprawy do załatwienia od zaraz. Następnym etap — to praca warunków pracy. Zresztą, sama pani zobacz jak to wygląda — powiedziała Irena Piwońska, sekretarz w Komitecie Założycielskim nowych związków.

Gotący mikroklimat

Przed wejściem do przedziału mroźnej radzono mi, abym zdjęła wierzchnie okrycie. Zbagatelizowałam przestrożę, uważając ją za przesadę. Przedko jednak przekonałam się, że gospodarze mieli rację. Cała hala wypełniła parą — gorąco i wilgotno. Między maszynami uwiły się kobiety w wieku około 50 lat. Ubrane w sukienki z krótkimi rękawami, przepasane cienkimi fartuchami, w chustkach na głowach i w drewnianych szablach na nogach. Całe zbrzydane białem. Panujący, pomimo południowej godziny, półmrok, hałas, zaduch i odrażający zapach potęgowali jeszcze bardziej niesamowity nastrój. Nie była to jednak inscenizacja z „Ziemi obiecanej” czy innego filmu fabularnego. Warunki panowały tu podobne do tych, jakie zarejestrowała I. Kamińska w filmie „Robotnice”, który poruszył nie tylko opinię publiczną,

Miał swój rezonans również w Ministerstwie Przemysłu Lekkiego, lecz zgola odmienny. Sugerowano mi (a wtedy filmu jeszcze nie widziałam), że reżyserkę poniosła fantazja, wykorzystala dostępne triki w celu spotęgowania końcowego efektu — wywarca większego wrażenia na odbiorcy. Nie do mnie należy ocena, czy tak było w istocie. Mogę jedynie stwierdzić, że zapis filmowy nie różnił się wiele od tego, co zobaczyłam.

W takich warunkach pracuje 120 kobiet, wszystkie na trzy zmiany. Zainstalowane maszyny należą do najstarszych przedzierek w Polsce. — Suchy niedoprzęt trafia do koryta, do siedemdziesięciostopniowej kąpieli, potem następuje rozciąganie przędzy — wyjaśnia proces technologiczny dyr. Marek Łągiewski. — Najlepsza przędza może powstać tylko przy pomocy mroźnej technologii. Każda z przędzy obsługuje dwie strony maszyny — tzn. 170 wrzecion. Pomimo to nie wszystkie urządzenia są w ruchu. — Ciągle brakuje rąk do pracy — wyjaśnia dyspozytor wydziału, Krzysztof Klem wskazując na „beczynnie stojące przedzarki PO-1”.

— Warunki są bardzo ciężkie — mówi Helena Kopytek — ale przez te 23 lata pracy już się do nich przyzwyczailam, nawet do tego odrażającego zapachu, chociaż na początku, przez pierwsze dwa tygodnie nie mogłam przetrwać nawet śniadania.

Staż pracy większości przedzerek przekracza 20 lat. Ze szkoły przyzakładowej, wypuszczającej corocznie 100—120 absolwentów, przyszła swego czasu jedna pracownica, a było to 10 lat temu. — Nie dziwię się, że młodzi nie chcą tu pracować — dodaje Helena Kopytek. — Ja, gdybym kiedyś miała rozum i mogła przewidzieć, że po kilkumiesięciu latach będę się tak czuła jak teraz, nigdy nie przyszedłabym na przedział. Każda z nas po 10 latach przebywania w tej wilgoci choruje na reumatyzm. Dlatego też większość kobiet przed ukończeniem 55 lat przechodzi na rentę lub wcześniejszą emeryturę. W latach pięćdziesiątych jednak, a duża ich grupa właśnie wtedy trafiła do przedziału, o pracę nie było łatwo, a ta była dość popłatna. Płace należały bowiem do najwyższych w

fabryce. Przadki zabierają przeciętnie około 6 tys. (razem z wysługą lat i dodatkami za szkodliwe warunki pracy). Więc nawet później, kiedy łamanie w kościach coraz bardziej dawało im się we znaki, właśnie zarobki powstrzymywały je od zmiany zajęcia.

— Tutaj jest brudno i mokro, ale widać nie może być inaczej — mówi Helena Kopytek — i trzeba się z tym pogodzić. Ale party mogłoby być znacznie mniej, gdyby sprawnie działała wentylacja. Często odnoszę wrażenie, że urzędnicy zamiast wchłaniać parę, właśnie ją wdmuchują.

— Wentylacja w przedsiębiorstwie w zasadzie jest prawidłowa — wyjaśni mi później dyr. Marek Łągiewski. — Są jednak przeszkody, aby funkcjonowała normalnie. Większość awarii, którym najczęściej ulegały silniki w urządzeniach wentylacyjnych, nie udaje się usunąć na miejscu. Każdy silnik przekazuje się więc do „Uniprotu” — Zjednoczenia Zakładów Naprawy Maszyn Elektrycznych Przemysłu Lekkiego w Łodzi. Naprawa trwa około pół roku, a zapasowych silników brak. Wentylacja nie może działać więc dobrze.

Na przedział mroźny, tak jak w całym zakładzie produkcja odbywa się w systemie trzymianowym. — Dla kobiet praca w nocy powinna być w ogóle zabroniona — mówi Krzysztof Klem. — Kiedy schodzą nad ranem wyglądają jak upiory. Wiadomo, że zmęczenia powstającego po nie przespanej nocy nie można potem odrobić nawet 10 godzinami snu w ciągu dnia. A na większość kobiet powracających z nocnej zmiany czekała przecież poranne obowiązki — przygotowanie dzieci do szkoły, zrobienie zakupów itd. Zdaniem dyspozytora, jeśli śpią 3—4 godziny na dobę, to dobrze. A potem, zdarza się, że zasypiają na stojąco przy maszynie. Poza tym 70 proc. pracownic dojeżdża, niektóre tracą przez to dodatkowo 3—4 godziny.

Jako rekompensatę za ciężkie warunki uważa się tu pięciodniowy tydzień pracy (4 dni — 8 godzin i 1 dzień — 7 godzin). Błędem byłoby niedostrzeżenie tego elementu, nie można go jednak przeceniać, traktując jako panaceum czy rozgrzeszenie występujących niedomagań.

Nieco lepsze warunki panują w hali, gdzie zainstalowane są nowocześniejsze włoskie maszyny Bellelego. — Jest czystiej, na pewno, ale też mroźno jak na PO-1 — mówią przadki. — My też odczuwamy łamanie w kościach i bóle mięśni. Różnica polega na tym, że bioto nie rozpryskuje się naokoło, a stały kontakt z wodą mają jedynie dłonie. Ale nie jest to już czysta woda — lecz z dodatkiem detergentu i chloru. Ręce są wymoczone jak po dziennej dawce ośmio godzinnego intensywnego prania. Miękką skórą łatwo się poddać ostrym, cienkim nitkom — ręce są więc przez nie poprzecinane i pokaleczone.

Półśrodki

Zakłady posiadają dwie tkalnie: starszą, gdzie niektóre krosna pamiętają koniec ubiegłego stulecia i nową oddaną do eksploatacji przed dwoma laty. Na obydwu pracownicy powinni nosić słuchawki. Na starej, tylko nieliczni przestrzegają tej zasady, pozostali zakładają jej głównie na okres trwania kontroli czy inspekcji sanitarnej. — Są ciężkie i po kilku minutach bolą nas głowy — mówi Janina Ślawińska. Na taką niesubordynację nie mogłoby sobie pozwolić pracownicy nowej tkalni, gdyż grozi to poważną utratą słuchu. W hali, gdzie stoi 308 krosien, hałas przekracza 90 decybeli. Huku nie są w stanie wygłuszyć nawet zwisające z sufitu ekrany.

— Nową tkalnię zbudowano, a raczej odtworzono, z tym, że w nowym budynku, na bazie krosien polskich w 1978 roku — informuje mnie dyr. Łągiewski. — Poprzednią, niemalże archaiczną musieliśmy koniecznie zamknąć. Marzeniem dyrekcji było zainstalowanie krosien beczkołkowych, ponieważ hałas powstaje w momencie uderzenia bicia o czołmek. Na taki zakup nie było jednak środków, a te maszyny, które zainstalowano niejako z konieczności, poziomem technicznym odpowiadają wymogom lat pięćdziesiątych. A więc byłyby moralnie zużyte, choć w nieco mniejszym stopniu, również wiekowi. Gdyby też modernizacji dokonano zamiast dwa lata to ćwierć wieku temu. Tak więc już dzisiaj można stwierdzić, że nowa tkalnia wymaga kolejnego unowocześnienia parku maszynowego.

— Od dwóch lat poruszamy już sprawę oświetlenia, które jest sta-

nowczo za słabe — mówią tkaczki. Dyrektor jak najbardziej zgadza się z takim stanowiskiem. — *Ograniczenia energetyczne wymagają od nas istniejącej ekwilibrystyki. Skoro zmniejszamy nam dopływ energii o 2,2 MW na 6 MW, to musimy coś wyłączać.* Często odbywa się to kosztem wentylacji i oświetlenia. Fabryka posiada własną kotłownię i turbinę o mocy 4,5 MW, która też nie stanowi pewnego źródła energii, przy tak nierytmicznych dostawach węgla. W poniedziałek 10 listopada zapas węgla starczał tylko na 30 minut pracy zakładu. Groziło to całkowitym zamknięciem fabryki, co oznaczałoby miesiąc postojów, miesiąc pracy 100 ludzi przy ponownym uruchomieniu i wymianie wszystkich rur, nie mówiąc już o stratach produkcyjnych.

— Do takiej sytuacji, jak w owym poniedziałek, w ogóle nie powinno dojść. Wiedzieliśmy, że transport węgla ruszył w czwartek z Szopienic. W sobotę mieliśmy sygnał, że jest już w Skiermiewicach, podjęliśmy więc decyzję, że będziemy szli pełną parą tak, aby w poniedziałek wszystko było przygotowane do normalnej pracy. Kto mógł przyspieszyć, że odcinek 20-km ze Skiermiewic do Żyrardowa pociąg będzie pokonywał przez 2 dni! Gdyby przyszedł o 30 minut później, już nie miałoby po co — zakład byłby uwięziony. Od kilku lat żądamy bezskutecznie rzetelnej informacji, w jakim stopniu możemy liczyć na węgiel, żeby nie było sytuacji, w których trzeba podejmować tak ryzykowne decyzje. W tym roku ani razu nie było zapasu węgla większego niż na 10 dni. — W niepewnych sytuacjach wyłącza się turbinę, a pozostałe 2 MW wystarczają jedynie na oświetlenie — dodaje dyrektor. — Poza tym węgiel, który dostajemy, zawiera 38 proc. popiołu.

Pracownicy narzekają, że przędza jest coraz gorsza, a oni pracują na akord. Od jej jakości zależą zaś bezpośrednio płace.

— Pogorszenie jakości przędzy wynika z braku surowca, a tym samym z konieczności tamowania wszelkich wymagań technologicznych. Po każdym etapie produkcji surowiec powinien się odleżeć, nabrać odpowiednich warunków mikroklimatycznych — mówi dyrektor. — Normalny przewiduje, że zapasy paków lniarskich i lnu trzeźpanego powinny starczyć na 30 dni. Tymczasem 12 listopada stan zapasów lnu wynosił „0”. W południe przyszedł transport. Nie było więc możliwości przechowania lnu w magazynach — prosto z wagonu ruszył do produkcji.

Taka sytuacja, zdaniem dyrektora Łągiewskiego, jest konsekwencją ośpieszale prowadzonej od lat polityki lniarskiej. Począwszy od sposobu prowadzenia upraw, ich kultury poprzez strukturę zasiewu i metodę zbioru aż do zdolności przerobowych roszar, przygotowujących podstawowy surowiec. Większość tych ostatnich pracuje bowiem nadal w warunkach XVIII-wiecznych.

Brakowało od dawna kompleksowego programu rozwoju branży. Pod

koniec lat sześćdziesiątych noszono się nawet z zamiarem całkowitej jej likwidacji. Na naszych łamach na początku ubiegłego dziesięciolecia toczono niemalże boje o odstąpienie od tej nieprzemyślanej decyzji. Decyzji, która przewidywała zaniechanie produkcji w 80 proc. opierającej się o rodzimy surowiec. Warto tu również zaznaczyć, że w przetwórstwie lnu — każdy z elementów morfologicznych rośliny jest w pełni wykorzystany. Uzyskane z lnu nasiona są materiałem do jego reprodukcji; siew — surowcem dla przemysłu olejarskiego i farmaceutycznego; plewy — wykorzystuje przemysł paszowy; paździerz — stanowią surowiec do produkcji płyt meblarskich, włókno lniane — jest podstawowym surowcem do produkcji przędzy z których wyrabia się tkaniny. Asortyment wytwarzanych wyrobów jest szerszy niż jakiegokolwiek innej branży przemysłu lekkiego.

Od decyzji, która wywołała swego czasu istną falę protestów, odstąpiono. Nie uczyniono jednak nic, aby branżę podźwignąć. Z roku na rok zmniejszały się zasiewy lnu. Obecnie areal upraw wynosi 0,75 proc. ogólnej powierzchni zasiewów, a 95,5 proc. znajduje się w gospodarstwach indywidualnych, gdzie średnia działka wynosi 1,37 ha (w WRD — 30 ha, w CSRS — 70 ha).

I pomimo to Polska uplasowała się na 1 miejscu w świecie pod względem tonażu wyrobów lniarskich, zdobywając rynki USA, Japonii, Francji, Włoch, Austrii i kilkudziesięciu następnych. W 1978 roku wartość eksportu wyniosła 101 mln zł dewizowych.

Ale jednocześnie park maszynowy w zakładach lniarskich w 60 proc. jest z ubiegłego stulecia. Nawet w najłżejszych latach (1970—1975) dla przemysłu lekkiego, na rozwój tej branży przeznaczono o 1/3 mniej środków niż na inne.

W samym „Żyrardowie”, zakładzie największym i najstarszym nowoczesnych modernizacji wymaga bielnik tkanin i przędzy. Jeżeli nie zostanie ona przeprowadzona w 1981 roku, zahamuje to proces modernizacji przedziału. Spowoduje to prawdopodobnie dalszy wzrost fluktuacji, która już teraz sięga 33 proc. Nikt bowiem w tak ciężkich warunkach nie będzie chciał pracować. Na bielniku już teraz prowadzi się remonty zapobiegawcze, aby zapewnić przynajmniej „godziwe” warunki. Mogłaby mnożyć jeszcze przykłady ilustrujące uciążliwość pracy w tej branży, opisać węży sanitarne, do których nie ma doprowadzonej wody, skandaliczny stan magazynów, gdzie poniewierają się materiały wybuchowe i łatwopalne, a pracownicy nabierają do wadra kwasu solnego kubiem i wędrują z tym ładunkiem kilkadziesiąt metrów itd., itd. Jednym słowem, członkowie KZ NSZZ „Solidarność” nie przesadzili ani trochę mówiąc, że mają dość do zrobienia. Nie będą mogli uczynić jednak wiele, jeśli nie zmienią zasadniczo podejścia do tej zaniedbanej branży, która pozostaje nadal „jak len surowa”.

WYBÓR Z PRZYMUSU

TERESA GÓRNIKA

ROZNIAMY się w poglądach na drogę wyjścia z kryzysu, w jakim znalazła się gospodarka polska. Wszyscy są jednak zgodni co do tego, że pierwszym krokiem do przywrócenia równowagi jest obniżenie poziomu inwestycji w przemyśle. W tej sprawie nie ma już żadnych wątpliwości i zdawałoby się, że brak również oporników. Nowe związki zawodowe opowiadają się za zdecydowanym przyspieszeniem budownictwa mieszkaniowego i rozwojem rolnictwa, są więc również w gruncie rzeczy za. Bo tego, że zawsze w gospodarce, żeby mieć coś, z czegoś trzeba zrezygnować, nikomu już chyba tłumaczyć nie trzeba.

Zresztą, jak się powiedziało „a”, czyli podjęło decyzję o powszechnych podwyżkach płac, trzeba również powiedzieć „b”, czyli dać z docho- dołu narodowego więcej na spoży- cie, a mniej przemaczać na akum- ulację. Jeśli, oczywiście nasza pod- wyżka ma mieć jakies realne pokry- cie. Zważając, że do podziału, jak już wiadomo, będzie mniej. Dochód narodowy ma od kilku lat tenden- cję spadkową. Przewiduje się, że w roku bieżącym będzie o 2 do 3 proc. mniejszy niż w roku 1979.

Gotowi do obrony

Te zależności są zbyt oczywiste, aby mógł je ktoś kwestionować. Zgo- da w narodzie panowała jednak tak długi, dopóki od ogólnej dyskusji nie trzeba było przejść do konkre- tów. A konkretnie, przy wysokim poziomie zaangażowania, dochodzą- cym do 1,5 biliona zł (licząc komple- mentarnie poszczególne przed- sięwzięcia), obniżenie poziomu in- westowania wiąże się z zatrzymaniem wielu inwestycji. M.in. dlate- go, że większą część tej kwoty za- angażowania odnosi się do galei najbardziej kapitałochłonnych o naj- dłuższym okresie zwrotu nakładów; przekracza on 10 lat. W samej np. Hucie „Katowice” przewidziano do realizacji drugi etap pochłaniały su- mę 170 mld złotych. Podobnie wie- głąda sprawa z kopalniami. Nie ma więc szans na poskromienie frontu inwestycyjnego w sposób natural- ny, kończąc rozpoczęte przedsię- wzięcia i nie podejmując nowych.

Ale na ciekawie nikt się nie decy- duje. Wygląda na to, że trzy miesią- ce, które dzieła nas od momentu uświadomienia sobie tej konieczności, przeznaczone zostały nie tyle na do- konanie wyboru inwestycji do zatrzymania, ile na umocnienie po- zycji obrony przed takimi decyzjami. Teraz do obrony są już gotowi wszyscy. Powstaje sprawnie funk- cjonujący system udaremniający po- suwanie się do przodu. I co gorsza, wciągający do okopów coraz to nowe posiłki. Uczestniczący wszyscy w lekcji powtórkę argumentów i racji dowodzących celowości i efektyw- ności każdej z naszych inwestycji z osobna. Stają znów przed naszymi oczami wizje rozwiązań inwestycyj- nych, bez podjęcia których rynek, handel zagraniczny i w ogóle nasz kraj stoczy się niechybnie w prze- paść.

Osobiście nie czuję się ani powo- łana, ani kompetentna do zajęcia stanowiska w poszczególnych kon- kretnych przypadkach. Zważając, że dziennikarz poddawany jest dziś rów- nież mimo woli presji żarliwych dyskusji, toczących się na każdym placu budowy. Jedno wiem, że jako społeczeństwo zapłaciłmy już nie- raz wysoką cenę za tę wiarę w polską szczęśliwość, widzianą na wy- rzyki przez pryzmat brzozy i nowo- czesnych wyrobów. Tyle, że nie uda- ło się z tych wizji skleić całości. Jeśli przytaczam tu konkretne przy- kłady wielkich inwestycji to dla- tego, że z prostego rachunku wy- nika konieczność zatrzymania wła- sne tego typu inwestycji i w takich działach, jak hutnictwo, górnictwo, przemysł maszynowy. Inaczej nie mamy w ogóle szans na zmniejsze- nie inwestycyjnych obciążeń.

Nawet gdybyśmy bowiem wykre- ślili z planu wszystkie inwestycje produkcyjne średnie i małe, to i tak nie daliśmy one nam zmniejszenia planu o 100 mld złotych. Byłoby to zresztą wylewanie dziecka z kąpie- łą. Bo to, co nas obecnie może rato- wać, to właśnie małe inwestycje (w tym również modernizacje), da- jące szybki efekt w postaci przy- rostu produkcji, a tym samym gwa- rantujący krótki okres zwrotu na- kladów. A wszystko wskazuje na to, że zatrzymywanie będzie musieli także inwestycje małe — choć wy- tuzimują one i społeczne, i ekono- miczne kryteria efektywności — np. wtedy, kiedy są one zaawansowa- ne w nie wielkim stopniu.

Najgorsze jest to, że czas na dy- skusję już minął i niestety, jest to czas stracony. Praktycznie żadna in- westycja (oprócz budowlano admini- stracyjno-biurowych) nie została za- trzymaną. Wiadomo nawet, że plan nakładów roku bieżącego będzie

przekroczony o ponad 30 mld zło- tych. Jest to stan, w którym, mówiąc obrazowo, z chorego organizmu go- spodarki ucieka z każdym dniem ży- cie — wkładamy energię, surowce, siły ludzkie i inne dobra, których nam brakuje w coś, z czego i tak nie będziemy mogli mieć pożytku w najbliższej przyszłości. W tym przypadku pasuje jak ulał powie- dzenie, że złe decyzje byłyby lepsze niż decyzje żadne.

Na końcu — chaos

Jeśli w ogóle komuś płacze się jeszcze po głowie nadzieja, że za- cisnąwszy pasa dokonamy to, co zaczęliśmy, zastanówmy się, co z tego może wyniknąć. Taką też postawę można jedynie teorety- cznie i na użytek samobój- ców. Skoro jednak jest tyle zaciętrzewienia w okopach obro- ny, to odważnie musimy również spojrzeć na wszystkie skutki pod- jętej walki.

Więc wyobraźmy sobie, że zaci- skamy pasa i budujemy wszystko jak leci na 30 tys. rozgrzebianych w Pol- sce placach budowy. Pomijamy na- wet odpowiedź na tak zasadnicze pytanie — co to oznacza dla sytu- acji płatniczej kraju. Bo jak się szu- cuje, zakończonych rozpoczętych in- westycji i uruchomienie w nich pro- dukcji wymagałoby zwiększenia obecnego poziomu importu o 5-6 proc. od roku 1981 poczynając i to importu z drugiego obszaru płatni- czego. Do każdego wyprodukowane- go „Jowisza” trzeba by np. zaimport-ować dziś — licząc łącznie to, co zakupić musi dla niego za granicą chemia, hutnictwo i inne kooperan- ci — za około 140 dolarów. Obietnice, że w przyszłości dzisiejsze inwesty- cje wspomogą nasze możliwości eks- portowe, nawet jeśli one są rzetel- ne, nie mogą być pociechą, tak jak dla tonącego nie może być pociechą najbardziej kolorowa przyszłość.

Umożny się również, że nie chce- my wchodzić w niuanse nierównow- agi inwestycyjnej. Choć prawda jest taka, że wobec tej nierównowa-

gi nie mamy szans na doprowadze- nie rozpoczętych dziś inwestycji do końca w rozsądnym czasie. Można to pokazać choćby na tak prościut- kim przykładzie, jak bilans cemen- tu, który pozornie nie jest dobrem deficytowym. Ograniczone jednak- że możliwości paliwowo-energetycz- ne, m.in. spadek produkcji węgla, doprowadzić muszą i doprowadziły już do zmniejszenia jego produkcji. A jak cementu będzie mniej, to mu- si go gdzieś zabraknąć. Z góry wie- domo nawet, że nie zabraknie go ani dla Huty „Katowice” ani dla „Polcoloru” czy „Ursusa”. Nie do- trze natomiast potrzebna jego ilość przede wszystkim na place budowy mieszkań, szpitali, nie zostaną już nawet jego rezerwy dla rolnictwa. Mechanizm ten działa w obrębie procesu inwestycyjnego od lat i żadne rozdzielniki nie są w stanie go zahamować. Choćbyśmy tupali wszyscy zgodnie w Warszawie, w Gdańsku i na Śląsku.

Obie te nierównowagi — a jest ich więcej — na końcu których jest chaos całej gospodarki, działają mogą na wyobraźnię społeczną w sposób ograniczony. Ani procentami impor- tochłonności inwestycji, ani złożo- nymi uwarunkowaniami w procesie inwestycyjnym nie sposób pokazać groźnych nam niebezpieczeństw. Tu mała dygresja. Może powstać pytanie, czy je w ogóle pokazywać. Czy nie istnieje groźba przedawko- wania napięć i zagrożeń, a wobec tego spraw trudnych nie należałoby złożyć w ręce tych, którzy za nasz byt społeczny biorą odpowiedzial- ność?

Postanowiliśmy i chcemy władzy patrzeć na ręce. Ale nie możemy jej kontrolować, jeśli nie będziemy umieli ocenić celowości podejmowa- nych decyzji i nie będziemy rozumi- eć, po co ona to robi. A na pew- no robić powinna. Możemy też uznać, że nierównowaga płatnicza czy we- wnętrznoinwestycyjna to zmierzwie- dzie władz. Nie myślimy przecież kraj z tej równowagi wytracił.

Nie ludzmy się. Za błędy polity- ki gospodarczej płacić zawsze spo-

łeczniwstwo. Jak byśmy się nie za- wzięli na rozliczanie winnych tych błędów, wszystko co możemy uzy- skać, to satysfakcja moralna. Teraz społeczeństwo musi pilnować wła- dzy, aby za popełnione błędy zapła- cić jak najmniej. I tak dochodzimy do najistotniejszej sprawy wiążącej ograniczenia inwestycyjne z równo- wagą rynkową. Przyjrzyjmy się bli- żej tym związkom.

Nawet przy założeniu, że poziom nakładów w roku przyszłym będzie mniejszy niż w bieżącym o 100 mld złotych, luka towarowa, czyli różnica między podażą towarów a ogólnym wolumenem wyprawy w gospodarce, szacowana jest na 200 mld złotych. Jak zastrzegają się eksperci, nie jest to rachunek naciągający gwałt straszenia nas, a inaczej mówiąc, ta luka może być jeszcze większa. Ry- suje się więc szansa na podłączenie odcisków od stania w kolejkach, bo nie będzie w tych kolejkach „za- czym” stać.

Jeśli nie wycofamy się z niektórych inwestycji, nie zatrzymamy ich czę- ści, poziom nakładów musi być co najmniej zbliżony do tegorocznego. W ten sposób luka towarowa po- większa się o dalszych 50 mld zło- tych. Każda złotówka wydana na in- westycje daje bowiem średnio 50 gr w funduszu plac. Tyle trzeba wy- dać na place pracowników budo- wanych inwestycji i produkujących dla nich urządzenia i materiały.

Nie sądzę, żeby znaleźli się zwol- lennicy takiego zaciśnięcia pasa. Są- dzę, że wszyscy byłibyśmy solidar- ni w protestach. Jeśli ustąpimy dziś przed siłą pozycji obronnych, usua- my spod nogi jedynie punkt opar- cia przed stępcami się w dół in- flacyjnych dramatów. Ta luka to- warowa stanowi bowiem grunt dla przyspieszenia inflacyjnego. Bez ru- szenia inwestycji zasygnalizuje jej po prostu nie da i to ani w najbliż- szej przyszłości, ani w przyszłości dalszej. Nawet jeśli udało się prze- żyć okres wielkiego postu, to i tak potem nie nastąpiłaby czysa biesieda. Bo ważna jest również odpowiedź na pytanie, co mielibyśmy z tych roz- poczętych dziś i zakończonych po kilku latach inwestycji?

Wiadomo, że w planach lat sie- demdziesiątych rości w nakładach udział kompleksu surowcowo-ener- getycznego, a małał udział galei, które miały obsługiwać rynek. Nie- wielki był np. udział przemysłu lek- kiego, a do karykaturalnych rozmiar- ów sprowadził się on w przypadku przemysłu spożywczego. Żeby uprze- dzić wątpliwości, dlaczego wobec te- go dają się nam we znaki także i trudności energetyczno-surowcowe, warto dodać, że mieliśmy w ubie- głych latach typowe zjawisko po- zarażania własnego ogona przez gigant- ny surowcowo-energetyczny. Hut- nictwo jest np. jednym z najbardziej energochłonnych działów gospo- darki, pochłaniało więc ono sporą część przyrostów mocy w ener- getyce. Jednocześnie rościł jego apety- ty na własne wyroby. Im więcej in- westowaliśmy w hutnictwo, tym dotkliwiej odczuwała gospodarka brak jego wyrobów.

Wróćmy jednak do interesujących nas tu nakładów na tzw. usługi rynku. W obecnym manewrze inwe- stycyjnym (nie wykresajmy tego słowa z języka publicystyki; skom- promitowało się nie słowo, lecz tre- ści podkładane pod nie) nie chodzi o to tylko, ile przeznaczamy na roz- wój typowo rynkowych działów go- spodarki. Chodzi przede wszystkim o to, co z tych inwestycji zjawi się na rynku. Nie rozwiązuje przecież problemu skokowy wzrost dostaw do sklepów telewizorów kolorowych, samochodów czy magnetofonów. Słowem, wszystkich tych wspania- łości nabilizujących nasz rynek we- dle aspiracji dziesiątej potęgi prze- mysłowej świata. Bo jesteśmy tą potęgą mierząc produkcję węgla, sta- li, cementu, a więc pod względem ty- powo produkcyjnych działów gospo- darki. Jeśli tego nie czujemy, to dla- tego, że jednocześnie cierpimy na uporczywy niedorozwój działów produkcji dóbr konsumpcyjnych.

Burczy w brzuchu

Nieuniknionym następstwem lu- ti towarowej jest inflacja. Przy tak- kiej rozbieżności między podażą to- warów i wypływających na rynek złotówek placowych nie sposób stwo- rzyć dla niej skutecznej zapory. To nie znaczy, że nie można się przed nią bronić. Skoro obronić nie mo- żna wszystkich, staję pytanie, kogo bronić przede wszystkim? Zbyt je- stępny ucałeni wszyscy na ogół wie- dliwość społeczną, żeby walczyć się z odpowiedzialnością. Oczywiście, chce- my i musimy bronić przede wszyst- kim najmniej zarabiających czyli tych, którzy największą część swo- ich plac wydają na żywność. Regla- mentacja żywności jest, jak wiado- mo, jedynie półśrodkiem i to dła- jącym na krótko. Jedynym sposo- bem jest zwiększenie jej podażi. A jeśli chcemy zaktywizować produk- cyjność naszego rolnictwa, musimy skierować tam wszystkie siły go- spodarki.

O jakie siły tutaj chodzi? Czy tylko o przesunięcia nakładów mię- dzy działami przemysłu — rolnictwo? Nakłady tak, po to m.in., żeby wykorzystać lepiej bazę surowcową ro- lnictwa, którą już mamy. Inwestycje mają jednak to do siebie, że przy- czyniają się do poprawy sytuacji dopiero po jakimś czasie. A nam już dziś burczy w brzuchu. Podwyżki cen skupu produktów rolnych mogą zachęcać do zaktywizowania rolnic- twa tylko wtedy, kiedy za te więk- sze pieniądze rolnik będzie mógł ku- pić to, co mu jest potrzebne, a więc węgiel, materiały budowlane, pro- ste narzędzia rolnicze, i oczywiście, maszyny (nie wiem czy musi być to „Massey Ferguson”, na pewno części zamienne do używanych dziś

maszyn). Ale żeby to dać, to trzeba komuś zabrać. A większość tych środków zaopatrzenia rolnictwa za- brać można tylko z puli inwestycji. No cóż. Niełatwo jest zrezygnować z aspiracji wielkoprzemysłowych. Nie umielimy tego zrobić w prze- szłości, kierując się rozumem, dziś dopomina się o to żółdek.

Minimalizować straty

Zatrzymanie inwestycji oznacza zamrożenie włożonych środków i to środków niemałych. Do kwoty tego zamrożenia dodać trzeba następne wydatki związane z zabezpieczeniem placów budowy, aby nie zniszczyły się to, co tam fizycznie już jest. Wydać trzeba na zmagazynowanie już wyprodukowanych maszyn i urzą- dzeń oraz tych, które zostały zakon- traktowane u dostawców zagranicz- nych, a kontraktów zerwać się nie uda. Częściowo można obniżyć ko- szty tych strat zagospodarowując zbędne maszyny w istniejących już zakładach lub podjąć próbę ich eks- portu. Wiele maszyn zakupionych lub wyprodukowanych dla mniej- szych instytucji, np. dla przemysłu cukrowniczego można sprzedać drob- nym wytwórczości uspołecznionej lub prywatnej.

Strat jednak nie da się uniknąć. Można je jedynie minimalizować. W jaki sposób — to właśnie jest te- mat do rozważań i sporów. Zawrotną karierę robi dziś w publicystyce słowo konwersja, czyli przystosowanie do nowej sytuacji całej przemysło- wej bazy wytwórczej, produkującej dotychczas dobra inwestycyjne. Widzimy ratunek w tej konwersji, ale trudno nawet się spierać, w jakim stopniu ona nas uratuje, skoro nie wiemy, które konkretnie zakłady będzie trzeba na nową produkcję przestawiać. Mniej wskazuje koszty- wałoby, gdyby bez dokładnego spre- czekowanych planów konwersji za- trzymać rozpadający się mechanizm pro- dukcji dóbr inwestycyjnych, a nad przedstawieniem bazy wytwórczej w poszczególnych zakładach zastana- wiać się spokojnie. Nawet przy za- łożeniu, że za ten przymusowy po- stój wypłacać trzeba załogom pełne stawki. Nie tracimy wówczas na su- rowcach, materiałach, często defi- cytowych, a w dodatku nie powięk- szamy problemów składowania nie- przydatnych maszyn.

Inaczej jednak wygląda sprawa z przemieszczeniem potencjału wy- konawczego. Ze względów społecz- nych, ludzkich, jest to obecnie pro- blem najtrudniejszy i na ten temat mówić trzeba głośno i konkretnie już dziś. Zmniejszenie nakładów o 100 mld złotych oznacza, że prze- mianowania dotychczas około 50 tys. osób. Sprawa jest przykra, ale nie ma co udawać, że odbędzie się to bezboleśnie i nikomu wlos z głowy nie spadnie. Na placach budowy sz- ery się obecnie klimat zagrożenia stabilizacji zawodowej mamy już dziś pierwsze próbki protestów przeciw zatrzymywaniu inwestycji ze strony załóg. Działć to nie powinno nikogo, zwłaszcza że zagrożenie stabilizacji życiowej spłata się tam z gorzkim poczuciem zawodu co do użyteczno- ści włożonego trudu, trudu niezar- bardzo wielkiego.

Jak przeciwdziałać temu bolesny problem, bo przecież przeciwdziałać go trzeba. Teo- retycznie w przypadku potencjału wykonawczego kłopotów być nie po- winno. Cierpiemy chronicznie na je- go niedobór przy realizacji inwe- stycji komunalnych, mieszkani- wych, służby zdrowia, nie mówiąc już o tym, że brakuje nam tych spe- cjalizacji w całej sferze usługowej. Ale ludzie nie maszyny, które moż- na dowolnie przestawiać i przewo- zić. Skoro muszą zmienić pracę, to przynajmniej postawmy im coś do wyboru.

Takie możliwości można stworzyć. Należałoby się np. zastanowić nad stworzeniem funduszu pomocy fi- nansowej dla tych, którzy pracują w budownictwie mają jednocześnie gospodarstwa rolne. Pomoc finan- sowa na zaktywizowanie rolnicze- go warsztatu pracy rozwiązywałaby problem pewnej liczby zatrudnio- nych. Zbadać należałoby również, w jakim zakresie, realna jest propo- zycja przekwalifikowania części pracowników budownictwa. Nie wiemy właściwie, jakie są szanse zaktywizowania eksportu budow- nictwa, a jak wiadomo, wykonawcy nie stronią od wyjazdów na ekspor- towe budowy. Można by się również zastanowić, czy dla tych, którzy tra- cą warsztat pracy wskutek cięć in- westycyjnych, nie stworzyć syste- mu preferencji przy udziale w ze- zwoleniu na otwarcie różnego typu zakładów usług budowlanych i re- montowych.

To są na razie tylko luźne roz- wadzania — co by było gdyby. Oczy- wiste jest już jednak, że dziś w Polsce niewiele da się przeprowa- dzić bez uzyskania szerokiego po- parcia społecznego. A dla tej spra- wy poparcie zdobyć musimy. Daren- nie szukać byłoby bowiem, co sta- rałam się dowiedzieć, alternatywnego rozwiązania. W naszym wspólnym interesie jest więc, aby tę koniecz- ność, przed którą stoimy uświadom- ić wszystkim. Również tym, któ- rzy będą musieli za to zapłacić wię- cej.

orzecznictwo

KTO WYZNACZA TERMIN USUNIĘCIA WAD W INWESTYCJACH I REMONTACH BUDOWLANYCH

Kombinat Budowlany w W. wy- konał na zamówienie Dyrekcji Roz- budowy Miast i Osiedli Wielekich określone inwestycje budowlane.

Ponieważ w budynku mieszka- lnym na osiedlu P. stwierdzono pro- tokolarnie wady w postaci przecie- ków przez ściany w 3 mieszka- niach, Dyrekcja udzieliła Kombina- towi terminu do usunięcia wspo- mnianych wad, a gdy to w określo- nym terminie nie nastąpiło — zażę- dała uszczerbku kar umownych za półroczną zwłokę w usunięciu wad.

Wobec tego, że Kombinat kar nie zapłacił, Dyrekcja wystąpiła o ich zasądzenie na drogę postępowania arbitrażowego.

Okręgową Komisję Arbitrażową zasądziła od Kombinat na rzecz Dyrekcji dochodzącą kwotę.

Od orzeczenia OKA pozwany Kom- binat złożył odwołanie.

Główna Komisja Arbitrażowa o- rzeczeniem z dnia 17 kwietnia 1979 r. nr 1 P-1354/79 odwołanie Kombi- natu oddaliła, wypowiadając nastę- pujący pogląd sprawy:

Wyznaczenie terminu na usunięcie wad stanowi — wynikające z re- kcjami — uprawnienie zamawiającego i termin przeto niego wskazany — wiąże wykonawcę. Wykonawca nie może przy tym uzależniać spełnienia obowiązku na nim obowiązku od wskazania przez zamawiającego spo- sobu, w jaki wady mają być usu- nięte.

W uzasadnieniu swego stanowiska OKA zaznaczyła m. in.:

„W świetle materiału dowodowe- go sprawy odwołanie pozwanej wy- konawcy nie zasługuje na uwzględ- nienie. Istnienie wad ustalone zosta- ło protokołem z 13.X.1978 r. W sze- regowości, w spornym budynku stwierdzono przecieki przez ściany w mieszkaniach nr 8, 9 i 12. Termin na usunięcie tych wad powodowy zamawiający wyznaczył na IV kwar- tał 1976 r. Zawarte w protokole za- strzeżenia pozwanej wykonawcy, że wady usunie w kwietniu 1977 r., po wskazaniu przez powodowego za- mawiającego sposobu ich usunięcia, pozostaje bez wpływu na rozstrzy- gnienie sporu.

W myśl § 33 ust. 2 pkt. 2 ogó- lnych warunków umów o realizację inwestycji budowlanych oraz o wyko- nanie remontów budowlanych i instalacyjnych — o.w.r.i. (załącznik nr 2 do zarządzenia ministra budow- nictwa i P.M.B. z 8.IV.1974 r. w sprawie ogólnych warunków umów o prace projektowe w budownictwie oraz o realizację inwestycji budo- walnych i o wykonanie remontów budowlanych i instalacyjnych — Mo- nitor Polski nr 14, poz. 94), wyzna- czenie terminu na usunięcie wad stanowi wynikające z rekcjami upra- wienie zamawiającego i termin przez niego wskazany na usunięcie wad wiąże wykonawcę. Wybór sku- tecznego sposobu usunięcia wad na- leży natomiast do wynikających z rekcjami obowiązków wykonawcy i nie może on uzależniać spełnienia obowiązku na nim obowiązku usunię- cia wad w wyznaczonym przez za- mawiającego terminie od wskazania przez zamawiającego sposobu, w jaki wady mają być usunięte (§ 33 ust. 3 o.w.r.i.).

W tym stanie rzeczy należy dojść do wniosku, że wady ujawnione pro- tokołem z 13.X.1978 r. pozwany wy- konawca obowiązany był usunąć do 31.XII.1976 r. Ze spisane przez przedstawiicieli obu stron protokołu z 3.VIII.1977 r. wynika, że w dacie spisania tego protokołu w miesz- kaniu nr 8 w dalszym ciągu wystę- powały przecieki.

W świetle komisyjnych ustaleń te- go protokołu, załączone do odwoła- nia przez pozwany wykonawcę o- świadczenie lokatora stwierdzające usunięcie wady w kwietniu 1977 r. nie może stanowić i nie stanowi do- wodu na okoliczność usunięcia w tej dacie wady w sposób skuteczny.

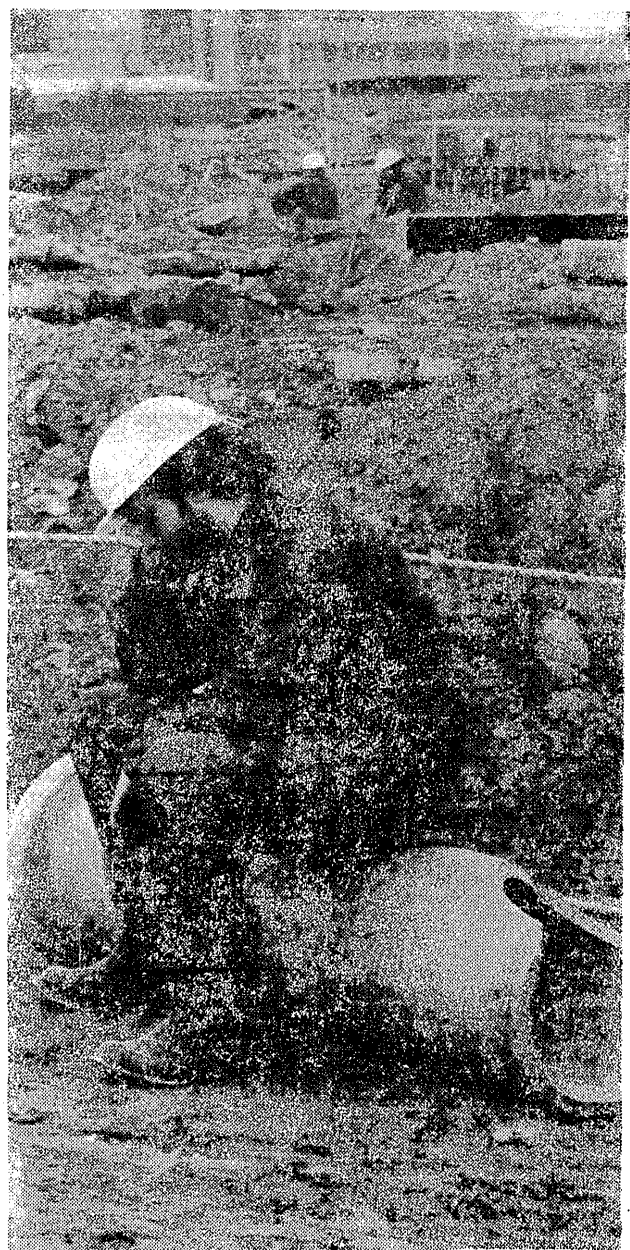
Usunięcie przez pozwany wyko- nawcę wad, wyszczególnionych w protokole z 2.VIII.1977 r., zostało stwierdzone protokołem z 3.I.1978 r.

W związku z powyższym ustalenie Okręgowej Komisji Arbitrażowej, że pozwany wykonawca w okresie wskazanym przez powodowego za- mawiającego pozostawał w zwłocz- e usunięciem wady — było prawidłowe.

Z tych względów Główna Komis- ja Arbitrażowa, nie znajdując pod- staw do uwzględnienia odwołania pozwanej wykonawcy, utrzymała w mocy zaskarżone orzeczenie i ko- szta odwołania (...) obciążyła stro- nę odwołującą się.”

Od 1 listopada 1980 r. obowiązują ogłoszone ostatnio nowe rozporzą- dzenie ministra zdrowia i opieki

DOKONCZENIE NA STR. 12



Na placach budowy dużych inwestycji przemysłowych szczyt się klimat zagrożenia stabilizacji zawodowej. Fot. S. ZUBCZEWSKI

nowe przepisy i zarządzenia

DOKONCZENIE ZE STR. 11

społecznej z dnia 24 września 1980 r. w sprawie zapobiegania szerzeniu zakaźnych schorzeń jelitowych przez nosicieli (Dz.U. Nr 22, poz. 85).

W szczególności, za brania ono zatrudniania osób, które nie były poddane we właściwej stacji sanitarno-epidemiologicznej badaniom na nosicielstwo zarazków schorzeń jelitowych, przy zajęciach takich, jak:

1) wymagające bezpośredniego stykania się z nie opakowanymi artykułami żywności przy wyrobie środków spożywczych, ich przechowywaniu, przewożeniu, obróbce, pakowaniu, przechowywaniu, obrocie, przewożeniu oraz przygotowywaniu do spożycia, jak również przy myciu oraz przygotowywaniu naczyń i pojemników przeznaczonych na żywność,

2) przy dojzeniu i rozlewaniu mleka, wyrobie i przerobie przetworów mlecznych oraz wyrobów mięsnych i rybnych, a także przy ich przechowywaniu, przewożeniu i obrocie — w gospodarstwach rolnych, będących w zarządzie jednostek państwowych, rolniczych spółdzielni produkcyjnych i innych spółdzielni,

3) stykanie się ze zbiornikami wody do picia i na potrzeby gospodarstwa,

4) obsługa wagonów restauracyjnych, wagonów chłodni, wytwórni lodu do celów spożywczych, stwardzi itd.

OCHRONA POWIETRZA ATMOSFERYCZNEGO PRZED ZANIECZYSZCZENIEM

Rozporządzenie Rady Ministrów z dnia 30 września 1980 r. w sprawie ochrony powietrza atmosferycznego przed zanieczyszczeniem (Dz. U. Nr 24, poz. 89), które weszło w życie dnia 5 listopada 1980 r., stanowi m.in., iż dopuszczalne stężenie substancji zanieczyszczających powietrze atmosferyczne ustala się odrębnie dla obszarów specjalnie chronionych oraz odrębnie dla obszarów chronionych.

Obszary specjalnie chronione obejmują tereny uzdrowisk, ochrony uzdrowiskowej, parków narodowych, rezerwatów przyrody, parków krajobrazowych i lasów ochronnych. Terenowe organy administracji państwowej mogą zaliczyć do obszarów specjalnie chronionych także tereny zespołów obiektów zabytkowych.

Obszary chronione obejmują pozostałe tereny kraju, z wyjątkiem terenów zajętych przez jednostki organizacyjne prowadzące działalność gospodarczą, powodującą zanieczyszczenie powietrza atmosferycznego.

Wielkość dopuszczalnych stężeń substancji zanieczyszczających powietrze atmosferyczne dla obszarów chronionych i specjalnie chronionych oraz zasady określania dopuszczalnych stężeń tych substancji w powietrzu atmosferycznym pochodzących ze spalania paliw określone zostały w załącznikach do rozporządzenia.

Natomiast najwyższe dopuszczalne masy opadającego pyłu na powierzchnię terenu wynoszą 250 t na 1 km² w ciągu roku dla obszarów chronionych oraz 40 t na 1 km² w ciągu roku i 6,5 t na 1 km² w ciągu miesiąca dla obszarów specjalnie chronionych.

Pomiary stężeń substancji zanieczyszczających powietrze atmosferyczne prowadzi:

- 1) terenowe organy administracji państwowej stopnia wojewódzkiego,
- 2) organy Państwowej Inspekcji Sanitarnej w zakresie niezbędnym ze względu na ochronę zdrowia i życia ludzkiego,
- 3) Państwowa Inspekcja Ochrony Środowiska w zakresie niezbędnym do realizacji jej zadań.

Rozporządzenie określa także obowiązki organów administracji państwowej w zakresie realizacji przepisów rozporządzenia.

ZABEZPIECZENIE PRZECIWOPOŻAROWE ZAKŁADÓW PRZETWÓRSTWA RYBNEGO

W nr 23 Dziennika Ustaw ukazano się rozporządzenie ministra handlu zagranicznego i gospodarki morskiej z dnia 20 października 1980 r. w sprawie zabezpieczenia przeciwpożarowego zakładów przetwórstwa rybnego (poz. 89).

Przepisy rozporządzenia regulują sprawy zabezpieczenia przeciwpożarowego w obiektach produkcyjnych przetwórstwa rybnego, a w szczególności: w wędzalniach ryb, w smażalniach, przy produkcji oleju rybnego, przy suszeniu mączki rybniej, w pomieszczeniach laboratoryjnych i przy pracach laboratoryjnych.

Ponadto rozporządzenie nakłada określone obowiązki na kierowników zakładów oraz na pracowników. Kierownicy są przede wszystkim obowiązani do opracowania planu dostosowania zakładu do wymagań określonych w rozporządzeniu i zapewnienia realizacji tych planów do dnia 31 grudnia 1983 r.

Jako załącznik do rozporządzenia zamieszczony został wykaz obowiązkowego sprzętu pożarniczego dla poszczególnych przemysłów.

Opracowała:
STANISŁAWA ZIELIŃSKA

NA DZIŚ — REKOMPENSATA

ZOFIA JACUKOWICZ

NINIEJSZYM artykułem chciałabym nawiązać do podjętej przez „Życie Gospodarcze” dyskusji pt. „Rozgrzanie koszyków”.

Zastanawiając się nad problemem, jak obliczać wskaźnik wzrostu kosztów utrzymania, dochodzę do wniosku, że nie można odpowiedzieć na to pytanie bez ustalenia zasady rekompensaty wzrostu kosztów utrzymania w placach. Chodzi przede wszystkim o ustalenie, czy wzrost cen ma być wyrównywany w pełni, czy częściowo, a jeżeli częściowo, to zmiany cen jakich dóbr i usług wyrównywać?

Omawiając zasady obliczania wskaźnika wzrostu kosztów utrzymania trzeba odróżnić dwie sprawy: 1) ogólny wskaźnik wzrostu kosztów utrzymania; 2) wskaźnik wzrostu kosztów utrzymania dla celów rekompensaty. Jeśli chodzi o obliczanie ogólnego wskaźnika wzrostu kosztów utrzymania podziałem pogląd wyrażony w dyskusji, że niezbędna jest znajomość zmian cen wszystkich dóbr i usług nabywanych przez ludność. Bez pełnego rozeznania wpływu zmian cen na wydatki gospodarstw domowych nie można podejmować prawidłowych decyzji w tej dziedzinie, nie można korygować wskaźnika wzrostu kosztów utrzymania dla celów rekompensaty, ani przedstawiać społeczeństwu wiarygodnych informacji. Po prostu — nie byłoby wtedy danych o istotnym elemencie polityki społecznej i ekonomicznej.

Ponieważ można z góry założyć, że cały wzrost kosztów utrzymania nie będzie podlegał rekompensacie, potrzebny jest drugi wskaźnik, obejmujący te towary i usługi, których zmiany cen będą wyrównywane zgodnie z przyjętymi zasadami rekompensaty.

Najwięcej kontrowersji wywołuje obliczanie wskaźnika drugiego, dla celów rekompensaty. W krajach stosujących indeksację plac stosuje się często wskaźnik kosztów utrzymania obejmujący ceny całości dóbr i usług kupowanych przez gospodarstwa domowe, które mają przeciętne dochody i składają się z rodziców i dwojga dzieci. W rzeczywistości rodziny są bardziej lub mniej liczne, dysponują większym lub mniejszym dochodem, a zmiany rzeczywistych, indywidualnych kosztów utrzymania różnią się od oficjalnego wskaźnika.

W dyskusji w „Życiu Gospodarczym” poruszano problem, czy obliczać jeden wskaźnik wzrostu kosztów utrzymania, czy odrębne wskaźniki dla różnych grup społeczno-zawodowych. Wydaje mi się, że obliczanie kilku odrębnych wskaźników byłoby zbędne. O kierunkach wydatków w większym stopniu niż zaawansowani decydują: sytuacja rodzinna pracowników, liczba dzieci i ich wiek, liczba osób pracujących w rodzinie oraz indywidualne preferencje i zainteresowania poszczególnych członków rodziny. Występowanie rozbieżności pomiędzy wydatkami konkretnych rodzin a przeciętnym wskaźnikiem wzrostu kosztów utrzymania obliczanym dla celów rekompensaty jest nie do uniknięcia. Tak więc wracam do postawionej na wstępie tezy, że o metodzie obliczania wskaźnika wzrostu kosztów utrzymania powinna decydować zasada rekompensaty, czyli problem, jakie zmiany cen i w jakim stopniu będą wyrównywane poprzez

wzrost plac, emerytur i innych długookresowych świadczeń socjalnych.

Element polityki plac

Problemy wyboru metody rekompensaty przedstawię w odniesieniu do plac, jakkolwiek jest oczywiste, że również dochody ze świadczeń socjalnych powinny podlegać korekcie z tytułu wzrostu kosztów utrzymania.

Rozważania na temat wyboru metody rekompensaty rozpocznę od zakresu jej stosowania. Sprawę tę rozstrzygnąć można tylko w powiązaniu z całokształtem wzrostu plac i przewidzianym jego podziałem na wzrost z tytułu awansowania, opłacania wyższej wydajności itp. oraz na wzrost plac nominalnych z tytułu wzrostu cen. Przyjmując założenie, że z powodu obecnych trudności gospodarczych, ogólny wzrost plac będzie ograniczony. Stosowanie dotychczasowego tempa wzrostu plac, traktowanego jako opłacanie efektywności pracy oraz równocześnie wprowadzenie rekompensaty za wzrost kosztów utrzymania powodowałoby dalszy szybki wzrost cen.

Ograniczenie tempa wzrostu plac polegać więc może na minimalizowaniu rekompensaty za wzrost kosztów utrzymania i kontynuowaniu polityki opłacania efektywności pracy, albo na ograniczeniu wzrostu plac z tytułu efektywności pracy (przeszerogowania, wzrost premii, wzrost nadwyżek akordowych) i przeznaczanie większych kwot na rekompensatę wzrostu kosztów utrzymania.

Moim zdaniem, bardziej prawidłowe w najbliższym czasie byłoby rozwiązanie drugie. Potrzeba stosowania rekompensaty za wzrost kosztów utrzymania wysuwana jest powszechnie już od paru lat. Moje badania wskazują, że wszystkie podwyżki plac w latach 1978—1979 traktowane były jako ekwiwalent kosztów utrzymania, a ich wysokość oceniana była jako wystarczająca dla niedostateczna z tego punktu widzenia. Również podwyżki plac dokonywane w II połowie 1980 r. — oprócz tych, które mają na celu wyrównanie dysproporcji plac — traktowane są jako rekompensata. Wyssuwam na tej podstawie tezę, że bez wprowadzenia mechanizmu wyrównania w znacznym stopniu wzrost kosztów utrzymania wszystkie podwyżki nadal będą traktowane jako ekwiwalent za wzrost cen; a więc podwyżki stanowiące w założeniu ekwiwalent za lepszą pracę również nie będą spełniać roli motywacyjnej. Argumenty za stosowaniem rozwiązania drugiego związane są z tym, że bez rekompensaty bodźcowy system plac zostaje wypaczony i traci skuteczność. Pozostaje problem, czy ograniczenie podwyżek z tytułu efektywności pracy i nastawienie się na utrzymanie plac realnych na nieobniżonym poziomie byłoby rozwiązaniem zaakceptowanym przez pracowników i czy nie miałyby negatywnego wpływu na zainteresowanie pracą.

Dążenia załóg

Wątpliwości te rozstrzygnąć może tylko praktyka. Analiza aktualnych postaw załóg wyrażonych w postulatach dotyczących plac oraz zasad podnoszenia plac różnych grup pracowników prowadzi do wniosku, że występuje:

— powszechne żądanie rekompensaty za wzrost kosztów utrzymania;

— tendencja do wyższego podnoszenia plac niż plac przeciętnych i hamowania wzrostu plac wysokich;

— dążenie do poprawy pozycji placowej niektórych grup zawodowych, których place oceniane były jako zbyt niskie;

— potrzeba uproszczenia zasad wynagradzania.

Oprócz zjawisk wymienionych wyżej wystąpiły również pewne naciski na nadmierny wzrost plac i powstały pewne dysproporcje. Wydaje się, że nieuchronnie przy podwyżkach dokonywanych na skutek zażądań załóg i w dodatku na tak szeroką skalę, jak to miało miejsce w II półroczu 1980 r. Warto zwrócić uwagę, że przy omawianych podwyżkach prawie nie występował postulat wiązania wzrostu plac z efektami pracy.

Nie znaczy to, że przy wynagradzaniu pracowników można odchodzić od plac według ilości i jakości pracy. Takiego rozwiązania nie rozpatruję w ogóle, pozostaje tylko problem, czy w najbliższych latach ograniczone podwyżki plac przeznaczyć w większym stopniu na rekompensatę wzrostu kosztów utrzymania a w mniejszym — na opłacanie efektywności pracy, czy przyjąć odwrotne zasady postępowania. Odpowiedź na to pytanie ma istotny wpływ na wybór metody rekompensaty.

Więcej egalitaryzmu

Opowiadając się za polityką dążącą do utrzymania plac realnych na możliwie nieobniżonym poziomie proponuję przyjąć następujące zasady rekompensowania wzrostu kosztów utrzymania w placach:

1) rekompensata nie pokrywa w pełni wszystkim pracownikom wzrostu kosztów utrzymania;

2) stosowana jest metoda rekompensaty, która zapewnia pracownikom otrzymującym placę najniższą wyrównanie wzrostu kosztów utrzymania z pewną nadwyżką, pracownikom zarabiającym nisko (poniżej placę przeciętną) rekompensatę pełną, pozostałym pracownikom wyżej opłacanym przyjęta metoda nie zapewnia pełnego wyrównania wzrostu kosztów utrzymania.

Zasadę niepełnej rekompensaty proponuję realizować poprzez:

— obejmowanie koszykiem dóbr służących do obliczania wskaźnika wzrostu kosztów utrzymania dla celów rekompensaty przede wszystkim artykułów podstawowych, kupowanych przez rodziny o niskich dochodach;

— stosowanie rekompensaty za wzrost cen z pewnym opóźnieniem, a nie równoległe do tego wzrostu. Można tu przyjąć zasadę dostosowywania plac za każdym razem, gdy przyjęty wskaźnik wzrostu kosztów utrzymania wzrośnie np. o 4 proc., 5 proc., albo dostosowywania plac na ustaloną datę: raz na kwartał, raz na pół roku, lub na rok. Ponieważ zasada podnoszenia plac, gdy wzrost kosztów utrzymania wyniesie określony procent, wymaga stałego obliczania i publikowania tego wskaźnika, wydaje się, że łatwiejszą metodą jest ustalenie dat. Częstość dostosowywania plac powinna zależeć od tempa wzrostu kosztów utrzymania; w naszych aktualnych warunkach proponuję stosowanie okresów kwartalnych;

— stosowanie niepełnej rekompensaty dla pracowników wyżej zarabiających i nieprzyznawanie re-

kompensaty pracownikom zarabiającym najwięcej.

Procent, czy kwota?

Metoda rekompensaty uwzględniająca omówione wyżej zasady może mieć formę procentowo-degresyjną, lub formę jednakowego dodatku kwotowego. Bez względu na sposób obliczania powinna być wypracowana i rozliczana w odrębnej pozycji na liście plac.

Procentowo-degresyjna forma rekompensaty mogłaby być obliczana następująco: pracownicy zarabiający w podanych niżej przedziałach otrzymywaliby dodatek w wysokości wynikający z przemnożenia ich placę przez wskaźnik wzrostu kosztów utrzymania i współczynnik przypadający danej grupie zarobkowej. Przedziały zarobkowe i współczynniki degresji mogłyby być następujące (w procentach): do 65 proc. placę przeciętną współczynnik 110 proc.; 66—80 proc. — 100 proc.

Placa przeciętna do	współczynnik
65	110
66—80	100
81—100	90
101—120	80
121—150	70
151—180	60
181—210	50
211—250	30

Pracownikom zarabiającym powyżej 250 proc. placę przeciętną nie przysługiwałaby rekompensata. Zakładając, że placę przeciętną wynosić będzie w 1981 r. 6000 zł miesięcznie oraz że wskaźnik wzrostu kosztów utrzymania wyniesie 10 proc. — kwotowa wysokość rekompensaty kształtowałaby się np. następująco:

zarobki	dodatek
6000	540
9000	630
12000	600
15000	450

Ten sposób liczenia pozwala pracownikom wyżej zarabiającym otrzymać większą kwotę rekompensaty niż otrzymują pracownicy nisko zarabiający, ale na skutek współczynnika degresji rozpiętość dodatku jest o wiele mniejsza, niż rozpiętość plac. Ostrą degresję proponuję dla grupy najwyżej zarabiającej.

Drugą metodą liczenia — formą dodatku kwotowego — polega na tym, że wszyscy pracownicy otrzymują dodatek z tytułu wzrostu kosztów utrzymania w jednakowej kwocie. Formą kwotową, która zyskałaby prawdopodobnie najwięcej zwolenników, jest dodatek obliczony przez przemnożenie placę przeciętną przez wskaźnik wzrostu kosztów utrzymania. Przy podanych wyżej założeniach (placę przeciętną 6000 zł, wzrost kosztów utrzymania 10 proc. dodatek ten wyniosłby 600 zł i byłby przyznawany w tej wysokości wszystkim pracującym bez względu na wysokość zarobków, z ewentualnym pominięciem najwyżej zarabiających.

Ta metoda liczenia ma pewne wady. Powodowałaby duży wzrost funduszu plac, utrudniając walkę z inflacją, mogłaby ponadto spowodować nadmierne spłaszczenie rozpiętości plac, jeżeli kwota dodatku byłaby wysoka. Metoda ta proteguje bardzo silnie grupy pracowników najniższej zarabiających; jest to kierunek, który zyskuje obecnie społeczną aprobatę, ale który może po paru latach spowodować zacieranie różnic w placach między pracownikami wykonującymi pracę prostą i lekką, a

pracownikami wykonującymi pracę bardziej złożoną lub w trudnych warunkach.

Z tych względów wydaje się, że byłoby bardziej celowe stosowanie formy dodatku kwotowego w jednakowej kwocie, ale niższej od kwoty wynikającej z przemnożenia placę przeciętną przez wskaźnik wzrostu kosztów utrzymania. Kwotę tę można ustalić w różnej wysokości. Rozwiązaniem minimalistycznym byłoby przyjęcie jako podstawy obliczania placę minimalną. Jednakże dodek w wysokości wynikający z przemnożenia placę minimalnej przez wskaźnik wzrostu kosztów utrzymania wyrównywałby rzeczywisty spadek przeciętnej placę realnej w granicach 45—50 proc. Istnieje obawa, o czym pisałam na początku artykułu, że przy tak niskiej rekompensacie wzrost kosztów utrzymania, podwyżki plac mające na celu opłacenie większej efektywności pracy, byłyby traktowane przez pracowników jako uzupełnienie rekompensaty.

Proponuję, żeby kwota dodatku przy tej formie rekompensaty ustalana była w stosunku do wynagrodzenia stanowiącego około 85 proc. placę przeciętną. Zgodnie z przyjętymi założeniami dotyczącymi wysokości placę i wskaźnika wzrostu kosztów utrzymania dodatek kształtowałby się następująco:

6000 zł x 85 proc. = 5100 zł
5100 zł x 10 proc. = 510 zł

Kwota dodatku przyznawanego wszystkim w jednakowej wysokości wynosiłaby przy 10-proc. wzroście kosztów utrzymania w zaokrągleniu 500 zł. Wydaje się, że taka zasada obliczania rekompensaty wzrostu kosztów utrzymania ma wiele zalet. Stanowiłaby dla blisko 40 proc. zatrudnionych rekompensatę pełną (dla nisko zarabiających byłaby to rekompensata z nadwyżką), dla osób pozostałych byłaby to rekompensata odczuwalna, pokrywająca wzrost cen artykułów podstawowych. Metoda ta jest nadal bardziej korzystna dla nisko zarabiających niż dla zarabiających wysoko, ale placę niskie preferuje w nieco mniejszym stopniu. Ponieważ jest to rekompensata niepełna, pozostawia pewne oszczędności powstałe przy podwyżkach cen, które można przeznaczyć na awansowanie pracowników lub opłacanie większej wydajności. Przykładowo przy 10-proc. wskaźniku wzrostu kosztów utrzymania, oszczędności z tego tytułu wyniosłyby 1,5 proc. wzrostu funduszu plac i o tyle mogłyby powiększyć fundusz przeznaczony na opłacanie wzrostu efektywności pracy.

Niezależnie od przyjętej metody rekompensaty, wydaje się celowe stosowanie pułapu wynagrodzeń, powyżej którego rekompensata nie będzie przysługiwała. Pułapem tym mogłyby być np. placę dwu i półkrotnie wyższe od placę przeciętnych. Można zastanowić, że w 1980 r. kwota ta stanowiłaby 15 000 zł. Taki pułap wynagrodzeń obejmowałby niewielki odsetek zatrudnionych i miałby mały wpływ na oszczędności funduszu plac, przyczyniałby się natomiast do pewnego zmniejszenia rozpiętości plac.

Wybór metody rekompensowania wzrostu kosztów utrzymania jest sprawą bardzo kontrowersyjną. W dyskusjach, w których brałam udział, obok postulatów wprowadzenia rekompensaty za wzrost kosztów utrzymania jako nieodłącznego elementu polityki plac, obok koncepcji stosowania pełnej rekompensaty, wysuwane były również poglądy, że rekompensata powinna być stosowana tylko w odniesieniu do świadczeń socjalnych (emerytur, rent, zasiłków rodzinnych), a nie do placę, ponieważ jej stosowanie jest zaprzeczeniem podziału według pracy, występowały również poglądy, żeby rekompensatę odnosić tylko do placę minimalnej i placę z nią sąsiadujących.

HANDEL RYSZARD WALICKI W WOLNE SOBOTY

NIE sposób odmówić racji A. Nałęcz-Jaweckiemu, kiedy pisze: „Usilnie namawiam do łagodnego ograniczania pracy handlu w wolne soboty. Uważam bowiem, że duże zamieszanie wyprawdziłoby raptowne zamknięcie sklepów, a tym bardziej ewentualne późniejsze wycofanie się (jak w CSRS) z takiego systemu” („Życie Gospodarcze” 1980, nr 43).

Raptowne zamknięcie sklepów spowodowałoby istotnie duże zamieszanie społeczne, o czym świadczą wyniki zrealizowanych w ostatnich latach badań oraz rezultaty ankiety, którą przeprowadziłem w Warszawie i Skierniewicach zaledwie kilka tygodni temu, a więc w momencie, gdy trudności rynkowe były już bardzo dotkliwe. Uzyskane przeze mnie materiały pozwalają określić, przy wszystkich zastrzeżeniach metodologicznych do reprezentatywności statystycznej zbieranej próby respondentów, jakie są postulaty konsumentów wobec handlu w wolne soboty.

Na pytanie ankiety brzmiące: „Czy i jakie artykuły spożywcze powinny być — zdaniem Pana(i) — zawsze dostępne w wolne soboty?” uzyskane odpowiedzi zamieszczamy w tabeli 1.

W małym 35-tysięcznym mieście o rozrzedzonej infrastrukturze handlowej, w Skierniewicach, odsetek osób opowiadających się za pełną dostępnością wymienionych wcześniej artykułów są wyższe aniżeli w stolicy mającej, na tle innych miast, rozbudowaną sieć placówek handlo-

wych. W małym mieście za stałym udostępnieniem klientom np. mleka i pieczywa optuje ok. 90 proc. respondentów, w Warszawie — blisko 80 proc. osób ankietowanych. Jest to zrozumiałe, im większe miasto, dokładniej — im więcej i lepiej zaopatrzonej sklepów spożywczych w mieście, tym łatwiej — o ile można — to tak określić — zrobić zakupy. Jednakże nawet w tych miastach większość klientów opowiada się za otwarciem w soboty wielu sklepów spożywczych.

Teza ta znajduje potwierdzenie w odpowiedziach respondentów na inne pytanie ankiety, które sformułowane następująco: „Czy Pana(i) zdaniem w wolne soboty powinny być czynne wszystkie sklepy, niektóre czy żadne?” (Tabela 2).

Jak widać odsetek osób przekonanych o tym, że żadne sklepy nie powinny być czynne w soboty wynosi w stolicy od 13,0 proc. w przypadku sklepów cukierniczych do 26,4 proc. w odniesieniu do sklepów owocowo-warzywnych, zaś w Skierniewicach, gdzie zakupy, zdaniem konsumentów, są uciążliwsze aniżeli w Warszawie, odpowiednie liczby są niższe i mieszczą się w przedziale od 6,7 proc. w przypadku sklepów nabiałowych do 13,6 proc. w odniesieniu do sklepów owocowo-warzywnych. Tak głosował ogół respondentów.

Jeśli jednak wyłączyć z przebadanej zbiorowości osoby powiązane z handlem, a były one w niej wyjątkowo licznie reprezentowane (ok.

13 proc. populacji konsumentów), to wielkość frakcji społeczeństwa optującej za zamknięciem w soboty wszystkich sklepów maleje i w odniesieniu, na przykład, do sklepów spożywczych w stolicy wynosi niemal zero procent.

Dość znaczny odłam respondentów opowiada się za otwarciem w soboty wszystkich sklepów — przez część dnia lub cały dzień. Przy czym w małych, zaniebawianych pod względem handlowym, Skierniewicach postulat taki znajduje szerszy rezonans społeczny niż w stolicy. Porównajmy dane. Za otwarciem wszystkich sklepów ogólnospożywczych optuje w Skierniewicach 36,8 proc. respondentów, w tym 14,8 proc. pragnie, aby sklepy były czynne przez cały dzień, w Warszawie odpowiednie liczby wynoszą 27,4 proc. i 8,8 proc.; za uruchomieniem wszystkich sklepów nabiałowych głosi w Skierniewicach 42,7 proc. konsumentów, w tym 34,1 proc. uważa, że mogą one być czynne tylko przez część dnia, w Warszawie odpowiednie liczby wynoszą 22,6 proc. i 16,8 proc.

Jednak większość konsumentów wybiera rozwiązanie „środkowe” w optymalnym, jak sądzi, stopniu korzystając interesy obu stron rozgrywanej lądą i głosuje za utrzymaniem działalności tylko części sieci handlowej, tyłu sklepów, ile trzeba, aby podstawowe — w odczuciu konsumentów — artykuły spożywcze były zawsze dostępne w soboty.

Wielu konsumentów — jak dowodzi analiza odpowiedzi na inne pytania kwestionariusza — usilnie, lecz bezskutecznie na skutek złego zaopatrzenia sklepów stara się tak zorganizować sobie czas w ciągu tygod-

nia, aby nie robić zakupów w wolne soboty! To znaczy, że klienci dokonują zakupów w wolne soboty wbrew swym chęciom; to dla nich

konieczność życiowa, a nie bezrozkie niecierpienie się z własnym czasem i... pragnieniami pracowników handlu.

Tabela 1
w proc. ogółu respondentów

Artykuły spożywcze	Warszawa		Skierniewice	
	tak — zawsze dostępne	nie	tak — zawsze dostępne	nie
Mleko	78,9	13,3	7,8	93,2
Pieczewo	77,8	15,5	6,7	89,3
Wypieki cukiernicze	58,4	22,5	19,1	62,4
Owoce i warzywa	43,6	33,5	22,9	52,4
Inne artykuły nabiałowe	41,3	34,1	24,6	61,9
Mieso	24,4	47,4	28,2	49,0

Tabela 2
w proc. ogółu respondentów

Rodzaj sklepów W — Warszawa S — Skierniewice	Żadne	Niektóre		Wszystkie		Brak zdania
		przez cały dzień	przez część dnia	przez cały dzień	przez część dnia	
• Ogólnospożywcze	W 16,1 S 9,7	7,8 15,2	38,5 28,8	8,7 14,8	18,7 23,8	10,2 7,7
Nabiałowe	W 20,3 S 6,7	4,7 5,0	35,0 39,4	6,0 8,6	16,8 34,1	17,2 6,2
Piekarnicze	W 16,7 S 7,1	6,1 8,6	36,6 34,0	7,4 11,6	20,8 31,5	12,4 7,2
Owocowo-warzywno	W 26,4 S 13,6	3,7 4,8	28,9 34,5	3,7 6,4	13,4 22,4	23,9 18,3
Cukiernicze	W 13,0 S 10,9	13,3 13,8	35,3 33,5	9,3 10,0	12,0 15,2	17,1 16,6

POROZUMIAWIAMY O FUNDUSZU

JERZY KRANZ

Wiele wskazuje na to, że wysokie zadłużenie naszego kraju będzie w najbliższym czasie nadal wzrastać. Nasze zainteresowanie uzyskaniem dalszych kredytów skłania ku temu, aby przyrzeć się, jak z trudnościami płatniczymi radzą sobie inni.

NIEZALEŻNIE od pomocy finansowej z prywatnych rynków kapitałowych oraz kredytów publicznych udzielanych w drodze dwustronnej przez rządy poszczególnych państw warto wspomnieć o trzecim źródle pomocy: międzynarodowych organizacjach finansowych. Największą z nich jest Międzynarodowy Fundusz Walutowy (MFW). Kierując wzrok w tę stronę nie trzeba się rumienić. Główne zadanie Funduszu polega właśnie na udzielaniu kredytów finansowych państwom cierpiącym na zakłócenia bilansu płatniczego. Brak równowagi płatniczej nie jest polską specjalnością i wiele rozwiniętych państw kapitalistycznych korzysta z usług Funduszu.

MFW, którego członkami było w 1980 r. 140 państw, powstał w wyniku międzynarodowych rokowań gospodarczych zakończonych konferencją w Bretton Woods w lipcu 1944 r. Również w Bretton Woods wypracowano statut Międzynarodowego Banku Odbudowy i Rozwoju (popularnie Bank Światowy), który jest największą na świecie organizacją międzynarodową udzielającą kredytów inwestycyjnych. Dla uzyskania członkostwa Banku trzeba jednak należeć do Funduszu.

W każdej międzynarodowej organizacji finansowej państwo zainteresowane jest przede wszystkim trzema problemami: wysokością udziału finansowego w organizacji (któ ile wpłaca), wpływem na podejmowanie decyzji (któ, czy i w jakim stopniu kontroluje organizację) oraz warunkami udzielania pomocy (któ, co i jak otrzymuje w wyniku członkostwa).

Kluczowym zagadnieniem będzie określenie roli udziałów finansowych państw. Otóż, po pierwsze, suma udziałów stanowi podstawę działania MFW. Po drugie, Młebze głosów, jaką dysponuje dane państwo przydziela się proporcjonalnie do udziału finansowego (wyjąwszy ok. 9 proc. tak zwanych głosów podstawowych dzielonych równo między wszystkie państwa członkowskie). Po trzecie, państwa posiadające pięć największych udziałów mianują (każde z osobna) własnego dyrektora wykonawczego.

Wielkość udziału finansowego w MFW określa się przy pomocy kryteriów ekonomicznych. Stosuje się w tym celu różne warianty formuł datującej się jeszcze z okresu rokowań w Bretton Woods, która uwzględniała następujące wskaźniki: dochód narodowy, rezerwy złota i walut wymienialnych, eksport, import oraz roczne wahania eksportu.

Wyniki uzyskane w rezultacie zastosowania formuł ekonomicznych koryguje się uwzględniając ogólną strukturę udziałów w Funduszu, porównując udziały państw z jednego regionu geograficznego oraz zestawiając udziały państw o podobnej sile i strukturze społeczno-ekonomicznej. Cała ta operacja, mimo że będąca formalnie jednostronną decyzją Funduszu, przeprowadzana jest w porozumieniu z państwami kandydującymi. Zarówno przy ustalaniu udziału kandydata, jak i w przypadku późniejszych podwyżek udziału, decyzja władz MFW musi zostać zaakceptowana przez dane państwo.

A oto pięć pierwszych państw pod względem wielkości udziału w MFW w drugiej połowie 1980 r.: USA — 21,5 proc. ogólnej sumy udziałów, Wielka Brytania — 7,5 proc., RFN — 5,5 proc., Francja — 4,9 proc., Japonia — 4,2 proc. Grupa „10” (najbogatsze państwa kapitalistyczne: pięć wymienionych oraz Kanada, Włochy, Szwecja, Belgia i Holandia) posiada łącznie 56 proc. udziałów. Udział Rumunii wynosi 0,6 proc. (w liczbach bezwzględnych: 245 milionów jednostek SDR), Jugosławii — 0,7 proc., Wietnamu 0,2 proc., a Chińskiej Republiki Ludowej — 3 proc.

Czas przejść obecnie do problemów związanych z podejmowaniem decyzji. W rezultacie uzależnienia liczby głosów od wielkości udziału finansowego układ głosów w MFW przedstawiał się w drugiej połowie br. następująco: USA — 19,6 proc. ogólnej liczby głosów, Wielka Brytania — 6,9 proc., RFN — 5,1 proc., Francja — 4,5 proc., Japonia — 3,9 proc. Grupa „10” skupiała 52 proc. głosów. Grupa krajów rozwijających się dysponowała 35 proc. głosów, w tym 10 proc. państwa OPEC.

Analiza praktyki Funduszu wykazuje, że decyzje podejmowane w formalnym głosowaniu należą do zupełnych wyjątków. Uchwały zapadają najczęściej bez głosowania, w wyniku nieformalnych negocjacji

i podjęcia decyzji bez formalnych sprzeciwów. Międzynarodowe organizacje finansowe mają długoletnią praktykę stosowania metody consensus. W rezultacie, decyzje MFW pozabawione są zazwyczaj dramatycznych spięć i próby sił w otwartym głosowaniu. Procedura ta sprzyja efektywności pracy organizacji.

Ten stan rzeczy wynika przede wszystkim z istniejącego układu sił. Kluczową rolę w handlu międzynarodowym oraz w finansowaniu rozwoju gospodarczego odgrywają rozwinięte państwa kapitalistyczne, a wśród nich Stany Zjednoczone. Powstanie i sprawne funkcjonowanie wielu międzynarodowych organizacji finansowych jest albo niemożliwe albo bardzo utrudnione bez uczestnictwa choćby niektórych z tych krajów. W przeciwnym razie organizacja borykać się od początku swego działania z niedostatkami środków finansowych.

Członkostwo bogatych państw Zachodu nie jest bezinteresowne, co wydaje się dość zrozumiałe. Jeśli któreś z MFW, największymi beneficjentami jego pomocy są dotąd USA oraz Wielka Brytania. Częściowym uzasadnieniem tej sytuacji może być skala gospodarki i handlu tych państw oraz rola, jaką ich waluta odgrywa w międzynarodowych stosunkach gospodarczych (któpoły waluty amerykańskiej nie oznaczają kłopotów wyłącznie dla USA, lecz również innych państw). W gruncie rzeczy funkcjonowanie międzynarodowego systemu walutowego zależy od woli współpracy kilku do kilkunastu państw.

Można zatem stwierdzić, iż przeważa najbardziej rozwiniętych państw kapitalistycznych w MFW wynika z konfiguracji sił ekonomicznych w świecie.

Godzi się tu przypomnieć, że w wielu organizacjach międzynarodowych najważniejsi partnerzy zajmują silniejszą od innych pozycję. Tak np. w międzynarodowej umowie cynowej największą liczbą głosów wśród państw eksporterów dysponują Malesja i Boliwia; bez ich zgody umowie grozi paraliż. Innym przykładem może być przyznanie prawa weto każdemu z pięciu stałych członków Rady Bezpieczeństwa ONZ (ZSRR, USA, Chiny, Francja, Wielka Brytania).

Kontrowersyjną sprawą mogą być natomiast poglądy co do zasadności kryteriów zróżnicowania pozycji państw w organizacji oraz sposobu, w jaki państwo korzysta w praktyce ze swej uprzywilejowanej pozycji.

W tym kontekście należy postawić pytanie o warunki udzielania kredytów finansowych przez Fundusz. Każdy kredytodawca (bank prywatny, państwo, organizacja międzynarodowa) stawia pewne warunki. Wymagania te można generalnie podzielić na ekonomiczne i polityczne. Najogólniejszym warunkiem ekonomicznym stawianym przez MFW jest przeznaczenie uzyskanych kredytów na poprawę bilansu płatniczego (nie można ich zatem zaciągać na cele inwestycyjne). Innym, ważnym ograniczeniem jest proporcjonalność kredytu do udziału finansowego państwa.

Zgodnie z obowiązującymi przepisami MFW nowy członek organizacji musi wpłacić część udziału w walutach wymienialnych (lub SDR, o ile Fundusz dokonuje w danym roku przydziału tego międzynarodowego pieniądza opartego na zaufaniu). Wpłata w walutach wymienialnych nie może przekraczać 25 proc. udziału, a obecnie przepisy MFW wyznaczają ten próg na poziomie 20 proc. Różnicę udziału wpłaca się w walucie krajowej danego państwa.

Część wpłacona w walucie wymienialnej nie jest jednak zamrożona i wlicza się ją do aktywów w bilansie płatniczym państwa. Dlaczego tak się dzieje?

Otóż, MFW udziela pomocy w tzw. transzach. Uzyskanie kredytu polega na uzyskaniu zezwolenia od Funduszu na zakupienie w nim walut obcych lub SDR w zamian za walutę krajową z obowiązkiem odkupienia później od Funduszu waluty własnej za walutę obcą. W wyniku kredytu w ramach pierwszej transzy, zwanej rezerwową, suma waluty krajowej danego państwa będąca w posiadaniu MFW nie może przekroczyć 100 proc. udziału. Znaczy to, że jeżeli państwo wpłaciło 80 proc. udziału w walucie własnej to w ramach transzy rezerwowej może jeszcze kupić walut obcych (za walutę własną) w wysokości 20 proc. udziału. Kredyt w ramach transzy rezerwowej jest automatyczny i MFW nie stawia żadnych warunków. Dlatego też wpłata w walucie wymienialnej nie obciąża bilansu danego kraju.

Inną formą bezwarunkowej pomocy MFW jest przydział SDR (proporcjonalnie do udziału). Nie każdego jednak roku Fundusz dokonuje emisji i przydziału SDR. W zamian za SDR można nabywać w Funduszu waluty obce oraz regulować np. zadłużenie wobec Funduszu.

Poza tymi formami MFW udziela również pomocy warunkowej. Statut MFW powiada, że w dyspozycji Fun-

duszu nie powinno się znaleźć więcej waluty danego kraju niż 200 proc. jego udziału, chyba że MFW wyrazi zgodę na przekroczenie tego pułapu (co się często zdarza w praktyce). Zakładając, że państwo wykorzystало kredyt w ramach transzy rezerwowej, pozostaje mu jeszcze możliwość kredytu w wysokości równej udziałowi. Te 100 proc. kredytu do wykorzystania dzieli się na cztery transze, zwane kredytowymi. Jeżeli suma waluty własnej danego kraju będąca w posiadaniu MFW przekroczyła 100 proc. udziału, lecz nie przewyższa 125 proc. (np. 80 proc. przy wpłacie udziału, 20 proc. w ramach transzy rezerwowej oraz dodatkowo 25 proc.) mówimy wówczas, że państwo korzysta z pomocy w ramach pierwszej transzy kredytowej. Między 125 a 150 proc. mówimy o drugiej transzy kredytowej i tak do czwartej transzy między 175 a 200 proc.

Dla uzyskania pomocy w ramach pierwszej transzy kredytowej należy udowodnić władzom MFW, że poddaje się rozsądne działania w celu poprawy bilansu płatniczego. Tak uzyskany kredyt wypłacany jest w całości. Pomoc MFW powyżej pierwszej transzy kredytowej wymaga natomiast przedstawienia konkretnego i ułomowanego programu działania na rzecz poprawy sytuacji gospodarczej danego kraju. Kredyty wypłaca się wówczas etapami w miarę realizowania tego programu.

W sumie zatem, zakładając że udział państwa wynosi 500 mln jednostek SDR, w ramach transz kredytowych pożyczkę można od MFW waluty obcej (za walutę własną) w wysokości równej udziałowi.

Niezależnie od zakupów w ramach transz MFW stawia do dyspozycji swych członków tzw. ulatwienia finansowe będące formą dodatkowych kredytów. W tych przypadkach Fundusz zezwala na przekroczenie wspomnianego progu 200 proc., co sprawia, że możliwości kredytowe danego państwa wzrastają kilkakrotnie w stosunku do wielkości udziału. Niektóre z tych kredytów uwarunkowane są podobnie, jak pomoc w wyższych transzach kredytowych.

Pomoc MFW (poza transzami rezerwową) polega na otwarciu linii kredytu na określony czas. Normalnie okres otwarcia linii wynosi jeden rok, a niekiedy do trzech lat. Przeciętny okres spłaty kredytu wynosi od 3 do 5 lat od momentu dokonania zakupu waluty (niekiedy od 4 do 10 lat).

Przyznawanie kredytu wymaga zazwyczaj kilku miesięcy. Długość tego okresu zależy od przebiegu rokowań między MFW a władzami danego kraju.

Koszt kredytu MFW zależy od terminu spłaty oraz od transzy kredytowej, w ramach której udziela się pomocy. Waha się on w granicach od 4,5 do 8 proc. (a więc są to kredyty znacznie tańsze niż np. zaciągane na rynku eurowalutowym). Kredyt w ramach transzy rezerwowej wolny jest od oprocentowania.

Kredyt MFW ma istotne znaczenie dla pozycji danego państwa na rynkach kredytowych poza Funduszem. Kredyt taki stanowi bowiem świadectwo w miarę spójnych działań w celu poprawy sytuacji płatniczej państwa. Na wystawienie tego świadectwa czekała prywatne rynki kapitałowe, na których dane państwo uzyskuje zazwyczaj sumy kilkunastokrotnie wyższe od kredytu MFW.

Warunki ekonomiczne (np. redukcja deficytu wydatków publicznych, ograniczenia kredytów, dewaluacja waluty, reforma cen krajowych itd.) stawiane przez Fundusz były często przedmiotem krytyki, podobnie jak sama zasada proporcjonalności kredytu MFW do udziału finansowego. Trudno tu o szczegółową analizę zarzutów. Trzeba jednak wziąć pod uwagę fakt, iż czasami władze danego kraju, szczególnie gdy prowadzą mało udolną politykę gospodarczą, pożyczają pieniądze na rynkach prywatnych oraz w ramach umów dwustronnych unikając pewnego nadzoru ze strony organizacji międzynarodowej.

Dopiero gdy sytuacja gospodarcza staje się dramatyczna, a rynki prywatne zaczynają powątpiewać o wypłacalność dłużnika, kraj zwraca się do MFW o wysoki kredyt. Stawiane wówczas warunki uznaje się za drastyczne lub wręcz za ingerencję w sprawy wewnętrzne. Bywa też, że latwiej dać do przekroczenia krajowej opinii publicznej warunki stawiane przez Fundusz niż miałoby one być postawione przez rząd. Nie należałoby wszakże do rzadkości opinie (szczególnie wśród państw rozwijających się), że to właśnie trudne warunki ekonomiczne stawiane przez MFW zmuszają do zadłużania się na prywatnych rynkach kapitałowych.

Nie sposób przyznać rację jednej tylko z tych opinii. W każdej z nich kryje się ziarno prawdy. Nie ulega jednak wątpliwości, w niektórych krajach terminuje się nieco na wyrost takimś terminami jak dyktat czy rzućcie na kolana. Ostre debaty polityczne nad warunkami MFW toczyły się w ostatnich latach zarówno w Peru, Meksyku, Portugalii, Egipcie, Turcji i Tanzanii, jak i w Wielkiej Brytanii i we Włoszech.

Problem, jak się zdaje, polega nie tylko na uzyskaniu przez MFW pewnych możliwości wpływu na politykę gospodarczą państw ubiegających się o kredyt, lecz na ocenie stawianych warunków. Dotyczy to szczególnie krajów, gdzie radykalne reformy społeczne (szczególnie jeśli nie dość konsekwentnie realizowane) prowadzą do wyraźnego zachwiania gospodarczego. Pamiętamy też, iż większość zasobów finansowych Funduszu pochodzi z rozwiniętych państw kapitalistycznych i dlatego trudno się spodziewać, by finansował on chętnie i na większą skalę eksperymenty czy rewolucje społeczne o wyraźnym lewicowym charakterze. Dodajmy, iż zamieszanie gospodarcze przy takich okazjach stanowi zawsze dogodny pretekst dla odmowy kredytu.

I tu dochodzimy do warunków pozaekonomicznych polityki kredytowej MFW. Fundusz powinien brać pod uwagę (zgodnie ze swymi przepisami wewnętrznymi) jedynie względy ekonomiczne. W życiu jednak bywa różnie. Generalnie rzecz biorąc, praktyka MFW dowodzi raczej umiarkowanego posługiwania się kryteriami politycznymi, szczególnie jeśli pamiętać, że udział sił w dziedzinie gospodarczej przemawia na korzyść bogatych państw zachodnich, które dostarczają większość walut wymienialnych.

W rezultacie umocnienia pozycji gospodarczej niektórych europejskich państw kapitalistycznych oraz Japonii a także po gwałtownym wzroście liczby państw rozwijających się osłabia monopolistyczna pozycja USA charakterystyczna dla pierwszych lat powojennych. Osłabił również z czasem ostracyzm Funduszu wobec świata niekapitałistycznego. Nie zmienia to wymowy wcześniejszych twierdzeń dotyczących układu sił, wskazując jednak na kierunek ewolucji w polityce kredytowej MFW.

Poliska, Czechosłowacja i ZSRR uczestniczyły w rokowaniach w Bretton Woods w 1944 r. ZSRR nie ratyfikował później statutu MFW, natomiast Polska i Czechosłowacja nabyły członkostwo. Polska wystąpiła z Funduszu (i Banku) w 1950 r., Czechosłowacja zaś została wykluczona w 1954 r. W chwili obecnej jedyną poważniejszą grupą państw pozostającą poza Funduszem są kraje RWPG. Tylko dwa z nich są członkami MFW: Rumunia od 1972 r. oraz Wietnam od 1976 r. W latach 1973-80 Rumunia uzyskała z Funduszu kredyty na łączną sumę 559 milionów jednostek SDR.

Nie przesadzając o meritum, jedno wydaje się pewne: interesy i specyfika naszego kraju nie będą uwzględniane przez MFW tak długo, póki będziemy pozostawali poza nim. Polityka każdej organizacji międzynarodowej wynika bowiem zawsze z układu sił i interesów uczestniczących w niej państw.

Członkostwo Polski w MFW wydaje się interesujące ze względu na to, że w najbliższych latach potrzebować będziemy kredytów. Wprawdzie sumy do uzyskania w MFW nie pokrywają wszystkich naszych potrzeb, lecz są one dość szybko dostępne. Ponadto, kredyt Funduszu jest pozytywnym świadectwem dla innych naszych potencjalnych kredytodawców. W ten sposób powstaje możliwość dodatkowego zróżnicowania źródeł kredytowych. Pamiętajmy też, że kredyty MFW są stosunkowo nisko oprocentowane.

System społeczno-gospodarczy nie wydaje się przeszkodą w przynależności. Większość państw członkowskich MFW posiada walutę niewymienialną zewnątrz, a w skład organizacji wchodzi państwa o różnych ideologiach i ustrojach. Jest również mało prawdopodobne, by władze Funduszu wywierały nacisk na zmianę ustroju gospodarczego w Polsce (por. członkostwo Rumunii, Wietnamu czy Jugosławii).

Obowiązek ujawnienia statystyk gospodarczych, będący do niedawna pewną przeszkodą, zmienił się — jak się zdaje — swój charakter po ujawnieniu przez nasz rząd danych statystycznych zagranicznym bankierom udzielającym Polsce kredytów. Odnotujmy też, że w bieżącym roku wydawnictwo MFW („International Financial Statistics”) publikuje po raz pierwszy dane statystyczne dotyczące gospodarki Rumunii.

Warto się może zatem zastanowić analizując publicznie argumenty za i przeciw?

„EKONOMICZESKAJA GAZIETA”

DUCH HELSINEK W HANDLU WSCHÓD-ZACHÓD

Tygodnik KC KPZR „Ekonomicz-ska Gazieta” zamieścił w numerze 47 artykuł W. Julina i W. Gurewicz-a omawiający praktyczną realizację zasad „drugiego kozyka” helsińskiej KBWE. Autorzy artykułu przypominają, że handel międzynarodowy nie tylko służy zaspokajaniu materialnych interesów uczestniczących w nim krajów, ale stanowi ważny czynnik umacniania pokoju, spokoju, dobrych stosunków między państwami.

Jak wynika ze wspomnianej publikacji, obroty towarowe ZSRR z krajami Europy Zachodniej wzrosły z 11,5 mld rubli w 1975 roku do 19,3 mld w roku 1979 i nadal się zwiększają. W pierwszym półroczu br. handel Związku Radzieckiego z grupą państw osiągnął wartość 11,5 mld rubli, wobec 8,4 mld w analogicznym okresie zeszłego roku. Na liście najpoważniejszych partnerów czołowe pozycje zajmują RFN, Francja, Finlandia, Włochy, W. Brytania i Holandia.

Kontakty te przybrały w ostatnich latach charakter długofalowy, rozwinęła się kooperacja przemysłowa. Od czasu „szczytu” w Helsinkach ZSRR podpisał z krajami zachodnioeuropejskimi ponad 30 wieloletnich porozumień i programów współpracy gospodarczej. Dotyczy to Francji, Finlandii, RFN, Włoch, Szwajcarii, Unii Belgicko-Luksemburskiej, Grecji, Portugalii, Danii, Norwegii, Irlandii. W fazie przygotowań znajdują się tego typu umowy z Hiszpanią, Austrią i innymi krajami.

Równie w ostatnim okresie skala porozumień kompensacyjnych. Do końca lat siedemdziesiątych radzieckie organizacje zawarły z partnerami zachodnioeuropejskimi umowy przewidujące budowę na terenie ZSRR przeszło 60 dużych obiektów na zasadzie kompensaty. Wartość tego typu porozumień liczy się już w miliardach rubli, obejmują one, z reguły, okres przekraczający 10 lat, czasem sięgając nawet czterdziestu lat.

Autorzy omawianego artykułu podkreślają, że zamówienia Wschodu odgrywały niebagatelna rolę dla gospodarki Zachodu, a szczególnie w okresie dekonunktury. Cytują dane ekonomiczne zachodnich, z których wynika, że np. zamówienia radzieckie racenwiała pracę 350 tysiącom osób w Finlandii, a w ogóle kontakty Wschód-Zachód tworzą miejsca pracy blisko dwóm milionom robotników w rozwiniętych krajach kapitalistycznych.

W. Julin i W. Gurewicz podkreślają także korzyści czerpane przez kraje zachodnioeuropejskie z tytułu gwarancji zakupu paliw i surowców na zasadzie kompensacyjnej. I tak np. dostawy radzieckiego gazu pokrywają 20 proc. całości importu tego surowca przez kraje Za-

chodnie Europy. W całym minionym dziesięcioleciu kraje socjalistyczne wyeksportowały na Zachód 800 mln ton (w przeliczeniu na ropę) surowców energetycznych.

„Ekonomicz-ska Gazieta” dodaje, że efekty współpracy międzynarodowej — zarówno w sferze handlu, jak i w innych dziedzinach — mogłyby być znacznie większe, gdyby nie manewry przeciwników odcupienia. Tygodnik akcentuje zwłaszcza próby administracji amerykańskiej wykorzystywania handlu jako instrumentu nacisku politycznego i dodaje, że embargo na sprzedaż Związkowi Radzieckiemu zboża i innych towarów, jednostronne odstąpienie od wcześniej zawartych kontraktów — wszystko to pozostaje w jaskrawej sprzeczności z duchem i literą Aktu Końcowego z Helsinek. Decyzje te nie przyniosły zresztą rezultatów oczekiwanych przez ich autorów. Co więcej, w samych Stanach Zjednoczonych w kręgach biznesu utrwała się przekonanie, że tego typu kurs przynosi szkody przede wszystkim interesom USA. Jak pisze „New York Times”, „oficjalni przedstawiciele RFN i Francji dali jasno do zrozumienia, że nie są zbyt wysokiego mniemania o sankcjach handlowych jako narzędzie polityki zagranicznej”. Według tegoż „New York Timesa”, przedstawiciele zachodnioeuropejskich kół interesu stwierdzili, że nie mogą jednego dnia handlować, a drugiego nie handlować ze Wschodem, bo nie jest to kran, który można raz otwierać, raz zamykać.

O tym, że Waszyngtonowi nie udało się narzucić swym sojusznikom własnych koncepcji świadczą dane o wymianie towarowej ZSRR z rozwiniętymi krajami kapitalistycznymi za pierwsze półrocze br. Jeśli obroty radziecko-amerykańskie były w tym czasie o 230 mln rubli mniejsze niż w analogicznym okresie poprzedniego roku, to wymiana z krajami Zachodniej Europy wzrosła odpowiednio o 3134 mln rubli. Fakty świadczą o tym, że także w Kanadzie rośnie negatywny stosunek do amerykańskiej polityki sankcji handlowych. Decyzja o zniesieniu embargo na sprzedaż zboża Związkowi Radzieckiemu i gotowość do znacznego zwiększenia dostaw jest tego najlepszym przykładem.

Jak pisał w zakończeniu swego artykułu „Ekonomicz-ska Gazieta”, ZSRR i inne kraje socjalistyczne uważają za sprawę o pierwszorzędny znaczenia eliminowanie wszelkich sztucznych barier na drodze wszechstronnej współpracy gospodarczej, zaś KPZR i rząd radziecki konsekwentnie dąży do tego, aby odprężenie odczastowało dominującą tendencją rozwoju stosunków międzynarodowych.

L

GAZ ZA RURY

Agencja DPA zamieściła materiał dokumentacyjny omawiający dotychczasowe wielkie transakcje między RFN a ZSRR. Oto jego treść.

Planowana transakcja niemiecko-radziecka — gaz ziemny w zamian za rury — która ma być finansowana z kredytu udzielonego przez banki niemieckie w wysokości dziesięciu miliardów marek — będzie wprawdzie, jeśli dojdzie do skutku, największą transakcją kredytową banków niemieckich ze Związkiem Radzieckim, ale nie będzie pierwszym wielkim projektem tego rodzaju.

Już w 1970 r. Mannesmann Export GmbH oraz Ruhrhag AG zawarły ze Związkiem Radzieckim umowę na dostawę około 1,2 mln ton rur wielkiej średnicy, o ogólnej długości 2000 km, które miały być spłacone radzieckimi dostawami 52 mld metrów sześciennych gazu ziemnego począwszy od października 1973 r. Drugie porozumienie o dostawach rur w zamian za gaz podpisano w 1972 r. Przewidywało ono dostawę 1,2 mln ton rur o wielkiej średnicy przez firmy Mannesmann-Thyssen za dostawy gazu w ilości 4 mld metrów sześć. rocznie na okres 20 lat począwszy od 1979 r. Trzecie porozumienie pochodzi z 1974 r. Jego rozmiary: 950 000 ton rur o wielkiej średnicy dostarczanych przez firmy Mannesmann-Thyssen w zamian za dostawy 2,5 mld metrów sześć. rocznie od 1 stycznia 1978 r. do 2000 r.

Po zawarciu tych trzech transakcji dostawy radzieckiego gazu ziemnego do Republiki Federalnej wyniosą ogółem do 2000 r. około 200 mld metrów sześć. W roku 1979 Republika Federalna zużyła 62 mld metrów sześć. gazu ziemnego, 34,2 proc. (21,2 mld metrów sześć.) zdołała pokryć z własnych źródeł. Około 23,2 mld metrów sześć. (37,4 proc.) spro-wadzono z Holandii, 10 mld metrów sześć. (16,1 proc.) ze Związku Radzieckiego, a 7,5 mld metrów sześć. (12,1 proc.) z Norwegii.

Jeśli chodzi o nowy projekt dysktutowany od pewnego czasu, zakładający dostawę 40 mld metrów sześć. gazu częściowo do Republiki Federalnej (12 mld), częściowo do innych krajów zachodnioeuropejskich.

Republika Federalna przekształciła się w ciągu ostatnich lat w największego partnera handlowego Związku Radzieckiego na Zachodzie. Obroty handlowe między obu krajami osiągnęły w roku ubiegłym wartość 14,02 mld marek. Miały w tym swój udział realizowane wielkie projekty niemiecko-radzieckie. Od końca 1974 r. firmy niemieckie — poza transakcjami na dostawy rur — otrzymały m.in. następujące wielkie zamówienia radzieckie o wartości przeszło 100 mln marek: Konsorcjum Demag, Korf Stahl, Krupp, Salzgitter i Siemens: huta koło Kurska, wartość zamówienia około 3 mld marek.

Kloekner, Humboldt-Deutz: dostawy 9000 samochodów ciężarowych na sumę 1,04 mld marek.

AEG i Mannesmann: 17 stacji kompresorowych napędzanych turbinami gazowymi na sumę 1,5 mld marek.

Reinsthal: dostawy dwóch automatycznych kuzni na sumę 170 mln marek.

Linde AG: zakłady produkcji etylenu na sumę 250 mln marek.

Schoen und Cie — fabryka maszyn obuwicznych: urządzenie dla 54 fabryk obuwia na sumę 100 mln marek.

Salzgitter: zakłady produkcji tlenku etylenu na 200 mln marek i kompleksu zakładów chemicznych wartości 174 mln marek.

Blohm i Voss: zakłady konstrukcji stalowych do poszukiwań ropy naftowej wartości 100 mln marek.

Salzgitter i Berlin-Consult: lotnisko w Moskwie wartości 250 mln marek.

Krupp: stalownia na sumę 250 mln marek oraz fabryka chemiczna wartości 250 mln marek.

JAK WYZYSKIWAĆ RODAKÓW?

JERZY SURDYKOWSKI

JAK napisałem w poprzednim odcinku, australijskie bezrobocie (a zapewne i bezrobocie w wielu innych wysoko rozwiniętych krajach Zachodu) ma dwie twarze: oficjalną i pokątną, zaś los człowieka bez pracy dla wielu nie jest bynajmniej nieszczęściem, lecz świadomym wyborem. Stąd — mimo alarmujących statystyk bezrobocia — chętny do podjęcia jakiegokolwiek pracy przybysz nie stoi na straconej pozycji, musi jednak zwykle również szukać drogi... pokątnej.

Rozpuszczam więc poprzecz moich mieszkających w Melbourne polskich przyjaciół „wici”, iż poszukując zarobkowego zajęcia na parę tygodni i proszę kogoś się dać o pomoc w tym względzie. I oto znowu otwiera się przede mną rzeczywistość tutejszego życia gospodarczego zupełnie inna niż ta z roczników statystycznych, oficjalnych opracowań, a nawet z relacji reporterów. Przecież kraj rozwinięty gospodarki, jedno z najbogatszych państw świata, powinno być enklawą dużych, dobrze zorganizowanych firm, wielkiego przemysłu, tamśowej produkcji; tak sobie przecież rozwinięty kapitalizm wyobrażamy i taki on na pewno jest w istocie — święta prawda! Ale prócz tej oficjalnej, niejako fasadowej ekonomiki, prócz tego głównego, na pewno dominującego, nurtu gospodarki, płynie nurt inny, o wiele mniej oficjalny, czasem aż pokątny, bez wątpienia słabszy i węższy, ale nie mniej niż ten pierwszy ciekawy, na pewno zaś bardziej zmienny, meandrujący, burliwy. Ów nurt to mowa drobnych firm i „interesów”, nieprzeliczona ilość półprzemysłowych zakładów, gdzie się coś klei i wytwarza, rzęsa producentów otylujących nie tylko poza nurtem wielkoprzemysłowej techniki, ale też poza regułami wielkoprzemysłowej gospodarki, najczęściej też i poza prawem. Nie znaczy, że są to wszystkie firmy nielegalne i nigdzie nie rejestrowane, choć zapewne jest wiele i takich. Zazwyczaj rejestruje się „to-to” jako przedsiębiorstwo lub warsztat rodzinny (ulubione w tych sferach określenie: „family business”), albo też jeszcze dumnie jako „kompania”, w której, na przykład, ojciec jest dyrektorem, matka sekretarką, syn kierownikiem, a szwagier agentem sprzedaży. Robotnikami są natomiast zazwyczaj ludzie nigdzie nie rejestrowani, „luźni”, najczęściej właśnie nielegalni emigranci lub chociaż dorywczo zarobić przybyłe z turystyczną wizą. Rejestrowana jako jedno-, dwuosobowy warsztat „kompania” w sprzyjających warunkach może rozwinąć z dnia na dzień produkcję na szeroką skalę, zatrudniając nawet kilkudziesięciu znajdujących się poza wszelką statystyką ludzi w doraznym wynajętym lokalu; równie szybko jest w stanie tę produkcję zwinąć lub przenieść do innej dzielnicy, bowiem zatrudnieni tu ludzie nie są objęci jakimkolwiek prawem pracy, w każdej chwili można ich z dnia na dzień przyjąć i z dnia na dzień wyrzucić, a niechby spróbowali poskarżyć się policji — grozi im deportacja za naruszenie zakazu pracy, a nierzadko i pobytu. Jest to oczywiście produkcja nie mająca wiele wspólnego z nowoczesną techniką, oparta na ręcznej pracy i długim dniu roboczym, ale właśnie przez to tania i konkurencyjna w stosunku do większych i nowoczesnych wyposażonych zakładów, skrepowanych jednakże tymi wszystkimi — jakże uciążliwymi dla chcącego dobrze zarobić człowieka — przepisami prawa pracy i tymi... jakże im tam, zdobywcami socjalnymi robotników. Tak rozpoczęła się moja wycieczka w wiek XIX w trzeciej ćwiartce XX wieku, w samym sercu oświeconego i zmodernizowanego kapitalizmu.

Chodzę więc po różnych podwórkach i bynajmniej nie reprezentacyjnych budynkach na coraz to innym melbournskim przedmieściu i zagaduję polskich, włoskich, jugosłowiańskich albo i greckich pryncypałów o robotę. Gdzieś daleko została rzeczywistość przeszklonych wieżowców w City, budzących zaufanie reklam, a nawet języka angielskiego, bowiem ów półlegalny, lecz rozwinięty nieczysty sieć pajęczak, jest domeną „nowoaustralijczyków”, wszelakiej maści emigrantów zasiedlających tu najwyżej od pokolenia, którzy sprawnych rąk i pokornych głów do roboty też szukają zazwyczaj wśród późniejszego przybyłych i gorzej uzbrojonych rodaków. 40 proc. dzisiejszych mieszkańców Australii — a w trzech największych miastach aż połowa — osiedliło się tutaj po wojnie, a co trzeci jest niebrytyjskiego pochodzenia. W samym 2,5-milionowym Melbourne mieszka w zwartych na ogół społecznościach 250 tys. rodowitych Greków. Stąd po Atenach i Salonikach jest to trzecie co do wielkości ich miejskie skupisko w świecie. Niewiele niżej cenią się liczba Włochów, zaś Polaków osiadłych tu po wojnie jest coś ponad 30 tysięcy — też dość, by wytworzyć sporą sieć polskich firm, przedsiębiorstw i innych „byznosów”. Warsztat wytwarzający ramy okienne mieści się w głębokim podwórzu wśród jakichś parterowych, tandetnych zabudowań; przy paru ustawionych w szerebie nowoczesnych maszynach kręci się kilkunastu młodych mężczyzn. Właściciel — miejscowy Polak — przyjął właśnie do roboty paru przybyłych ze Starego Kraju turystów, w tym ekonomistę, inżyniera i trzech „studentów”, teraz będą przez 10 godzin dziennie uwić się przy elektrycznych pilach i strugarkach; paszporty ważne rok, więc można przedłużyć do pół roku, a jak dobrze pójdzie i dłużej — dla „odwiedzin rodziny” oczywiście. Musi się przecież to wszystko opłacić właścicielowi i t.m. Kielbasy z kolei wytwarzane są w podobnym podwórku, w warunkach, które rozjuszyłyby nawet najbardziej liberalny „sanepid”; rządzi tu z kolei imponujący tusz Włoch, zatrudniający emigrantów skąd popadnie. Wędliny są oczywiście „original hungarian” lub nawet „polish”, bo takie akurat dobrze — idą w zaprzyjaźnionych sklepach, gdzie zięć pryncypała dostawca je po cenach konkurencyjnych w stosunku do miejskiej rzeźni.

Niedawno jedno z lokalnych pism społeczności greckiej, ukazujących się w Australii, podniosło alarm, że corocznie 6 tysięcy emigrantów z Grecji, przybywających rzekomo dla odwiedzenia rodziny lub w celach turystycznych podejmuje tu nielegalnie pracę — głównie w firmach prowadzonych przez swoich rodaków — i zostaje w Australii na dłużej, niektórzy na zawsze, nie posiadając prawa pracy i pobytu, nie będąc członkami związków zawodowych, nie korzystając z jakiegokolwiek ochrony prawa i zdobywców socjalnych. Pismo apelowało do władz australijskich o zdecydowane działanie nie tyle jednak w obronie wyzyskiwanych krajanów, ile w obronie legalnie tu mieszkających Greków — obywateli australijskich zagrożonych konkurencją mniej wymagających i gorzej płatnych przybyszów. Jakiegokolwiek działanie nie było jednak łatwe w kraju, gdzie wprowadzić obowiązująco mnóstwo najróżniejszych przepisów i kwitnie dość rozbudowana biurokracja państwowa, ale nie istnieją dowody osobiste i nader trudno sprawdzić czyjąkolwiek tożsamość.

Odpowiedz sporą fabryczkę zajmującą się drukowaniem na tkaninach lub koszulkach modnych ostat-

nio wzorów i napisów. Właściciel — Polak — przeprowadził się niedawno do nowej, większej hali i rekrutuje „zalogę” wyłącznie spośród rodaków nie posiadających prawa pracy i zamierzających wrócić do kraju. Wie, co robi: praca jest wyjątkowo ciężka i tylko niskie stawki płac uczynią tę produkcję konkurencyjną w stosunku do wielkoprzemysłowej. Płaci 3 dolary za efektywnie przepracowaną godzinę; że mało — „to nie pamiętasz pan, ile płać dziś za dolara pod »Peweksem«?” Zresztą pracy jest dużo, przy długich godzinach już kilkunastu mężczyzn nakłada farbę i wyciska ją przez wielkie siatkowe ekrany z naniesionym wzorem. Szef oferuje robotę po kilkanaście godzin na dobę, także w święta i piątek, moda szybko przemija, trzeba chwytac okazję: „Jeśli porobisz pan u mnie tylko 10 godzin dziennie przez 7 dni w tygodniu, to przez 4 miesiące masz pan zarobione na »Poloneza. No nie?»

— A nadgodziny?

— Jakże nadgodziny? Za każdą uccziwie przepracowaną godzinę płacę trzy uccziwe dolary!

Szef firmy już z niedługo pieca chleb jadł: trzy razy bankrutował i za każdym razem spadał na cztery łapy. Bo bankrutować — jeśli mądrze i w porę przeprowadzone — też może być niezłym interesem. „Technologia” opalcznego bankrutwa wygląda mniej więcej tak: otwiera się firmę jako „kompanię”, w której na oficjalnie istniejących i zarejestrowanych stanowiskach zatrudnia się rodzinę lub wypróbowanych przyjaciół. Bierze się kredyt z banku i w szybkim tempie (przydają się tu nielegalni robotnicy) rozkręca się ów interes, placąc jednak terminowo wszystkie rachunki, aby w pierwszym okresie zyskać zaufanie dostawców i kooperantów. Ponieważ obowiązujący tu termin płatności wynosi 30 dni od daty dostarczenia rachunku (dostawę otrzymuje się jeszcze wcześniej), mamy trochę czasu, aby w sprzyjającym momencie pobrać jak najwięcej gotówki z banku, sprzedać szybko i równie za gotówkę całą produkcję, wszystkie pobrane od dostawców materiały, a nawet maszyny i wtedy ogłosić upadłość. Przedtem jeszcze należy do maksimum wywindować pensje wszystkich zatrudnionych w firmie członków rodziny: co przed upadłością spieniężyles, to twoje! Trzeba się liczyć, że bank i urząd podatkowy dobiorą się do majątku osobistego właściciela lub fikcyjnego „dyrektora”, ale od czegoś odrobina pomysłowości w tym względzie. Natomiast oszukani dostawcy — zwykle właściciele podobnych niewielkich firm lub hurtowni — mają zabezpieczenie tylko w majątku upadającej „kompanii”, a ten w momencie upadłości praktycznie nie istnieje. Jeżeli za kilka tygodni ten sam dzentelmen w tym samym lokalu (lokal i maszyny da się fikcyjnie odkupić na licytacji od samego siebie przez żonę lub podstawionego człowieka) otworzy podobną działalność pod nowym szyldem, to nie można mu nic zrobić — najwyżej, dać po pysku. Zwykle jednak otwiera się nową firmę poprzez innego członka rodziny, aby ominąć kłopoty z uzyskaniem nowego kredytu w banku. Tak toczy się przemysłowy półświat.

Nie zostaje jednak zatrudniony w świecie drukowanych szmat; kiedy przychodzi po paru dniach wahania, miejsca są już zajęte, okazję wykorzystali, lepiej znający życie, dwaj warzawscy takśowiarkarze, w ten sposób przyspieszający zdobycie własnego warsztatu pracy na czterech kołach. Przyjmuje mnie w końcu na pomagiera nie rejestrowany nigdzie polski elektryk, który kiedyś miał nawet własną firmę, ale teraz — aby nie płacić podatków — współdziała na zasadzie fuchy, najczęściej przy przybudówkach i dobudówkach, bo „teraz kryzys i ludzie się nie budują jak kiedyś”. Mój pryncypał, który — jak większość zamieszkałych tu Polaków — osiedlił się w Australii kilka lat po wojnie jako zdemobilizowany żołnierz, doszedł już przez dwadzieścia kilka lat ciężkiej pracy do skromnego domku i konta w banku. Samochodu nie kupił, dzieci nie ma, a że już późno strzyka go w krzyżu, więc nie musi gonić za robotą i stąd też zafundował sobie pomocnika za 2,5 dolara od godziny.

Już w pierwszym domku, gdzie zakładamy instalację w dobudowanych dwu pokojach, okazuje się, o co naprawdę chodzi. Otóż tutejsze domki, w jakich mieszkają prawie wszyscy mieszkańcy australijskich miast, budowane są dość tandetnie, bez podpiwniczenia, na szkielecie z połączonych w eukaliptusowego drewna z zewnątrz obitego deskami lub — w nowszych dzielnicach — imitującą deski plastikową płytą. Wewnątrz całość wyklada się cienkimi gipsowymi płytami nie wymagającymi tynkowania — tak zwanym

„plastrem”. Rządziej zewnętrzna ściankę tworzy cienki ceglany mur, ale wtedy także wewnątrz mamy eukaliptusowy szkielec i „plaster”; podobnie zbudowane są różnego rodzaju warsztaty, biura, nawet mniejsze hale fabryczne. Lekka i tania konstrukcja uszczelniona jest lagodnym klimatem i twardym skalisto-gliniastym gruntem, w który po prostu wbija się eukaliptusowe pale, zamiast zakładać kosztowne fundamenty. Cała instalacja elektryczna mieści się jednak nie — jak u nas — w tynku, lecz pod podłogą uniesioną na owych palach kilkadziesiąt centymetrów ponad gruntem. Tymczasem właśnie nie wykorzystane i osłonięte ze wszystkich stron przyziemia budynków są ulubionym siedliskiem małych jadowitych pajęczaków, tzw. „red back”; ukąszenie nie zabija dorosłego człowieka, ale kilka dni bólu i gorączki zapewni. Stąd więc mój elektryk wziął sobie taniego pracownika nie tylko dlatego, by użyć statygowanym kłociom, nadwierzonym przez tyle lat wlekania się w ciasne, a wilgotne zakamarki. Po pierwszym bliskim spotkaniu z jadowitymi bestiami wycofuję się jednak z interesu. — Co się przejmujesz — pociesza mnie tutejsi. — Taka jest Australia. Trzeba tylko zawsze używać rękawic, unikać spróchniałych desek i dobrze rozglądać się wokół.

Mam szczęście, że skończyło się tylko na spotkaniu, a nie pokąsaniu. Seria zastrzyków i wizyty u lekarza kosztowałyby najmniej kilkadziesiąt dolarów, a — jak wszyscy nielegalnie zatrudnieni — nie jestem oczywiście ubezpieczony.

Ładuję wreszcie w szmatach, u innego wprawdzie pryncypała, a także za 3 dolary; miejscowemu robotnikowi, członkowi związku zawodowego, trzeba zapłacić 5 do 6 dolarów za godzinę i jeszcze będzie strajkował. Nowy szef nie jest aż w tak gorącej wodzie kąpany jak poprzedni „szmaciarz” i nie rozwinał też interesu na tak wielką jak kolega skalę. Wraz z żoną, synem i synową tworzą etatową, oficjalną personel „kompanii” mieszczącej się na odległym przedmieściu między warsztatem naprawy samochodów a torem wyścigów konnych. Szef ma większą zresztą smykalkę do techniki niż handlu, znajdował nawet maszynę automatyzującą częściowo proces sitodruku, lecz na dokończenie i ulepszenie konstrukcji nie starczyło już środków, a zapewne i chęci, bo rodak, a w ostateczności jakiś Grek, o ilez będzie tańszy. Maszyna stoi więc zazwyczaj bezczynna, czasem tylko pracuje na niej syn szefa (oficjalnie „sekretnarz kompanii”), a my najmieli trzydzielatorni machamy po ekranach obciążonymi korytkami, zwanymi „squeeze”, aż się kolor zmienia w kolorystyce i smaty wędrują do elektrycznej suszarki. Praca lekka, spokojna, tylko trochę brudna, wieczory i niedziele wolne.

Do pracy trzeba jednak dojechać, a w Australii nie istnieją ulgowe bilety pracownicze, nawet dla tych legalnych i oficjalnych. Przejazd kolejką elektryczną do City kosztuje w godzinach szczytu całego dolara; do dzielnicy, w której mieszkam, trzeba jeszcze dodatkowo jechać autobusem i wychodzi trzy dwadzieścia w obie strony. Jak jest strajk kolejarzy, (a lubią oni strajkować), to nie docieramy do pracy i dniówka przepada. Porządny Australijczyk jeździ zawsze samochodem. — Co się martwisz — pociesza mnie młody inżynier-elektronik z Warszawy, który również zatrudnił się tu dorywczo wraz z sympatyczną małżonką. — Masz u przyjaciół żarcie i spanie za darmo, a my za po prostu płacimy 30 dolarów tygodniowo i to jeszcze po znajomości. Razem ze skromnym jedzeniem, przejazdami i podstawowymi wydatkami, wylatuje nam, dwojgu tygodniowo z kieszeni więcej niż słowa — żali się. — Tutejsza rodzina uważa, że i tak zrobiła wielką łaskę dając nam zaproszenie. W kraju za to mają nas za szczęściarzy. A tu okazuje się, że na samochodzie trzeba w tych warunkach zapieprzać ponad pół roku we dwójkę.

Jego żona chyba już usunęła z trzeciego roku polonistykę, przedłużyła sobie zagraniczne wakacje. Więc chyba nie będą zapieprzać, tylko zarabiają jeszcze parę groszy i podjadą autobusem „Greyhounda” zwiedzać Australię, a potem szybko do domu. A może jednak zawładną się, znaleźć miejsce u innego szmaciarza, gdzie robota leci po 10 godzin i 7 dni, albo w wytwórni siatek ogrodzeniowych? — Co radzisz, straty? — Doradzam „Greyhounda” i cele poznawcze, bo sam zarabiam na bilecie lotniczym, który poprzez Nową Zelandię i wyspy Pacyfiku ma mnie przenieść do Ameryki. — A ja mam gdzieś te wasze wycieczki, musimy wpłacić na mieszkanie w „Locum”. — Nie będziemy czekać 12 lat w spółdzielni!

Bierzemy się do roboty. Z radia wyspiewuje reklamowy chórek: „Bądź Australijczykiem, kup samochód Holden’a”. Potem nie wyspiewuje już nic, bo zagusza go wentylator suszarki. Przyjeżdża synowa szefa po nową partię towaru do sprzedaży i piekl się, że jeszcze mokre. Inżynier mruczy, że właściciel mogliby nie płacić tych 30 dolarów za pokój, tylko 20 za kąt z wykładką, gdzie można całkiem dobrze wyspać się w śpiworze. O wyzysku nie mówimy; Dickensa nikt nie czytał, a zresztą nie wypada, tutaj przecież jest strefa dolarowa i wiek XX wysoko rozwinięty,

z krajów socjalistycznych

CZECHOSŁOWACKIE ROLNICTWO

W dobiegającej końca pięcioletce wzrost globalnej produkcji rolnej w CSRS wyniósł 7,7 proc. w porównaniu z poprzednią 5-letką (w tym produkcji roślinnej — 5,4 proc., zaś produkcji zwierzęcej — 9,6 proc.). Przeciętne roczne zbiory zbóż będą wyższe o 10,9 proc. niż w poprzedniej 5-letce. Stosunkowo duży wzrost: produkcji zwierzęcej osiągnięto dzięki interwencyjnemu importowi koncentratów pasz, do którego CSRS zmuszona była przystąpić w ubiegłym roku. Zadania 5-letki przewidujące wzrost produkcji rolnej o 14—15 proc. nie zostały wykonane, a przyczyną tego nie były wyłącznie złe warunki atmosferyczne, lecz także mankamenty w zarządzaniu oraz zbyt małe wykorzystanie rezerw i możliwości wielokrotowej produkcji rolnej. Mimo to rezultaty osiągnięte przez rolnictwo czzechosłowackie umożliwiły wzrost spożycia artykułów rolnych. W 5-letce roczne spożycie mięsa na jednego mieszkańca wyniosło 88 kg, a mleka i jego przetworów 230 kg. Notuje się korzystne zmiany w spożyciu mąki i jej przetworów oraz tłuszczów. Dla dalszej poprawy wyżywienia niezbędna będzie konsekwentna intensyfikacja rolnictwa i przemysłu spożywczego. Zamierza się zwłaszcza zwiększyć chów bydła, aby otrzymywać więcej mleka i żywności wołowej, a także wysokiej jakości nawóz naturalny. W produkcji roślinnej będzie się dążyć do stworzenia terytorialnych jednostek specjalizujących się w jednym lub najwyżej dwu rodzajach upraw.

ZACHODNIE LICENCJE

Od 1971 roku europejskie kraje socjalistyczne zakupiły około 2 tysięcy licencji w krajach kapitalistycznych. Wydano na to prawie pięć miliardów dolarów, a suma towarzyszących zakupów sprzętu i podzespołów była wielokrotnie wyższa. Największym importem był Związek Radziecki (na drugim miejscu — Polska

w pierwszej połowie lat siedemdziesiątych) i Czechosłowacja. Dla wszystkich importerów z RWPG połowa lat siedemdziesiątych była wyraźną barierą: po 1975 roku wartość zakupów wyraźnie spadła lub uległa zahamowaniu. Obecnie roczne wydatki ocenia się w sumie na pół miliarda dolarów, co wynosi mniej więcej 1/10 światowych zakupów.

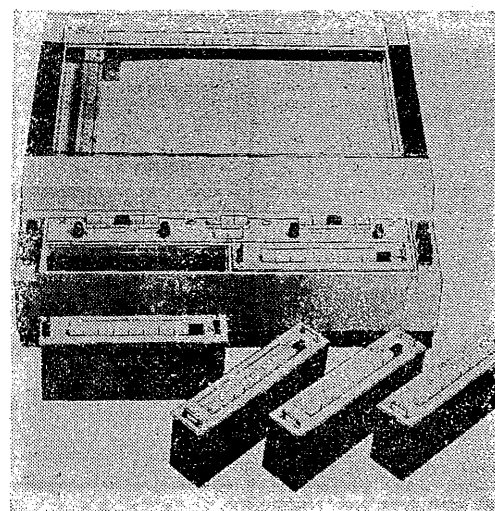
WĘGERSKIE AUTOBUSY

Węgry zajmują czwarte miejsce w świecie w produkcji autobusów. a pierwsze — przegubowców. Dostarczane są one do kilkudziesięciu krajów świata, tylko w ZSRR eksploatowanych jest 50 tys. węgierskich autobusów. Zakłady „Ikarus” w Budapeszcie stale rozszerzają produkcję. W obecnej pięcioletce z linii produkcyjnej zeszło ponad 60 tys. autobusów — o 50 proc. więcej niż w poprzednim pięcioletcu. W najbliższych latach w „Ikarusie” produkować się będzie przede wszystkim miejskie autobusy przegubowe 18-metrowe, bardzo ekonomiczne w eksploatacji, a także komfortowe autobusy dalekobieżne i mikrobusy o długości 6,5 metra z 24 miejscami. Te ostatnie powstały w kooperacji z przemysłem czzechosłowackim.

CENTRUM BAŃNEOLOGICZNE W SOFII

W zachodniej części Sofii od 120 lat wykorzystywane jest źródło mineralne „Barania Kapiel”. Państwowy Komitet Turystyki w Bułgarii opracował ostatnio program przewidujący przekształcenie „Baraniej Kapieli” w centrum turystyki leczniczej. Bierze się tu pod uwagę lecznicze właściwości wody, ale także walory klimatyczne tego regionu. W najbliższych latach powstanie tu wielki kompleks bańneologiczny, gdzie znajdzie się dział leczniczo-diagnostyczny, baza fizykoterapii i rehabilitacji itd. Jednocześnie centrum będzie przyjmować 1000 pacjentów, a poliklinika będzie mogła obsłużyć 1500 osób dziennie.

Przyrząd rejestrujący N306



przeznaczony jest do rejestracji sygnałów elektrycznych napięć prądu stałego lub sinusoidalnie zmiennego w zakresie częstotliwości od 45 do 2000 Hz i jednej wielkości w funkcji częstotliwości lub czasu.

CHARAKTERYSTYKA TECHNICZNA

- wymiary roboczego pola zapisu 20x30 cm
- maksymalna szybkość przesuwu urządzenia rejestrującego — nie mniejsza niż 75 cm/s
- stała czasowa rejestracji — nie większa niż 0,05 s
- wartość podstawy czasu: 0,25; 0,5...do 50 s/cm
- wymiary 440x475x175 cm
- masa 15 kg

Błąd podstawy czasu nie przekracza 1,5 proc. przy wartościach podstawy 25 i 50 s/cm i 0,5 proc. przy pozostałych wartościach.



MASHPRIBORINTORG

EKSPORTER:

ZSRR, Moskwa 121200, Smolenskaja-Siennaja 32/34
Telefon: 244-27-70; Telex: 411235 MPI SU 411236 MPI SU

1-23

Konkurs ministra finansów

Konkurs obejmuje prace doktorskie z zakresu finansów, napisane w języku polskim i obronione na wyższych uczelniach i w instytutach PAN oraz resortowych instytutach naukowo-badawczych w latach 1978—1980, ze szczególnym uwzględnieniem tematyki:

- ogólnej teorii finansów,
- obrotu pieniężnego i kredytu,
- budżetu i podatków,
- finansów przedsiębiorstw i organizacji gospodarczych,
- ubezpieczeń majątkowych i osobowych,
- historii finansów Polski Ludowej.

Prace na konkurs mogą zgłaszać działkani wydziałów (dyrektoriów instytutów) szkół wyższych oraz dyrektorzy instytutów PAN i resortowych instytutów naukowo-badawczych.

Nagrody przyznaje minister finansów na wniosek sądu konkursowego. Są one następujące: 1 nagroda I stopnia — 20 000 zł; 2 nagrody II stopnia — po 10 000 zł; 3 nagrody III stopnia — po 5000 zł. W przypadku nieprzyznania nagrody wyższego stopnia, sąd konkursowy może wystąpić z wnioskiem o zwiększenie liczby nagród niższego stopnia.

Zgłoszenia na konkurs powinny być składane w terminie do dnia 31 stycznia 1981 r. na adres: Instytut Finansów, 00-916 Warszawa, ul. Świętokrzyska 12. Do zgłoszenia należy dołączyć jeden egzemplarz pracy doktorskiej oraz recenzję opracowaną w ramach przewodu doktorskiego.

Wyniki konkursu będą ogłoszone w „Życiu Gospodarczym” i w „Finansach”.

W ostatnim numerze „Polityki” ukazały się trzy materiały mające pokazać pracę byłego zespołu doradców byłego I sekretarza KC PZPR. Są to fragmenty raportów oraz wywiady z prof. A. Rajkiewiczem i prof. P. Bożykiem. Można przypuszczać, że celem tych publikacji jest swista rehabilitacja zespołu doradców. Sprawiedliwsze rozdzielenie odpowiedzialności na tych, którzy doradzali i na tych, którzy tych rad słuchali — czy raczej, jak wynika z opublikowanych wypowiedzi — nie słuchali. Cel humanitarny, ale przy okazji nasuwa się kilka refleksji.

Pierwsza — to że przy okazji uchylono rąbką tajemnicy otaczającej mechanizm sprawowania władzy w ostatnich latach. Jest to istotna nauka na przyszłość. Ten mechanizm stworzyli oczywiście określone ludzie, ale później oni sami znaleźli się w jego trybach i nie potrafili się z nich wyzwolić. Niekiedy zresztą — być może nie chcieli, nie mieli dość wyobraźni, by przewidzieć, czym się musi takie działanie skończyć, również dla nich osobiście.

Druga refleksja dotyczy roli ekspertów w naszym systemie. Daleki jestem od poglądu, że ekspertów trzeba zawsze słuchać, że zawsze mają oni rację. Bliżej mi być nawet wyrażone kiedyś przez francuskiego meczu stanu przekonanie, że nie ma gorszej rzeczy niż powierzenie rozwoju jakiejś dziedziny wyłącznie fachowcom w tej właśnie dziedzinie. Z reguły bowiem wtedy interesy tej dziedziny biorą górę nad ogólnym celem, jakiemu ma służyć jej rozwój. Ale nie znaczy to, że głos fachowców można ignorować, że „wyczuć polityczne” może zastąpić konkretną wiedzę. Co więc zrobić, żeby nie powtórzyła się niedawna sytuacja, kiedy politycy nawet żądali ekspertów, ale się zupełnie z ich treścią i wypływającymi z niej wnioskami nie liczyli? Wydaje się, że jest na to tylko jedna rada — większa jawność. Poddanie ekspertów ogólnemu osądowi. Tylko bowiem w szerokiej dyskusji mogą się ujawnić ewentualne słabości ocen i raportów, przewaga wąskiego spojrzenia nad sprawami ogólnymi. Z drugiej zaś strony ekspertyza ujawniona publicznie o wiele bardziej zobowiązuje polityków i — jeżeli nie chcą jej uwzględnić w konkretnym działaniu — zmusza do przedstawienia kontrargumentów.

Jest to może propozycja utopiina, bo przecież ekspertyzy i eksperci są na ogół powoływani po to, by ułatwiać, a nie utrudniać życie decydentom — ale w naszych warunkach nikt, kto pełni funkcje publiczne nie ma i nie będzie miał w najbliższym czasie lekkiego chleba.

Lektura omawianych materiałów nasuwa jeszcze jeden wniosek. Z osobistych doświadczeń wiem, jak ciężko było uzyskać szereg danych o gospodarce w ostatnich latach. Z tego przecież powodu musiało zniknąć z lamów „Życia Gospodarczego” comiesięczne dawniej omówienie koniunktury krajowej. Był to swisty paradoks — publikowaliśmy znacznie więcej danych o sytuacji ekonomicznej na świecie niż o sytuacji w Polsce. Niestety, z roku na rok coraz więcej materiałów statystycznych opatrywanych było nadrukiem „poufne” czy „wyłącznie do użytku służbowego”, a niektóre z nich w ogóle przestały się ukazywać. Nie sądziłem jednak, że szef doradców i sekretarz KC PZPR też musieli uzyskać dane w sposób nielegalny, po znajomości i z obawą, że narazi informatora na szkodę czy przykrość. Było to zjawisko przerażające, bo przecież w ten sposób ocinano od obiektywnej w miarę oceny sytuacji kierownictwo kraju, zachowyując monopol na informację w rękę paru załadowców. Podejrzewam zresztą, że tych parę osób również zbyt wiele uwagi do dostępnych im informacji nie przywiązywało.

Ktoś niedawno określił stan istniejący w naszej gospodarce — i nie tylko w gospodarce — jako „kryzys myślenia”. Wydaje mi się, że określenie bardzo trafne. Aby jednak móc prawidłowo ocenić sytuację i wyciągać z niej właściwe wnioski — potrzebna jest przede wszystkim informacja i umiejętności korzystania z niej. Ludzie, którzy sprawują funkcje publiczne, pozwalają odciać się od informacji, są podobni do piekarza, który chce piec chleb nie mając maki.

Przy okazji tych refleksji chce także upieć swój bochenek. Zakazy dotyczące dostępu do informacji formalnie nie zostały jeszcze zniesione. Nieformalnie można oczywiście uzyskać dane łatwiej niż przed paru miesiącami, ale przecież nie o to chodzi. Chodzi o zasadę — społeczeństwo demokratyczne i samorządne musi być równocześnie społeczeństwem dobrze poinformowanym. Inaczej kryzys myślenia będzie panował nie tylko na górze. Może więc szybko znieść te zakazy, aby ułatwić życie i nam, dziennikarzom, którzy przecież w dużym stopniu odpowiadają za stan poinformowania społeczeństwa, m. in. i o stanie naszej gospodarki.

S.C.

żywocik gospodarczy

● 18 listopada „Express Poznański” zamieścił ogłoszenie: „W dniu 28 listopada 1980 r. w Wydziale Technologii Drewna Akademii Rolniczej w Poznaniu odbędzie się publiczna obrona rozprawy doktorskiej mgr. inż. Tadeusza Banasika na temat: „Zasady programowania potrzeb materiałowych dla produkcji stolarstwa otworów okiennych w budownictwie mieszkaniowym”... „Przywołuje nam to z pamięci obraz stolarza, który uzbrojony w calówkę i ołówek na pudełku od papieru sów obliczał stolarskie potrzeby nowo budowanego domu. Chyba bardziej warto tego majstra rehabilitować niż jego następców habilitować.

● Nieosiągalny na rynku i bardzo drogi proszek „Polleny” do pra-

lek automatycznych rozdawany jest w Zakładach „H. Cegielski” do mycia rąk. Prawda, robotnicy żądali pasty do mycia rąk, więc pod strachem załatwienia dla nich co się dało, ale załoga nie będzie miała poczucia czystych rąk, kiedy dla niej ogłaca się rynek.

● W olsztyńskich sklepach powstał rumor, gdyż cukier był, ale nie sprzedawano go na kartki, a tylko na specjalnie opieczetowane kartki. Klienci wściekali się, że nie dość, iż nawet na kartki nie ma cukru, to jeszcze kartki dzieli się na lepsze i gorsze, na te, za które cukier należy się na niby i na te, za które cukier dostaje się naprawdę. Okazało się, że kartki z pieczętkami uprawniającymi do nabycia cukru

nie były w posiadaniu żadnych dyktantów. To fabryka opon załatwiła, żeby jej pracownicy mogli zaopatrzyć się w cukier. Zdaje się, że wywalczono przez załogi udogodnienie stałą się przywilejem, które rodzą nowe konflikty.

● Dyrektor „Animexu” oznajmił w telewizji, że wyeksportowaliśmy w ciągu 9 miesięcy tego roku 140 tys. ton mięsa, co stanowi 5 procent masę mięsa wyprodukowanego w tym czasie w Polsce. „Głos Szczeciński” dokonał przeliczeń, z których wynika, że wobec tego statystyczny Polak zjadł w ciągu 9 miesięcy 80 kg mięsa, co daje 33 dkg dziennie na głowę, a po odliczeniu niemięsowat jeszcze więcej. Daje to konsumpcję 106 kg 60 dkg mięsa rocznie na głowę.

● Lokomotywa spaliniowa wjechała na wiadukt, na którym nie było szyn i spadła z wysokości pięciu metrów na szosę. Maszynista i pomocnik doznali obrażeń, straty wyniosły kilkadziesiąt tysięcy złotych. Śledztwo wykazało, że obsługa lokomotywy, należącej do fabryki śrub w Ornecie, udała się tym pojazdem w prywatną podróż. Jechała na działkę po ziemniaki.

● Ostatnio granicę w Gubinie usiłowało przekroczyć dwóch gar-

busów. Celnikom wydało się podejrzanym to, że garbaci chodzą parami. Okazało się, że garby zawierały ikony przymocowane do ciała bandażami.

● Na ulicy w Warszawie zagadnął nas kierowca ciężarówki o drogę na Kielce. Wóz wyładowany był workami pełnymi kartofli. Zapytany kierowca wyjaśnił, że wiezie kartofle z Warszawy dla załogi pod Kielcami i że ziemniaki te dało ministerstwo. Nie wiemy jakie ministerstwo, ani jaki zakład, bo kierowca się spłoszył i odjechał. W każdym razie, jeśli ministerstwo zaczynać rościć ziemniaki, które można rozwozić na podkieleckie pola — to jest to ten właśnie cud gospodarczy, na który od dawna czekamy.

w interesie konsumenta

W sklepie spożywczym z sieci PCH „Konsumy” w Rzeszowie stwierdzono ukrycie pod ladą wielu atrakcyjnych wyrobów — sprawę skierowano do kolegium ds. wykroczeń. Pewnie chowano towary przed mniej uprzywilejowanymi, by starczyć ich dla wybranych.

W sklepie „Okazja” w Chojnowie (woj. legnickie) podległym GS „Samopomoc Chłopska”, ukrywano przed nabywcami firanki, tkaniny podszewkowe, elanobawełnę oraz flanelę. Cóż, wobec ewidentnych braków na rynku, popytem zaczyna się cieszyć również wyroby przecone, z wadami i usterkami.

Inspektorzy PIH stwierdzili w sklepie nr 52 WSS „Społem” na Pradze-Południe w Warszawie ukrywanie pod ladą kaszy gryczanej, daktyli, orzeszków ziemnych, kakao, szampiana radzieckiego, wyrobów czekoladowych i wędlin na sumę 105 tysięcy złotych. Ponadto wprowadzono tu do sprzedaży słoninę paprykową bez dowodów dostawy.

We wszystkich tych przypadkach postąpiono niewłaściwie i osoby dokonujące przekroczeń zostaną w odpowiednim wymiarze ukarane. Nie byłym za specjalną srogością w tych sprawach — wszak były one wynikiem okrojonej sytuacji rynkowej i na dobrą sprawę owi sprzedawcy działali pod presją licznej reszty swoich znajomych, którym chcieli choć trochę ułatwić życie. Natomiast jestem absolutnie za wyjątkowo srogimi karami dla osób, które dopuściły się przekroczeń, które zaraz opiszę, a które nazwałbym przestępstwami wyjątkowo szkodliwymi społecznie.

W tymże samym sklepie 52 WSS znalezione towary, które się zepsuły i nie nadawały się do spożycia. Tylko na śmieciak można było przeznaczyć 84,5 kg wyrobów rybnych oraz 57 kg artykułów mięsnych! Kto jest winny tego marnotrawstwa? W którym ogniwie łańcucha dystrybucyjnego dopuszczono do marnotrawstwa tych bardzo poszukiwanych pro-

duktów — u producenta, w chłodniach, w handlowych magazynach hurtowych, czy w samym sklepie?

W toku osmiu kontroli w zakładach gastronomicznych i gastronomicznych „Społem” WSS w Koninie i Kole przebadano 38 partii wyrobów wartości prawie ćwierć miliona złotych. Zakwestionowano jakość prawie połowy z nich. Służby technologiczne najwyraźniej sobie bimbowały i marnowały tyle żywności! Sprawę skierowano do kolegium ds. wykroczeń. Moim zdaniem, powinna się tam zająć prokuratura, a winni powinni ponieść kary znacznie dołkiwsze niż może je wymierzyć kolegium.

W Zakładzie Garmażeryjnym podległym Zrzeszeniu Produkcji „Społem” również stwierdzono złą jakość wyrobów. Wiele zakładów mięsnych wypuszcza wędliny w ogóle nie nadające się do spożycia. Konsument praktycznie nie może ich reklamować i wyrzucają do śmieci. Jakże cenę surowiec marnuje się bezpowrotnie.

Uważam, że organa kontrolne, jak również i kontrola społeczna powinny mniejszą uwagę zwracać na przekroczenia formalne, a jednocześnie wzmocnić troskę o wszelkie objawy marnotrawstwa. Dość np. dlaczego w Zielonej Górze sprzedano aż 4175 kg ryb hodowcom zwierząt futerkowych, dlaczego zielonogórską „Centrala Rybna” źle przechowała trzy partie ryb mrożonych?

Nie ulega dla mnie wątpliwości, że mniejszym złem jest sprzedanie czegoś komuś tam spod łady. Sprzedawca protekcją, nawet spekulacyjną ma to do siebie, że artykuły będące jej podmiotem w końcu ktoś skonsument. Ale w przypadkach doświadczenia do ich zepsucia, zgnicia, świadczenia lub nieświadomości (z niedbalstwa) obniżenia jakości — nikt żadnego pożytku nie ma. Traci się bezpowrotnie surowce. A kary pieniężne nie przywrócą na stoły i talerze zmarnowanych produktów.

I na zakończenie jeszcze jeden aktualny przykład z województwa skierniewickiego. W Przetwórnici

Owocowo-Warzywnej w Pszczonowie, należącej do Rolniczej Spółdzielni Produkcyjnej w Łyszkowicach zmarnowano plody rolne o wartości 870 tys. złotych. PIH przekazał sprawę KW MO i wszczęło postępowanie karne.

Przypadek ten również nie jest odoobniony. Jakże często nie potrafimy (a może nie chcemy?) przetworzyć, bądź przechować tego, co zebraliśmy z wielkim trudem z pól i ogrodów. Marnują się warzywa, owoce, ziemniaki — pogłębia się i tak już duży deficyt tychże artykułów na rynku.

Apel mój jest ograny i wręcz szampcowy: wydajmy zdecydowaną i skuteczną walkę marnotrawstwu — spożytkujmy racjonalnie chociaż te dobra, które udało nam się w jakże skromnej ilości wyprodukować. Niechże jesienią 1980 apel ten — za brzmienia inaczej i rzeczywiście trafi do naszych... umysłów i sumień!

A. N. — J.

nowości wydawnicze

PANSTWOWE WYDAWNICTWO NAUKOWE

MAREK MUSZYŃSKI — „CENY PRODUKTÓW ROLNYCH ELEMENTEM RÓWNOWAGI RYNKOWEJ”, s. 32, z 30.
PAN, Instytut Rozwoju Wsi i Rolnictwa. Problemy Rozwoju Wsi i Rolnictwa.

Praca stanowi próbę określenia teoretycznych podstaw kształtowania cen rolnych oraz cen artykułów żywnościowych. Autor analizuje, w jakiej mierze ceny produktów rolnych stanowią czynnik równowagi ekonomicznej w całej gospodarce narodowej.

ELŻBIETA PIETRUSKA-MADEJ — „W POSZUKIWANIU PRAW ROZWOJU NAUKI”, s. 248, z 40.
Książka poświęcona jest filozoficznemu problemowi nauki. Autorka porusza kwestię determinanta rozwoju nauki, mechanizmu wyodrębniania na nie tzw. zewnętrznych czynników oraz stosunek pomiędzy następującymi po sobie fazami rozwoju nauki. Prace zamykają uwagi na temat sposobu budowania teorii filozoficznej koncepcji (teorii) rozwoju nauki.

RAZIMIERZ DENEK — „POMIAR EFEKTYWNOŚCI KSZTAŁCENIA W SZKOLE WYŻSZEJ”, s. 227, z 35.
Ministerstwo Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki, Instytut Polityki Naukowej, Postępu Technicznego i Szkol-

nictwa Wyższego. Monografie i Studia. Biblioteka Nauczyciela Akademickiego.

Praca zapoznaje z problematyką pomiaru efektywności kształcenia. Omówiono istotę, kryteria, wskaźniki i metody określania efektywności kształcenia w szkole wyższej, które pozwolą na dokonywanie modernizacji procesu dydaktycznego.

GEORGES UNGAR — „PAMIĘĆ”. T. 1. z fr., s. 192, z 25.
Biblioteka Problemów 2. 253

Praca amerykańskiego uczonego zapoznaje z nowymi poglądami na temat struktury pamięci. Autor omawia pamięć od strony fizjologicznej, psychologicznej oraz procesów fizykochemicznych. Przedstawia organizację układu nerwowego jako siedzibę pamięci, procesy biologiczne i zjawiska chemizmu, tworzące procesom uczenia się i pamięci, kodowania informacji w układzie nerwowym.

ZOFIA RATAJCZAK — „CZŁOWIEK W SYTUACJI INNOWACYJNEJ”, s. 216, z 60.

Autorka podjęła w pracy próbę opisaną i wyjaśnienia zachowań człowieka w różnorodnych sytuacjach zmian, zwa-

nych sytuacjach innowacyjnymi. Cz. 1 zawiera prezentację dotychczasowego, światowego dorobku badawczego. Cz. 2 stanowi próbę przedstawienia psychologicznej koncepcji wyjaśniania zachowań człowieka uczestniczącego w procesach innowacyjnych. Cz. 3 pracy poświęcona jest problemom zastosowania wiedzy o innowacjach do przewidywania zachowań ludzi.

„HISTORIA DYPLMACJI POLSKIEJ. Polowa X—XX w.” T. 1. Polowa X w. — 1572, s. 876, 36 tabl., z 300.
Polski Instytut Spraw Międzynarodowych

Tom inicjuje pięciotomową edycję historii dyplomacji polskiej. Autorzy wybitni historycy i politolodzy, uwzględniają nie tylko czynnik polityczny, ale i ekonomiczny, społeczny, ideologiczny, kierując się prawidłowościami rozwojowymi państwa polskiego, jako czynnika sprawczego polityki zagranicznej. W tomie omówiono okres monarchii piastowskiej i jagiellońskiej skupiając zainteresowanie na koronnej dyplomacji centralnej, tj. dworu królewskiego.

JERZY JAKUBOWSKI — „MIĘDZYNARODOWE ORGANIZACJE GOSPODARSTWA KRAJÓW RWPG”. Zagadnienia prawne, s. 236, z 40.

Praca poświęcona jest problematyce prawnej „przedsiębiorstwa międzynarodowego” we wspólnocie socjalistycznej, ściśle — prawnym zagadnieniem określającym funkcjonowanie międzynarodowych organizacji gospodarczych krajów RWPG.

JÓZEF KOŁONKO — „ANALIZA DYSKRYMINACYJNA I JEJ ZASTOSOWANIE W EKONOMII”, s. 134, z 38.
B-ka Ekonometryczna

Praca poświęcona jest problemom klasyfikacji obserwacji i wykorzystaniu tych metod w badaniach ekonomicznych. Przedstawiono w niej metody klasyfikacji z wzorcem, zwłaszcza w warunkach stochastycznych, przy różnym zasobie informacji o rozpoznawanych klasach.

„WIEDZA POWSZECHNA”

JAN LEGOWICZ — „ZARYS HISTORII FILOZOFII”. Elementy doksofilii. Wyd. 4, s. 612, z 160.

Wzwięzłe i systematyczne ujęcie historii myśli filozoficznej począwszy od filozofii grecko-rzymskiej do filozofii współczesnej. Autor przedstawia podstawowe kie-

runki w rozwoju myśli filozoficznej, prawdziwości ich powstawania i rolę w społeczeństwach, w których powstawały.

UNIwersytet Śląski

JAN GRABOWSKI — „OCHRONA INTERESÓW PRZEDSIĘBIORSTWA PANSTWOWEGO WOBEC DECYZJI ADMINISTRACJI GOSPODARSTWA”. Zagadnienia administracyjno-prawne, s. 146, z 44.
Prace Naukowe Univ. Śląskiego w Katowicach. Nr 344. Seria: Prawo

WYDAWNICTWA NAUKOWO-TECHNICZNE

„ZADANIE, METODA, ROZWIĄZANIE”. Techniki twórczego myślenia. Zbiór 3, s. 220, z 36.

Trzeci zbiór przedstawia metody zaczerpnięte z dorobku współczesnej heurystyki, której celem jest wykształcenie sposobów i umiejętności wykrywania nowych faktów i związków między faktami. Omówiono m.in. sposoby nauczania heurystyki, kształtowanie grup twórczego myślenia, metodykę modelowania i symulacji, metody formułowania problemów decyzyjnych w systemach działania.

gietka samochodowa

Pan Antoni Janusz Parda z Dzierżonowa (Osiedle Kolorowe 14a m 9) nadesłał list, którego treść jest przykładem brzydkich praktyk w stosunkach „Polmożbytu” z klientami mającymi, niestety, ciągle jeszcze miejsce.

List p. Pardy liczy pięć stron maszynopisu, więc zmuszony jestem go streścić.

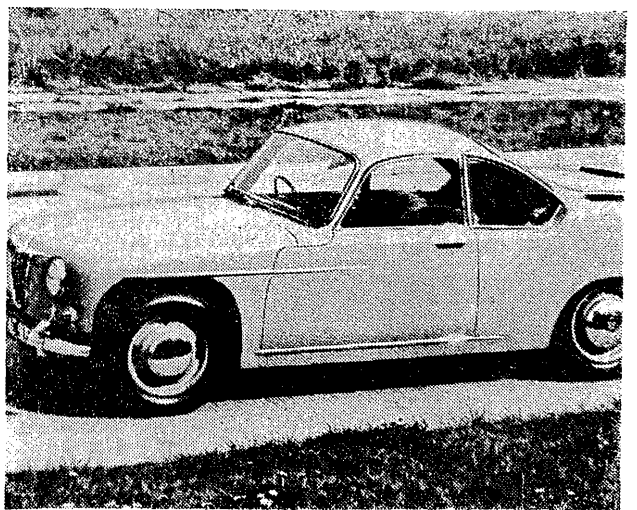
Otóż w końcu sierpnia tego roku p. Parda zakupił za dewizy Fiat 125p 1300. Było to spełnienie wieloletnich oczekiwań, możliwe dzięki pomocy rodziny. Samochód został nabyty w PP „Polmożbyt” Wrocław, ul. Armii Radzieckiej 45. Po przejeździe 750 km z miski olejowej zaczął wyciekać olej, więc p. Parda oddał samochód do naprawy do Stacji Obsługi „Polmożbyt” nr 19 w Świdnicy. Awarie, owszem, usunęto. Po tem do samochodu wsiadł mechanik stacji obsługi i po prostu pojechał mu się” samochód rozbić (właściciel samochodu po zewnętrznych oględzinach stwierdził zerwanie prawego błotnika, wyrwanie prawych przednich drzwi, pocięta maska, zderzak,

rozbite prawe lampy). Samochód ściągnięty został do stacji obsługi dopiero następnego dnia, bo sprawca rozbięcia zwyciężając wyszedł z samochodu i udał się do domu.

Pan Parda zażądał od PP „Polmożbyt” we Wrocławiu wydania nowego samochodu, argumentując, że po takich uszkodzeniach wóz nie może mieć już cech pojazdu pełnosprawnego. Od tego momentu do dziś trwa nierówna walka, w której po jednej stronie jest stacja obsługi w Świdnicy, PP „Polmożbyt” we Wrocławiu, rzeczoznawca p. Jan Rott-Zebrowski (który, jak wynika ze szczegółowego opisu w liście, uznał — wezwany przez „Polmożbyt”, o czym właściciel nie został powiadomiony — że uszkodzenia trzeba załatwić, wszystko polakierować i będzie grało), a także Centrala PP „Polmożbyt” w Warszawie, do której zwrócił się również po uszkodzeniu. Po drugiej stronie jest p. Parda, który w zakończeniu swego listu pisze, że nie wie już, do kogo ma się zwrócić o pomoc i co dalej robić. Wyremontowanego samochodu nie chce przyjąć, bo, poza wcześniej podanym zastrzeżeniem, nie ma zaufania do opinii rzeczoznawcy, którego ocena, na podstawie faktów, nie wydaje mu się bezstronna, a z opisu wyglądu samochodu po remoncie wynika, że stacja obsługi w Świdnicy całą sprawą bynajmniej się nie przejęła, a robota została odwołana byle prędzej.

(jod)

Posługiwanie się samochodami klientów do prywatnych celów przez pracowników stacji obsługi nie jest wynalazkiem warsztatu w Świdnicy. Natomiast rozbiście samochodu klienta, a następnie próba przerzucenia na niego konsekwencji tego faktu jest już wyższą szkołą skandalicznych praktyk. Co gorsza, wygląda na to, że w imię złe pojętych interesów firmy, rozgłoszenia swoim podwładnym udziela Centrala „Polmożbytu”. Gdyby nie anormalna sytuacja na rynku samochodowym i usług motoryzacyjnych, spowodowana przewagą popytu nad podażą, trudno sobie wyobrazić, by firma, która dopuszcza się tego rodzaju praktyk, miała klientów. To jednak, że sytuacja jest jaka jest, nie może oznaczać zgody na uznawanie za normę postępowania jawnie krzywdzącego klienta.



Rover T-3 Gas Turbine z 1956 roku.

REDAGUJE ZESPÓŁ: Stefan Anierewicz, Jacek Boldok, Stanisław Chełstowski (I zastępca redaktora nacz.), Andrzej Chmielewski, Zofia Długosz, Władysław Dudziński, Jerzy Dzieciotowski (zastępca redaktora nacz.), Lech Froelich, Maria Gawrońska (redaktor techniczny), Jan Głowczyk (redaktor naczelną), Teresa Górnicka, Aleksander Jędrzejczak, Paweł Kapuściński, Krzysztof Kraus, Anna Kusko, Andrzej Lubowski, Marcin Makowiecki, Eugeniusz Możejko, Andrzej Nalecz-Jawęcki, Grzegorz Płaski, Andrzej Piwnowski (red. graficzny), Zdzisław Regel, Marian Sikora, Karol Szwarc, Zdzisław Zolucki, Elżbieta Tadeusik (zastępca sekretarza).

ADRES REDAKCJI: 00-681 Warszawa, ul. Hoża 35 (skrytka pocztowa nr 7 — 00-850 Warszawa). Telefon: redaktor naczelną i sekretariat 28-06-28, zastępca redaktora naczelną 21-55-57, sekretarz redakcji 23-83-92, redaktorzy 28-53-42, 28-38-54. Nie zamówionych artykułów redakcja nie zwraca, a w razie opublikowania zastrzega sobie prawo ich skracania.

WYDAWCA: RSW „Prasa-Książka-Ruch” — Wydawnictwo Współczesne, 00-490 Warszawa, ul. Wilejska 12, telefon 28-24-11.

OGŁOSZENIA PRZYMUSZAJĄ: Biuro Ogłoszeń RSW „Prasa-Książka-Ruch” — Wydawnictwo Współczesne, 00-490 Warszawa, ul. Wilejska 12, telefon 28-24-11 oraz wszystkie Biura Ogłoszeń RSW „Prasa-Książka-Ruch” w miastach wojewódzkich. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

WARUNKI PRENUMERATY: Prenumerata na kraj przysyła Oddział RSW „Prasa-Książka-Ruch” oraz urzędy pocztowe i doręczyciele w terminach: od 25 listopada na I kwartał i I półrocze roku następnego oraz cały rok następnego; do 10 marca na II kwartał roku bieżącego; do 10 czerwca na III kwartał i II półrocze roku bieżącego. Cena prenumeraty: kwartał — 136, roczne — 512 zł. Jednostki gospodarki upośledzonej instytucje, organizacje i wszelkiego rodzaju zakłady pracy zamawiające prenumeratę w miastach wojewódzkich, w których nie ma Oddziałów RSW — w urzędach pocztowych. Czytelnicy indywidualni opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych i u doręczycieli. Prenumeratę za zleceniami wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch” Centrala, Kolportażu Prasy i Wydawnictwo 00-858 Warszawa, ul. Towarowa 28, konto NBP XV Oddział Warszawa, Nr 1153-201045-130-11. Prenumerata za zleceniami wysyłki za granicę jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla instytucji i zakładów. Sprzedaż egzemplarzy numerów zdeklarowanych na uprzednio zamówienie prowadzi Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictwo RSW „Prasa-Książka-Ruch” — 00-424 Warszawa, ul. Towarowa 28.

DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch” — 00-624 Warszawa, ul. Marszałkowska 3/5. Numer indeksu 38506.

Zam. 3077 O-35